

W
KRAINIE
WIELKIEJ
PRZYGODY

•
Janusz Jedrzejewicz



W KRAINIE WIELKIEJ PRZYGODY

JANUSZ JĘDRZEJEWICZ

W KRAINIE
WIELKIEJ
PRZYGODY



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO
KSIĄŻEK SZKOLNYCH WE LWOWIE
1939

K-73/88

Je



M5/26

✓



Tłoczono w drukarni
Związkowych Zakładów
Graficznych Spółdzielni
z odpowiedzialnością
udziałami we Lwowie.
Okładkę projektował
Wacław Siemiątkowski

1 9 3 9

38047

Długo się namyślałem, jak mam zatytułować książkę, którą czytelnikom moim do rąk dziś oddaję. Bo dobrze jest, gdy tytuł coś o książce mówi, coś z jej treści zawiera lub symbolizuje. I przeważnie tak się dzieje, że autorzy w ten właśnie sposób dobierają tytuły książek przez siebie napisanych. Gdy mówimy o „Lalce” Prusa, o „Bez dogmatu” Sienkiewicza, o „Ludziach bezdomnych” lub „Popiołach” Żeromskiego, o „Warszawiance”, „Weselu” lub „Wyzwoleniu” Wyspiańskiego, rozumiemy bardzo dobrze, dlaczego takie a nie inne są tych dzieł tytuły, aprobowujemy je, a po przeczytaniu kondensujemy całość uzyskanych wrażeń, całość w związku z książką uzyskanych przemyśleń i uczuć, w słowach tytułu. Gdy ktoś przy mnie powie słowo „Popioły”, widzę kalejdoskop wydarzeń sprzed z górą stulecia, jawią mi się postaci Rafała Olbromskiego i Krzysztofa Cedry, księcia Józefa i Dąbrowskiego, nieszczęsnego kapitana Wyganowskiego, ukazuje mi się cień Napoleona salutującego żołnierza polskiego, widzę straszne sceny Saragossy — tyle zdarzeń, tylu ludzi, tyle krwi — wszystko zaklęte w jednym słowie wydrukowanym na tytułowej karcie książki.

Tytuł książki jest na pewno rzeczą ważną. Nic tedy dziwnego, że i ja czas dłuższy biedziłem się, jak nazwać książkę, w której tak wiele i tak doniosłych zagadnień chciałem omówić.

Przyznam się moim czytelnikom, że byłem w dużym kłopotcie. Jakże bowiem słowo tytułowe może się stać wykładnikiem szeregu rozważań poświęconych trudnym,

skomplikowanym sprawom życia, sprawom na pewno ważnym, niekiedy palącym, które każdy człowiek z nieuchronną koniecznością musi sobie postawić i w jakiś sposób do nich się ustosunkować?

Są to wszystko niejako zapytania, na które trzeba sobie odpowiedzieć. I sprowadzenie tych spraw, czy tych pytań, do jakiegoś wspólnego mianownika było dla mnie tak trudne, że dnia pewnego w rezygnacji opuściłem ręce, konstatując, iż nie jestem w stanie wymyśleć dobrego, sugestywnego tytułu dla mojej książki.

Opanowało mnie zniechęcenie. Nie dlatego, że trudno puścić w świat książkę bez tytułu, ale dlatego również, że — muszę to wyznać — w trakcie pisania przywiązałem się do niej i zależało mi bardzo na tym, aby tytuł był dobry, taki, który pozostaje w pamięci.

I właśnie, — jak to się zresztą często w życiu zdarza —, gdy już zrezygnowałem z dalszych poszukiwań i byłem niemal zdecydowany dać pierwszy z brzegu choćby nie znaczący tytuł, zostałem olśniony słowami: „*Kraina Wielkiej Przygody*“, które mi nagle przyszły do głowy.

Od pierwszej chwili nie miałem żadnej wątpliwości, że tak właśnie nazwę książkę. I dotychczas wydaje mi się, że nazwa ta jest dobra, a nawet, że trudno było o lepszą.

A jednak... dlaczego „*Kraina Wielkiej Przygody*“? Zdawałoby się, że taki tytuł odpowiadałby może sensacyjnej powieści, jakiejś baśni podróżniczej, jakiemuś opowiadaniu w stylu Verne'a lub Umińskiego. Tu jednak chodzi o książkę nie dla dzieci, ale dla dorosłej młodzieży, treść jej nie jest fantastyczna, a o podróżach w ogóle się nie wspomina.

Po prostu dlatego, że w chwili, gdy przyszedł mi do głowy ten tytuł, myślałem nie tyle o treści książki, ile o czytelniku, dla którego jest przeznaczona. Pisałem nie dla czytelnika już zupełnie dojrzałego, już duchowo osta-

tecznie ukształtowanego. Obchodził mnie czytelnik młody, wrażliwy, czytelnik, który nie zdążył jeszcze skostnieć w swoich poglądach na świat i życie, ale odważnymi oczyma patrzy na wszystko, co go otacza, chce życie poznać, chce je samodzielnie i dobrze zrozumieć. Rozmowa z takim człowiekiem jest dla mnie o wiele ciekawsza niż rozmowa z kimś starym, o ukształtowanych już poglądach. W wyniku jej nic innego stać się nie może, jak tylko ustalenie, że są rzeczy, na które się obaj z nim zgadzamy i są inne, na które zapatrujemy się różnie. I w ostatecznej konkluzji takiej rozmowy najczęściej zapewne myślimy obaj, żegnając się z sobą obojętnie, że szkoda było czasu na całe to gadanie.

Inaczej jest zupełnie, gdy rozmowa toczy się z młodymi. Młodzież szuka wymiany zdań, bo szuka prawdy, której jeszcze nie posiada a którą osiąść pragnie.

She szuka jej szczerze, bezinteresownie, z zapałem. Stoi zaledwie u bram życia, jeszcze w nie nie weszła, — jeszcze ma je przed sobą przez bardzo krótki, niestety zbyt krótki okres czasu.

Ale czyż istnieje większa przygoda, jak właśnie życie, stojące przed młodzieżą otworem?

W pierwszym rozdziale obszerniej omawiam te sprawy, a tu wspominam o nich tylko dlatego, aby usprawiedliwić przed czytelnikiem mój tytuł i przeprosić go za to, że tytuł ten może go w błąd wprowadzić.

A przecie, czy rzeczywiście tytuł nie odpowiada treści? Czy dziedzina wiary, wiedzy, sztuki, czy świat pracy i odpowiedzialności, czy sprawy narodu, państwa i jego zasadniczych instytucyj nie są istotnie wielkimi krainami, w wędrówce po których upływa życie człowiekowi? Czy w tych krainach nie zachodzą najprzeróżniejsze przygody, których uczciwe i rzetelne przeżycie wzbogaca wiedzę i serce nie mniej, niż podróże po najbardziej egzotycznych krajach?

Przejrzyjcie życiorysy wybitnych ludzi: świętych, artystów, uczonych, wodzów, mężów stanu. Czy ich życie nie leży w krainie największych, zdumiewających przygód, dużo ciekawszych i bardziej emocjonujących, niż najfantastyczniejsze przygody Sindbadów - żeglarzy i wszystkich Robinsonów?

Znajdzie więc czytelnik w tej książce szereg rozważań, związanych z zasadniczymi zagadnieniami ludzkiego życia. Nie są to zagadnienia łatwe i na to nie ma żadnej rady. Minęły czasu raju na ziemi, w którym biblijni ludzie, zaopatrzeni we wszystko, co im było do szczęścia potrzebne, mogli żyć swobodnie i beztrudnie bez pracy, bez obowiązków, w ustawicznej szczęśliwości, ciesząc się światłem słonecznym i błękitem nieba jak wiecznie rozkwitające kwiaty.

Za rajem zawarły się żelazne wrota, potrzebom swym człowiek sam musi zadośćczynić wysiłkiem swych rąk i myśli, podlega licznym cierpieniom i udrękom, podlega wreszcie śmierci, gotowej każdej chwili przeciąć pasmo jego żywota.

I musi człowiek pytać w tych warunkach, jaki jest sens jego życia, co znaczy cierpienie, na czym polega szczęście?

Nad tymi pytaniami głowi się ludzkość od tysiącleci. Myśleli nad nimi władcy i niewolnicy, bogaci i biedni, wielcy i mali, rozważali te sprawy uczeni i filozofowie, stawiały je tak lub inaczej wszystkie religie świata.

A przecież człowiek ciągle je stawia na nowo. I nic dziwnego, bowiem żadne *cudze* doświadczenie, choćby najpełniejsze, choćby najmądrzejsze tu nie wystarczy. Odpowiedź musi być przeżyta we własnej duszy, we własnej myśli i we własnym sumieniu. W tych sprawach niczego nie można przyjąć na wiarę, — wszystko trzeba przeżyć samemu.

Nie chcę ani nie mogę narzucać czytelnikowi żadnych z góry określonych rozwiązań. Pragnę jedynie ułatwić mu podejście do tych zagadnień, wskazać drogi, po których idąc, spotka je na pewno w całej wyrazistości i w całej ich powadze — i w najprostszych słowach, dostępnych dla każdego, próbować formułować raczej zagadnienia, niż dawać gotowe odpowiedzi.

W tych trudnych rzeczach starałem się unikać skomplikowanych rozważań, w które swoje poglądy na życie ubierać zwykli filozofowie i inni uczeni.

Starałem się podać nawet najbardziej zawiłe sprawy w terminach możliwie najbliższych codziennemu doświadczeniu życiowemu, starannie natomiast unikać wszystkiego, co ma charakter konstrukcyj teoretycznych, choćby to nawet powodować miało upraszczanie niektórych zagadnień.

Z tego również powodu mowy być nie mogło o wyczerpującym traktowaniu przedmiotu. Niektóre biegi myślowe mogłem zaledwie zaznaczyć, inne rozwinać tylko bardzo szkicowo. Czytelnik musi sobie dobrze zdać sprawę z tego, że książka ma na celu dać nie zwarty wykład ale raczej wstęp ogólny, którego dalszym ciągiem winna być poważna lektura oraz samodzielne i uczciwe przemyślenie spraw tu poruszonych w związku z konkretnie przez życie stawianymi zagadnieniami.

Pisałem prosto, jak najprościej. Mimo to wiem dobrze, że lektura tej książki nie zawsze będzie łatwa dla czytelnika. Nie mam sposobu, aby było inaczej. Bo nie zawsze rzeczy proste są najłatwiejsze. Wręcz przeciwnie, czasem o rzeczach i sprawach najprostszych najtrudniej jest mówić i wie o tym każdy, kto komuś usiłował wytłumaczyć choćby tylko swoje własne uczucia.

Toteż bardzo bym pragnął wiedzieć, co i jak czytelnik zrozumiał z tej książki. Czym się najbardziej zaintere-

sował, co mu trafia do przekonania, z czym się zgadza a co wydaje mu się niesłuszne. Każdemu, kto zechce napisać do mnie w tych sprawach, będę serdecznie wdzięczny.

I jeszcze jedna uwaga. Uważny czytelnik dostrzeże z łatwością, że pewne wątki myślowe powtarzają się w kilku rozdziałach. Można by z tego powodu postawić autorowi zarzut, że nie dość systematycznie podzielił materiał omawiany na poszczególne rozdziały. Ale sądzę, że więcej ponad systematyczność wykładu należy cenić bezpośredniość opowiadania i ta okoliczność zdecydowała o kolejności treści poszczególnych rozdziałów.

ROZDZIAŁ I

Dzieciństwo — to beztroska zabawa na porosłej kwiatami łące. Jest w niej szerz i dal niczym nieograniczona, są zapachy i powiewy, jest strumień nabrzmiały od niedawnego deszczu, jest tajemna tafla źródłana o wodzie kryształowej, odbijającej jak lustro ciekawą twarz, wychylającą się z tła pogłębionego błękitu nieba, są kretowiska kryjące głębie podziemnych korytarzy, jest przepych motyli skrzydeł, prężność koników polnych, są łamliwe kolanka traw i trzcín, macierzanka, mięta, zioła czarowne o wielkiej mocy uroków, które się jawią, gdy wdmuchiwać im w pachnące kwiecie ciepło szeptanych słów i zaklęć.

Szerz i dal dzieciństwa nie ma kierunków, nie ma sobie właściwych ścieżek. Dopiero młodość zaczyna przeczuwać, że poza zabawą na łące, gdzie wszystko jest równie ważne i równie ciekawe, otwierają się perspektywy na świat zgoła inny, że gdzieś z tamtej strony barw i zapachów wytyczają się dojścia nieznane ku celom trudnym, niezbadanym a tak pociągającym. Wzbiera niecierpliwość. To wszystko, co było zachwytem oczu, szarzej i traci część swej wartości. Zabawa, która dotychczas całkowicie absorbowiała dzieciństwo, staje się rzeczą błahą i bez znaczenia. Nabiera znaczenia co innego: nie to, co jest, lecz to, czego jeszcze nie ma, co dopiero kiedyś będzie, co chcemy, aby było.

Chwila w której doraźność zabawy przestaje nas cieszyć, a doznania dziecięce przestają wystarczać, w której nieograniczona w fantazji rzeczywistość układać się zaczyna wzdłuż linii naszej woli dając pierwsze, nikłe może jeszcze kontury dróg do przeczuwanych celów wio-

dących, jest chwilą otwarcia bramy w *Krainę Wielkiej Przygody*. Chwilę tę przeżywa każdy człowiek. Tak czy inaczej pod wpływem najrozmaitszych przyczyn w różnych momentach rozwoju, przed dzieckiem otwiera się brama, przez którą wchodzi w świat nieznany już nie dziecko, ale młodzieniec. Krainę zaś Wielkiej Przygody jest nie co innego jak całość świadomego, dojrzałego, odpowiedzialnego życia.

Kraina Wielkiej Przygody... a może lepiej *Kraina Przygody Największej*, przygody jedynej, tak jak dla każdego rzeczą największą i najbardziej jedyną jest jego życie. Niepowtarzalne, nieprzewidywalne, władczo wciągające nas w bieg wydarzeń, despotyczne i zachłanne, a jednocześnie korzące się przed naszą wolą i naszym wysiłkiem, pamiętliwe i nieprzebaczające, karzące niemiłosiernie wszystkie nasze błędy i winy, konsekwentne w żądaniach, a tak mało obliczalne w skutkach, — czy nie stanowi ono przygody w najbardziej fantastycznym, najbardziej romantycznym znaczeniu tego wyrazu?

Książka ta pisana jest dla czytelnika, przed którym brama wielkiej przygody otwarta jest na ścieżaj. Stoi przed nią na granicy dzieciństwa i młodości i próbuje ciekawym spojrzeniem ogarnąć widok, jaki się w dali roztacza. Trzeba stwierdzić, że widok nie tłumaczy się jasno. Raczej zarys dróg, raczej płatanina ścieżek, raczej mętne przecucie najprzeróżniejszych możliwości niż krajobraz zwarty, harmonijnie skomponowany, zestrojony w linii i barwie. Wybór jeszcze nie został dokonany, brama nie została przekroczona. Bogactwo i urok możliwości utrudnia i opóźnia moment decydujący, — ale poczucie wagi i znaczenia tego wyboru istnieje w świadomości. Spomiędzy nieskończonej ilości dróg i ścieżek trzeba ustalić jakąś jedną: spomiędzy nęcących perspektyw wybrać określoną; ocenić jej piękno i wartość; dosto-

sować drogę do swoich możliwości, przewidzieć trudności i ocenić, czy da się im radę; ustalić niebezpieczeństwa i zważyć własną odwagę. A przede wszystkim rozżarzyć w sobie wiarę w słuszność tej właśnie, a nie innej drogi i rozbudzić nieustępliwą, upartą wolę, bez której żadne zamierzenie pozytywnego skutku osiągnąć nie może.

Czy zawsze wybór Wielkiej Przygody odbywa się w zupełnej świadomości zadania, w pełnej samowiedzy wagi tego zagadnienia?

Na pewno stwierdzić można, że tak nie jest. Tak bywa. Bywa u ludzi o wybitnych zamiłowaniach, o wielkich aspiracjach lub wielkich ambicjach, bywa u tych, którym zaświta w młodości wielka idea, niemal samorzutnie dokonywująca wyboru drogi. Jakiś Sokrates czy Mickiewicz, jakiś Michał Anioł czy Leonardo, Aleksander Wielki — czy Napoleon, Kościuszko czy Piłsudski na pewno nie mieli żadnych wątpliwości w wyborze swych dróg życiowych. I właśnie ich życia, — czy tylko dziwnym zbiegiem okoliczności? — stały się żywym wcieleniem najbardziej fantastycznej przygody. Bogata jej fabuła w sposób zwarty, wspaniały, dramatyczny nanizła bieg wydarzeń wzdłuż jednej idei, jednej myśli, jednej woli, dając prze-dziwne opowieści o życiu wielkich ludzi. I stało się coś cudownego: człowiek przeżył swoje, odszedł na wieki w zaświaty, rówieśni jego utonęli w mrokach niepamięci, a ich Wielka Przygoda stała się trwałym dorobkiem ludzkości, do której z wieku na wiek wracają i wracać będą wszyscy czujący w swych duszach tęsknotę do wielkości.

W znacznej większości wypadków wkroczenie w Kra-inę Wielkiej Przygody odbywa się w sposób znacznie bardziej przypadkowy, znacznie mniej świadomy. Naj-częściej redukuje się ono do zagadnienia wyboru zawodu, na co znowu wielki wpływ wywierają momenty postronne, związane nie tyle z wewnętrzną potrzebą zainteresowa-

nego, ile z względami często praktycznymi. W ten sposób upraszcza się, dekoloryzuje i zuboża doniosłą chwilę wywierającą tak potężny wpływ na całe dalsze życie.

Ale zawsze, nawet wtedy, gdy jedynie względy praktyczne brane są pod uwagę, decyzja wyboru dróg jest dla człowieka rzeczą zasadniczego znaczenia. Bowiem w ramach swojego wyboru, w możliwościach przezeń ograniczonych, realizować się ma cały człowiek, wyżywać się mają wszystkie cechy jego charakteru, umysłowości, uczuciowości, temperamentu; nieprzewidywalny splot wydarzeń złych czy dobrych życia rozświetlany ma być światłem jego własnej osobowości. Przecież w życie nasze wkładamy całego siebie. Nasze wady i zalety — lepsze i gorsze strony naszej natury, naszą myśl, i wolę, i pracę, i wszystkie zasoby uczucia, nasz upór, i męstwo, i wytrwałość — jak również lenistwo, ospałość, niezaradność i wszystko złe, które się w nas tai, — to wszystko znajduje jakiś w życiu wyraz. Bo życie moje to ja sam, to moja wobec wydarzeń postawa, to codzienne realizowanie tych zasobów, które tkwią we mnie i które narastają w drodze doświadczeń i ustawicznej, a często trudnej nauki.

I od tego, jaką drogę wybiorę, zależy co, jak i w jakim stopniu będę mógł z siebie dać życiu, co będę w stanie w życiu dokonać.

Bo losy człowieka w Krainie Wielkiej Przygody mają dwojakie oblicze. Życie jest wyżywaniem się, jest pewnym procesem trwającym tak długo, na jak długo starczy zapas nagromadzonej energii. Tak spala się świeca świecąca i gorejąca, dopóki się nie wytopi ostatnia kropla stearyny. Płonie sama sobie, bo taka jest jej natura. Ale natura człowieka zmierza gdzie indziej. Człowiek nie jest sam. Wypalanie się jego życia nie odbywa się w samotności. Człowiek związany jest nierozzerwalnymi więzami z innymi ludźmi i zawsze żyje w zespole, a nawet w wielu

zespołach. Człowiek znaczy nie tylko dla samego siebie. Znaczy coś i dla zespołu, w którym żyje. I zespół znaczy coś dla jednostki ludzkiej. Bez zespołu, poza społeczeństwem, człowiek istnieć nie może.

Wszystko co nowe, co twórcze, wszystko co jest jakimś krokiem naprzód w dziejach ludzkości, dokonane zostało indywidualnym wysiłkiem ludzkiej jednostki.

Ale udostępnienie tych indywidualnych zdobyczy, pomysłów, wynalazków, odkryć, realizacyj zarówno współczesnym jak i następnym pokoleniom, ich *uspołecznienie* odbywa się jedynie drogą wspólnej pracy zbiorowości poprzez tradycję, słowo i pismo w zakresie kultury duchowej, poprzez zorganizowaną społecznie pracę fizyczną w zakresie kultury materialnej.

W ten sposób między jednostką a zbiorowością nawiązuje się najgłębsza i nieunikniona współzależność. Wszystko co cechuje kulturę ludzką, od języka poczynając, poprzez wierzenia, obyczaje, sztukę, rodzaj pożywienia, ubrania i mieszkania otrzymuje człowiek od społeczeństwa. Wszystko co jest w danej epoce dziejowej nowe, twórcze, co rozszerza panowanie człowieka nad przyrodą i wzbogaca życiowe możliwości, — otrzymuje społeczeństwo od jednostki. Zachodzi tu ustawiczna wymiana usług.

W tych więc warunkach, gdy każdy, wkraczający w świat życia zbiorowego coś od zbiorowości otrzymuje i coś jej w zamian oddaje, sprawą ważną jest zarówno ilość jak i jakość naszego wysiłku, przeznaczonego na rzecz zbiorowości, w której żyjemy. Rzeczą dużo ważniejszą niż to, co się od niej otrzymuje, bo świadczenia zbiorowości na rzecz jednostki mniej zależą od naszej woli. Chcemy czy nie chcemy, zawsze zbiorowość w jakimś stopniu podciąga nas przez wychowanie, naukę, codzienne życie do tego poziomu kultury, który cechuje nasze śro-

dowisko, zawsze istniejące w społeczeństwie instytucje zapewniają nam bezpieczeństwo zewnętrzne i wewnętrzne, wymiar sprawiedliwości, pomoc w klęskach i nieszczęściach, szereg swobód obywatelskich i osobistych.

Inaczej rzecz się ma, gdy chodzi o ten wkład pracy, którą my dać społeczeństwu musimy. Tu wszystko niemal zależy od nas, od naszej dobrej woli, od naszej decyzji. Nigdzie nie da się zaobserwować tak olbrzymich niewspółmierności jak w dorobku, który dać może jednostka społeczeństwu. Od pracy niewykwalifikowanego robotnika do pracy genialnego inżyniera - wynalazcy, w wyniku pomysłów którego powstają nowe dziedziny przemysłu zatrudniające setki tysięcy ludzi, od pustego życia bogatego snoba do wielkiej twórczości uczonych i artystów odkrywających przed ludzkością nowe dziedziny myśli i piękna, od skrajnego sobkostwa do bezinteresownych ofiar ponoszonych na ołtarzu służby narodowi i ludzkości.

Zapewne, odgrywają tu doniosłą rolę sprawy uzdolnień, talentu, geniuszu, a więc sprawy, od naszej woli niezależne. Ale żaden talent, żadne zdolności nie przydadzą się na nic, o ile nie towarzyszy im praca, wola, upór; — tak jak praca, wola i upór nawet przy przeciętnych uzdolnieniach mogą uczynić człowieka niezwykle cenną i wartościową jednostką w życiu zbiorowym.

Okresowi życia, w którym następuje wybór dróg wiodących do Krainy Wielkiej Przygody, towarzyszy zazwyczaj zjawisko zachwycające, upajające jak haszysz, pełne powabu i żywej rozkoszy: *marzenie*. Nigdy w żadnym późniejszym okresie życia marzenie nie przesyci w takim stopniu wszystkiego, o czym się myśli, co się czuje i czego się pragnie, jak właśnie w okresie wczesnej młodości. Wtedy — i tylko wtedy — granica między

rzeczywistością, wolą i marzeniem o przyszłości staje się prawie niedostrzegalną. Zapomina się wówczas o wszystkich oporach, które trzeba przewycięzać, aby cel upragniony osiągnąć, nie myśli się o trudnościach, jakie przecież na pewno spiętrzą się na drodze. Nie ma wtedy nic niemożliwego, bowiem wyobraźnia przekracza wszelkie niemożliwości i śmiało buduje najbardziej fantastyczne gmachy nawet na najbardziej zawodnym gruncie.

Z marzeniem łączy się wiara w ziszczalność marzenia, poczucie pewności, że oto dziś dostrzeżona droga życia jest słuszna i dobra, że pójdzie się po niej prosto, łatwo i bez nadmiernych wysiłków, że rezultaty osiągnie się całkowicie, prędko i niezawodnie. I człowiek, olśniony blaskiem marzenia, w którym żyje, w którym się pławi, chodzi po świecie pełen szczęścia i dumy z własnych przyszłych dokonań, już dziś rozpierających mu duszę. Jest szczęśliwy tonąc w wymarzonej przyszłości; nosi w sercu i w myśli świat swojej wymarzonej przygody, najpiękniejszy ze wszystkich światów pod słońcem i nie wierzy tym, którzyby chcieli jego marzenia i plany poddawać choćby najślusznieszej krytyce. I ma po stokroć rację. Życie bez marzenia nie miałoby żadnego uroku, więcej, życie bez marzenia nie jest w ogóle możliwe. Marzenie wyczarowuje z krainy wyobraźni upragniony obraz; ono go maluje najpiękniejszymi farbami, ono czyni go plastycznym, niemal namacalnym, niemal prawdziwym. Ono wyczarowuje koncepcje, z niego czerpiąc myśl ustala środki do osiągnięcia, w nim tkwi zawsze żywe źródło wciąż nowych prac i wysiłków, ono zagrzewa znużoną wolę do nowych trudów, z niego poczyną się wszystko, co jest na świecie naprawdę twórcze i nowe. To siła marzenia, antycypująca z góry osiągnięcia, które wymagają dużo czasu i trudu, nie zważająca na trudności i przeszkody, sprawia, że człowiek w ogóle decyduje się na czyn.



Bo gdyby chłodna myśl zważyła ciężar pracy i ciężar odpowiedzialności, gdyby marzenie nie towarzyszyło wysiłkowi tworząc obraz, który ma zostać zrealizowany, to życie zredukowałoby się do ciężkiej przymusowej pracy na kawałek chleba, a nic nowego, nic wielkiego, nic na prawdę pięknego nie byłoby w stanie powstać.

Nie miałyby więc racji, ktoby chciał wyrugować marzenia z życia, a już tym bardziej błędziłby ten, ktoby pragnął młodości odebrać marzenie. A zresztą nie jest to w ogóle możliwe. Marzenie stanowi integralną część młodości.

Natomiast zachodzi coś innego. Marzenie może być błahe, może być także wielkie i podniosłe. Związane może być z zachcianką pustą i głupią, nikomu niepotrzebną, nawet samemu marzycielowi — i może być związane z rzeczami, którym warto całe życie poświęcić, dla których opłaci się nawet życie oddać w ofierze.

Każdy kto osiągnął już pewien stopień dojrzałości wewnętrznej, dobrze robi, gdy podda głębszej rozwadze swoje marzenia. Można tu postawić mnóstwo pytań, na które warto spróbować dać sobie zupełnie rzetelne odpowiedzi.

Skąd powstają? Czy z chwilowych zachcianek, czy z głębszych pobudek będących wynikiem przeżyć istotnych i prawdziwych? Co mają na widoku? Czy osiągnięcie doraźnych, a na krótką metę obliczonych przyjemności, czy też zadośćuczynienie trwałym i poważnym tęsknotom?

Czy skierowane są ku własnym potrzebom, czy też dotyczą zamierzeń przekraczających prywatny interes jednostki?

I gdy się w ten sposób przeanalizuje swoje marzenia, to okaże się na pewno, że można uszeregować je w kolejności ich wagi i znaczenia, a wówczas już spokojnie i chłodno ustalić, jakim z tych marzeń poświęcić czas

i pracę w celu ich realizacji, a jakie skreślić z porządku dziennego, jako niewarte zachodu, nieistotne i zbędne.

Bo z góry można przewidzieć, że człowiek, który ma zbyt wiele marzeń, nie potrafi żadnego całkowicie zrealizować. Im mniej się marzeń posiada, tym większa jest szansa, że się je urzeczywistni.

Urzeczywistnienie marzenia może być wprawdzie dziełem przypadku (takie rzeczy zazwyczaj zdarzają się w bajkach, w życiu dużo rzadziej), ale najczęściej marzenie, jeśli ma zostać zrealizowane w życiu, jest bardzo wymagające: żąda dużo czasu, myśli, troski, pracy, wysiłków.

Kto do swych marzeń ustosunkowuje się poważnie, kto ich nie lekceważy (a lekceważenie marzeń jest obdzieraniem ich z wszelkiego piękna), ten ograniczy liczbę swych marzeń. Ale za to te nieliczne, jakie sobie pozostawi, nadadzą prawdziwy sens, głębokie znaczenie jego całemu życiu. Będzie je hodował jak się hoduje najpiękniejszą roślinę; będzie o nich ustawicznie myślał, ustawicznie nad nimi pracował i będzie widział jak w jego oczach *marzenie życia* zamieni się w *dzieło życia*, a to jest największa i najbardziej uszczęśliwiająca rzecz, jaka jest człowiekowi dostępna.

Zdaje się, że ludzie jednego, jedyne marzenia, które umieją zrealizować, są ludźmi najszcześliwszymi.

Siłą marzenia jest siłą olbrzymią. Godnym litości i pożałowania jest człowiek, który marzeń nie posiada. Ale niemniej godnym litości i pożałowania jest ten, kto swemu marzeniu nie umie dać tyle pracy, troski, odwagi i wytrwałości, ile ono od niego wymagało.

ROZDZIAŁ II

Wydaże mi się, że słuszną będzie rzeczą, gdy zajmę nieco czasu czytelnikowi opowieścią o rzeczach wielkich i małych. Bo przecież co dzień w życiu mamy z nimi do czynienia, co dzień musimy się zajmować tymi czy innymi drobiazgami i co dzień dowiadujemy się o rzeczach doniosłych i poważnych, czy to osobiście biorąc w nich udział, czy też informując się o nich np. z prasy. Zazwyczaj interesujemy się raczej sprawami ważnymi i wielkimi, lekceważymy zaś błahe i drobne, z wyjątkiem oczywiście, gdy te drobne nas osobiście dotyczą, bo wówczas bardzo jesteśmy na nie wrażliwi.

Otóż właśnie tym rzeczom warto chwilę czasu poświęcić. Człowiek, jak każde ciało fizyczne, reaguje na wszystko, co się we wszechświecie dzieje. Falowanie ziemi spowodowane wybuchem wulkanu na drugiej półkuli, a rejestrowane przez precyzyjne sejsmografy, przebiega i przez nasze ciała, przebiega jednak tak słabo, że nie zdajemy sobie z tego sprawy. Słońce świeci nam i grzeje, ale również i od najdalszej z gwiazd otrzymujemy pewną ilość światła i ciepła, choć jest ona tak nikła, że spostrzeżeniu naszemu się wymyka.

Każdy z nas jest jakby miejscem, w którym skupiają się wszelkie możliwe działania wszystkiego, co jest w kosmosie, wszelkie możliwe drgania, wpływy, falowania, światła, głosy i t. d. Można by powiedzieć, że ciało nasze nie kończy się na powierzchni skóry, że rozprzestrzenia się znacznie dalej, aż tam, skąd działają siły, na które ciało nasze fizycznie reaguje. A siły takie działać mogą z niezmiernych odległości. Gdy przez teleskop oglądam mgławicę, odległą ode mnie o setki tysięcy

lat światła, mój zmysł wzroku, wzmożony i spotęgowany przez lunetę, sięga przecież w te niesłychane odległości, i sondując głębię nieba, zapuszcza się aż do tych przepastnych głębin. A to, na co dziś nie reaguję ze względu na niedoskonałość moich zmysłów, jutro może mi się uświadomić dzięki wynalazkowi jakiegoś nowego narzędzia postrzegania.

Człowiek jest więc jakoby lustrem świata, w którym odbija się wszystko, co się na świecie dzieje. Niektóre z tych odbić dochodzą do naszej świadomości w postaci światła, ciepła, dotyku, czy głosu; olbrzymia większość nie jest rejestrowana przez nasze zmysły, jakoby mijając naszą świadomość.

Reagujemy ostro na ból spowodowany oparzeniem od niezgrabnie zapalonej zapalki, ale gdyby nie usłudźni astronomowie, łaskawie nas informujący o zjawiskach zachodzących w międzygwiazdnych przestrzeniach, nie wiedzielibyśmy nic o rozbłyśnięciu tej czy innej gwiazdy nowej, co jest przecie potężnym wstrząsem kosmicznym. Z przykrością dowiadujemy się o lekkiej grypie przyjaciela, a nie wiemy wcale, że jakiegoś dnia tajfun, szalejący na wybrzeżach japońsko-chińskich zatopił kilkuset rybaków koreańskich.

Cóż jest więc rzeczą wielką, a co małą na świecie?

A w życiu społeczeństwa, w życiu zbiorowym ludzkości? Człowiek nie żyje samotnie; jest wprzęgnięty w życie zbiorowe, a w życiu zbiorowym co dzień, co godzina dzieje się mnóstwo nowych rzeczy. Zachodzą ważne wydarzenia historyczne; wspaniałe wynalazki techniczne głęboko przeobrażają życie, doskonałą się metody pracy ludzkiej, organizuje się wymiana towarów, powstaje zagadnienie cen, płacy robotniczej, czasu pracy, zarobku i dochodu.

Rozgrywają się ustawicznie konflikty między sprzecz-

nymi interesami, doprowadzając często do próby sił w drodze walki orężnej.

W tym wszystkim człowiek bierze udział, przy czym nie jest przez nikogo pytany czy sobie tego życzy. Chce, czy nie chce, uczestniczy w historii, w procesach gospodarczych i społecznych, bardzo często nie orientując się zupełnie, dlaczego w danej dziedzinie życia zbiorowego zachodzą zmiany, które nieraz na własnej skórze odczuwa.

Czy ważną jest rzeczą, że jeden, drugi i dziesiąty rolnik amerykański lub brazylijski plantator kawy w pogoni za większym zyskiem obsiał większą powierzchnię ziemi pszenicą lub kawą? Wydawałoby się, że zysk plantatora z drugiej półkuli nie jest znów rzeczą tak bardzo doniosłego znaczenia. Ale gdy ceny produktów rolnych w nadmiarze wyprodukowanych zaczynają spadać na rynku międzynarodowym, gdy rolnik zaczyna na skutek tego pracować z deficytem, kurczy swoją konsumpcję i zatrzymuje fabryki, które tracąc konsumenta, nie mają dla kogo pracować i wyrzucają na bruk setki tysięcy robotników — to taki fakt, który znamy wszyscy z doświadczenia ostatnich lat kryzysu, jest rzeczą o bardzo znacznej doniosłości.

Cóż tedy w życiu zbiorowości ludzkiej jest rzeczą wielką a co małą? To samo pytanie postawić możemy w odniesieniu do osobistego życia każdego z nas. Bo każdy z nas na myśl czymś ustawicznie zajęta. Mózg nie próżnuje ani chwili, ani sekundy. Myśli o wszystkim: o tym, co dotyczy jego osobiście, o ludziach dalszych i bliższych, o rzeczach, o których go informują inni, a często myśleć musi o sprawach, które go wcale nie interesują.

I każdy z nas czuje. Czuje przykrość lub przyjemność, gorycz lub słodycz, zimno lub ciepło, głód lub przesyty, sympatię lub niechęć, współczuje z kimś lub koło kogoś przechodzi obojętnie. Są uczucia, koło których łatwo prze-

chodzi do porządku dziennego, są inne, które uważa za doniosłe.

Jakież ma sprawdziany tego co ważne i co nieważne, tego co wielkie i co jest małe?

A zresztą co jest w ogóle rzeczą małą? I czy istnieje jakiś ustalony stosunek między wielkością przyczyny a doniosłością skutku? Wszak lekkie dotknięcie cyngla powoduje wystrzał, który śmierć spowodować może. Minimalna ilość trucizny zabija. Znikomej wielkości mikrob spowodować może straszliwą epidemię, w której setki tysięcy ludzi może postradać życie. Lekkie muśnięcie pędzlem stanowi o artystycznej wartości dzieła sztuki. A może ułamek sekundy stanowi o losach świata?

A dla sprawy zwycięskiej wojny i związanej z nią wolności narodu cóż znaczą miliony zabitych i rannych?

Rzeczy wielkie przedziwnie się przeplatają z małymi. Ileż wielkich zdawałoby się rzeczy przemija na zawsze i pogrąża się w ludzkiej niepamięci; ileż spraw pozornie drobnych pozostawia potężne skutki długo lub trwale działające?

Nie należy zatem gardzić rzeczami małymi. W każdej małej rzeczy kryją się wielkie tajemnice. Każda rzecz mała w pewnych warunkach może się rozwinąć w wielką.

Tak tedy otoczeni jesteśmy ustawicznie i ze wszystkich stron przez nieskończony szereg spraw wielkich i małych, potężnych lub zgoła dla nas niedostrzegalnych, które się dalej lub bliżej od nas dzieją.

Jużdąma przyroda segreguje je na miarę, czy też według możliwości człowieka. Po prostu nie dopuszcza do naszej świadomości miliardów drgań, falowań, głosów, którymi wypełniony jest wszechświat. I powinniśmy jej za to być wdzięczni. Przerazenie ogarnia na myśl, co by to było, gdyby świadomość nasza przyjmowała do wiadomości każde drgnienie eteru, każdą falę elektromagne-

tyczną, szmer każdy, jednym słowem wszystko, co się na świecie dzieje. Żaden człowiek tego by nie wytrzymał.

Ale nawet to co do świadomości dochodzi, przekracza nasze możliwości. Jest tego takie mnóstwo, że niesposób zajmować się tym wszystkim. Świadomość ludzka, która by się całym swym bogactwem doznań chciała interesować w najkrótszym czasie zamieniłaby się w jakiś bezsensowny śmietnik, w którym wszystko byłoby beładnie pomieszane.

Trzeba się zatem koniecznie ograniczyć, trzeba wybierać. Z niesłychanej ilości spraw i rzeczy, dochodzących do naszej świadomości wybieramy tylko niektóre. Im mniej tym lepiej. Wybieramy zaś — lub powinniśmy wybrać, jeśli chcemy zachować się rozsądnie — tylko te, które nas prawdziwie interesują. Interesować nas mogą głębiej i poważniej te z nich, których przebieg w jakiś sposób może być uzależniony od naszej woli, w sensie działania lub poznania, co zresztą ma z sobą dużo wspólnego, jako że działanie bez poznania prowadzi prostą drogą do absurdu.

Działanie nie jest niczym innym, jak tylko zmienianiem istniejącej rzeczywistości. Wybieramy zatem z reguły to, co leży w możliwej orbicie naszego działania.

Istnieć musi jakaś głębsza odpowiedniość pomiędzy aktem wyboru a naszą konkretną celową działalnością, pewna swojego rodzaju równowaga między tym, czym się chcemy interesować a możliwościami naszego działania, bo w przeciwnym razie sił nam braknie *plizwyko-*nanie zamierzonego celu. I odwrotnie: nie jest dobrze, gdy chcemy za mało; siły nasze nie są wtedy należycie wykorzystane.

Gdy równowaga ta jest zakłócona wytwarza się pewnego rodzaju stan chorobowy, którego symptomy mogą być bardzo różne. Najpospolitszym jest *jałowe marzycielstwo*.

Taki marzyciel choruje na nieomogę woli. W marzycielstwie błady cień woli unosi się ponad mnóstwem nęcących obrazów i nie jest w stanie żadnemu dać zastrzyku żywej, pulsującej krwi, aby doprowadzić do ich realizacji. Przed wyobraźnią takiego człowieka przesuwają się mnóstwo nęcących zjaw, pożądaných celów, przepięknych wizyj, których żalosnym przeznaczeniem jest pozostać na zawsze w sferze niezrealizowanych możliwości. Im zdolniejszy, bardziej inteligentny jest taki marzyciel, tym bardziej jest politowania godny i tym bardziej przemarnowuje swoje życie. Przerzuca się od jednych zagadnień do innych, ledwie zaczął jedno, już sięga po drugie, ażeby w rezultacie niczego nie doprowadzić do końca.

Nie potrafił zrobić rozumnego wyboru, nie potrafił się ograniczyć do spraw istotnie dla siebie ważnych. Pragnąc dokonać rzeczy wielkich, popsuje nawet małe. Wola jego, słaba i zdeorientowana, nie może postawić sobie twardego żądania i należycie ich wyegzekwować.

Ale znacznie gorszy zachodzi wypadek, gdy następuje dalej idący rozbrat między przedmiotem wyboru a wolą i działalnością, gdy wola nie złączona z wysiłkiem własnym zwraca się z żądaniami do kogo innego, od innego nie od siebie żąda pracy, stawiając wymagania i programy, którym nie chce zapewnić własnego wysiłku. Zamiast zakasać rękawy i zabrać się do roboty, chcemy, żeby inny lub inni coś za nas robili. Gdy zaś ci inni nie chcą się nam podporządkować, którego to prawa nikt im przecie odmówić nie może, gdy nie chcą lub nie mogą działać tak, jakbyśmy sobie życzyli, jesteśmy obrażeni, niezadowoleni, zgorzkniali, dokuczliwi i w rezultacie stajemy się bezpłodnymi krytykami wszystkiego, co się pod słońcem dzieje.

Takich malkontentów jest w Polsce bardzo wielu. Jest

to nasza istna plaga społeczna, z którą bardzo trudno sobie poradzić. Są to bardzo nieszczęśliwi ludzie, ale tym niemniej należy ich zdecydowanie tępić, jako zdeklarowanych szkodników. Taki człowiek sam nie nie robi, ale ustawicznie będzie miał pretensje za to, że inni robią nie to lub inaczej niż on by sobie tego życzył. Jest uosobieniem braku wiary w siebie i we własne siły, a na otoczenie działa rozkładowo i demoralizująco. Nie jest w stanie zobaczyć, że wokół niego odbywa się wielka praca, że drobne rzeczy składają się na znaczne osiągnięcia, że zachodzi znaczna ilość wydarzeń o pierwszorzędnej doniosłości i niezwykle ważnych następstwach, że życie posuwa się naprzód. Tego wszystkiego nie widzi. Widzi tylko, że coś dzieje się nie tak, jak sobie wymyślił i to mu spokoju nie daje.

Owszem, dysponuje jednym jedynym sposobem działania: znakomicie umie protestować. W tej dziedzinie osiągnął poziom niezwykle wysoki. Jest urodzonym protestowiczem. Protestuje przede wszystkim przeciw poczynaniom rządu, bo obrażony jest na rząd, że nie chce go wysłuchiwać i naginać się do jego gustów. Protestuje przeciw zarządzeniom władz i urzędów, przeciw pracy instytucyj i stowarzyszeń, przeciw działalności osób prywatnych, przeciw wszystkiemu, co się wokół niego dzieje.

A trzeba uwzględnić, że ludzie tego typu są zazwyczaj ambitni. Posiadają najczęściej ambicję władzy lub stanowiska.

Prawdziwe nieszczęście zaczyna się wtedy, gdy jakimś zbiegiem okoliczności te stanowiska uzyskują. Zwalają wtedy wszystkie niepowodzenia na innych: na podwładnych, przeciwników, byle tylko nie uznać swojej winy.

Protestomania święci triumfy najkapitałniejsze na wszelkiego rodzaju tłumnych zebraniach i wiecach politycznych. Zwyczaj jest taki, że wiece tego rodzaju kończą

się rezolucjami, w których zawsze znajdzie się co najmniej parę ustępów, zaczynających się od słowa: protestujemy. W atmosferze zbiorowego podniecenia, jakie towarzyszy zawsze wszelkiej masowej akcji politycznej powodzenie będzie miał największe ten, kto najgłośniej i najwymowniej umie protestować. Toteż protestuje się aż do znużenia: socjaliści przeciw faszystom, demokraci przeciw konserwatystom, wieś przeciw miastu, komuniści przeciw policji a wszyscy przeciw rządowi.

Ażeby zaś uzasadnić protesty czymś pozytywnym, dodaje się do nich jeszcze żądania, najczęściej zgoła niemożliwe, a domagające się wszelkich pomyślności z dodatkiem raju na ziemi, skierowując te żądania pod adresem tych właśnie, przeciw którym dopiero co się protestowało. Im ostrzejsza jest taka rezolucja, im mocniej protestuje, im bardziej niemożliwych rzeczy żąda, tym więc „udaje się“ lepiej. Oczywiście, praktycznych korzyści z tego nikt nie odniesie żadnych, co najwyżej zakłócony będzie porządek publiczny.

Ta niezawodna metoda siania zamętu i niezadowolenia używana jest z dużym powodzeniem przez wszelkiego rodzaju „agentury obce“, których celem jest działanie na szkodę państwa i narodu. Powołuje się do życia specjalne, a bardzo różnorodne ligi wszelkich pomyślności, których jedynym zadaniem jest ustawiczne protestowanie. Znamy te rzeczy dokładnie w Polsce.

Szczególniej w czasach, gdy nie okrzepliśmy jeszcze dostatecznie jako państwo, gdyśmy jeszcze nie uzyskali dostatecznego autorytetu i znaczenia w stosunkach międzynarodowych, ktoś gdzieś ustawicznie protestował przeciw temu, co się u nas działo, licząc na niewątpliwą oddźwięk wszystkich naszych rodzimych malkontentów i na wywołanie tą drogą jak największego zamieszania i skłócenia naszego społeczeństwa.

Uprawiając metodę protestów i żądań, innym, nie sobie stawianych, człowiek gubi poczucie wszelkich granic rozsądku i możliwości. Żądać mało nie warto; skoro się żąda, to już dużo, więcej, najwięcej. Gdy człowiek zabierając się do pracy, staje oko w oko z własnym wysiłkiem, żądaniom jego woli kładzie kres poczucie zakresu sił własnych. Żądając od siebie bardzo wiele, żąda się zawsze przecie rzeczy możliwych do spełnienia. Praca, którą pełnię, chroni mnie najskuteczniej przed wymaganiami nierealnymi i tylko kontrolując ustawicznie zamierzenia w stosunku do rzeczy dokonanych, mogę żyć w świecie prawdziwej rzeczywistości, a nie złudy i nierealnych iluzji.

Człowiek, który całe życie protestuje, nie żyje w świecie realnym. Nie zna prawdy życia, bo poznać ją można tylko w pracy. Jego myśl buja ponad rzeczywistością. Rojąc o rzeczach wielkich, skazany jest zawsze na pozostawanie poza orbitą wszelkiej wielkości. Taki jest jego los i przeznaczenie, pożałowania godne.

Mogłoby się zdawać, że zasada równowagi między zamierzeniem a praktycznymi wymaganiami życia idzie wbrew mickiewiczowskiemu hasłu „mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił“, które jest wiecznym i głęboko mądrym hasłem młodości.

Popełniłby jaskrawy błąd, kto by tak sądził. Mickiewicz mówi najoczywiściej o stosunku wielkości zamiaru do wielkości *własnego* wysiłku. Nakazuje nie cofać się nawet przed zadaniami najtrudniejszymi, ale nakazuje jednocześnie uruchomić całą potrzebną energię czynu, przewalczyć wszelkie opory, wytrwać w swym dziele i dzieła swego dokonać. I na pewno nie mówi o zwracaniu się do innych z żądaniem realizowania swoich zamiarów.

W historii naszej ojczyzny znajdziemy dość przykładów takich wielkich indywidualnych i zbiorowych

porywów, gdy kuszono się niemal o niemożliwość, zdobywano się na wysiłek olbrzymi i dzieło rozpoczęte doprowadzano do końca opierając się jedynie i wyłącznie o własną pracę. Żeby nie sięgać zbyt daleko wstecz wskażę tylko na dzieło mego pokolenia, dzieło odzyskania niepodległości Polski. Ci którzy pod przewodem Wielkiego Marszałka rozpoczynali jeszcze w przedwojennych czasach pracę bojową, potem strzelecką a następnie pełnili żołnierską służbę w szeregach Legionów, aby ją zakończyć wygraniem zwycięskiej wojny w roku 1920, porwali się na zamiar olbrzymi, ale nie spychając pracy na innych, niczego od nikogo nie żądając, stawiając natomiast sobie samym wymagania ogromne, przez trud i ofiary wypełnili rzecz o decydującym dla narodu polskiego znaczeniu, dając mu niepodległość państwową. Zamiar był olbrzymi, ale i wysiłek ponad przeciętną był skalę. Hasło mickiewiczowskie znalazło tu całkowite zastosowanie i w rezultacie osiągnięto sukces o dziejowej doniosłości.

Wątpliwości żadnej nie ulega, że dzięki temu sukcesowi następne pokolenia będą nawracały do epoki Marszałka Piłsudskiego szukając w niej powiewu wielkości, który poczęty został w duszy Wodza i przekazany Jego żołnierzom zarówno tym, co polegli w boju jak i tym, co przez los szczęścia oszczędzeni, wytrwali w swym wysiłku do końca.

W znanym powszechnie odczycie o 1863 roku Marszałek Piłsudski zadaje dziejom tego roku pytanie: „Wielkości, gdzie twoje imię?” — i odpowiedź znajduje w rzeczy niezmiernie drobnej, bardzo malutkiej, którą schować można w kieszeni od kamizelki: w pieczęcie Rządu Narodowego. W epoce wielkich zmagania się i walk, w epoce maksymalnego napięcia woli, męstwa i ofiary, Piłsudski znajduje znamię wielkości nie w wodzach, z których żaden do wielkości prawdziwej nie dorastał, ale

w pieczętce, na skrawku szarego papieru w tajemnicy przykładanej, w pieczętce, która zyskała taki posłuch, taki w społeczeństwie powszechny szacunek, że rozkazy tajnego Rządu dysponującego bardzo małą egzekutywą, rozkazy ciężkie, wojenne, były wypełniane bez wahania i skrupulatnie.

Wielkością epoki była umiejętność podporządkowania się ludzi wielkiej idei usymbolizowanej w małej pieczęci.

Być może zagadnienie w ten sposób przez Marszałka Piłsudskiego postawione da się zgeneralizować. Być może analizując bliżej każde wielkie dzieło, zdarzenie, osobistość, znajdziemy ostatecznie jakąś pozornie maleńką rzecz, drobną a żywy symbol, w którym, jak w ognisku, skupiają się i krzyżują doniosłe siły dające w wyniku znamię wielkości. Przecież jedno z najdonioślejszych wydarzeń w życiu ludzkości — wojna, w której udział biorą setki tysięcy i miliony ludzi, składa się z mnóstwa stosunkowo drobnych, znikomych epizodów, które złączone w jedną całość pod nakazem, wolą i myślą Wodza Naczelnego, razem się dopiero składając na pełnię dzieła wojennego, dają w rezultacie wielkie zwycięstwa, również wielkie klęski i wielkie epoki wyznaczają.

Wielkość ma w sobie coś upajającego. Tęsknota do niej jest moralnym prawem człowieka. Szarym i nikłym człowiekiem jest ten, kto marzyć o wielkości nigdy nie umiał. Trzeba tylko zrozumieć prostą, ale zasadniczą prawdę, że wielkość realizuje się nie tylko w rzeczach i sprawach wielkich o historycznej doniosłości, o epokowym znaczeniu; że równie dobrze a znacznie częściej, daleko częściej niż to zazwyczaj przypuszczamy, odnaleźć ją można głęboko ukrytą w rzeczach i sprawach drobnych, o których wie niewielu ludzi, w wysiłkach heroicznych, o których żadne dzieje nie będą pisały. Dla człowieka, który to rozumie, nie będzie tajemnicą, że ludzi o cechach

wielkości jest bez porównania więcej niżby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło; a uważny i sumienny obserwator odnajdzie te cechy u wielu bardzo skromnych, cichych a nie szukających rozgłosu ludzi.

Bo zapominać nie można, że wielkość wcale niekoniecznie idzie razem ze sławą i co innego jest tęsknota do wielkości, właściwa każdej szlachetnej duszy, a co innego pragnienie sławy, którym się często powodują ludzie puści i nicwarci. Tych dwu rzeczy nie trzeba z sobą utożsamiać. Pragnienie sławy, żądze oklasku i uznania innych widzimy u każdego aktora, choćby był jak najmniej utalentowany. Ale, o ile wysoko cenimy sztukę dramatyczną i słusznie stawiamy pomniki wielkim aktorom, o tyle nie lubimy aktorstwa w życiu.

Bo życie nie jest sceną teatralną, na której należy odegrać rolę i uzyskać za nią brawo. Życie jest rzeczą ponad wszelki wyraz poważną, jedyną, niepowtarzalną; jest w nim miejsce na rzeczy naprawdę wielkie i najgłębiej wzniosłe. A przy tym pełne najwyższego piękna, jakim jest piękno ludzkiej duszy.

Że tak jest, świadczy o tym dziedzina, która zawsze wywierała na ludzi przedziwny urok, i zarówno w sztuce, jak w wychowaniu odgrywa bardzo dużą rolę: dziedzina legendy.

W jaki sposób legendy powstają? Tworzą się wtedy, gdy wyobraźnia ludzka znajduje się pod silnym wrażeniem wielkości ducha lub wielkości wydarzeń. Gdy w jakimś środowisku zdarzyło się coś wyjątkowego, gdy człowiek dokonał czynu, wyrastającego ponad poziom przeciętności, w krótkim czasie powstaje koło danego człowieka lub wydarzenia aureola legendy. Nierzadko zawodna pamięć zmienia wypadki, upiększa je lub dodaje momenty grozy, często zupełnie odwraca sytuacje, ale zawsze jest wyrazem zbiorowego poczucia tego, że w danym

punkcie czasu i miejsca przeszło ponad rzeczywistością i zawładnęło nią znamię wielkości. Legenda osnuwa swą siecią wielkie boje, wielkie czyny, wielką miłość, wszystko to, w czym duch ludzki może znaleźć swoje najpełniejsze odbicie.

Weźmy pierwsze z brzegu: legenda ofiary o Wandzie, co nie chciała Niemca, legenda pokory i ubóstwa w kwiatkach świętego Franciszka, legenda miłości Tristana i Izoldy, legenda honoru Księcia Józefa, legenda wojny Napoleona i wreszcie w naszych oczach, przy naszym czynnym uczestnictwie tworząca się legenda Piłsudskiego i jego żołnierzy — legenda bohatera.

Dzieło ludzkiej wielkości ubrane zostaje w szaty piękna, i w kształt artystyczny zaklęte, staje się na zawsze własnością zbiorową społeczeństwa, narodu, ludzkości, wywołując w sercach ludzkich zespół obrazów o znacznej sile dynamicznej i wywierając drogą najbardziej niezawodną, drogą trafiania do uczucia, ogromny wpływ wychowawczy.

Legenda nie opiewa wielkich haseł lub programów, nie gloryfikuje tych, co zbytęcznie poszukując ideałów, przechodzą przez życie z pustymi rękoma lub tych innych co żądają i protestują. Legenda mówi nam o wielkich uczuciach, wielkich wyrzeczeniach się i ofiarach, wielkich wysiłkach, wielkich pracach nie dla sławy dokonanych, ale z prawdy dusz ludzkich poczętych, które dopiero następne pokolenia wieńczą laurem sławy.

Zapewne, nie każdy może być wielkim człowiekiem. Ale każdy może w dziele wielkości uczestniczyć, a to jest bardzo dużo, więcej niż się wydaje niejednemu.

Bo przez nasze właśnie ręce, ręce zwyczajnych ludzi, przepływa bieg ciągle zmiennej rzeczywistości, prąd ustawicznego stawiania się rzeczy nowych.

Przepływając przez nasze ręce, rzeczywistość pod ich

wpływem kształtuje się i narasta. To my ją tworzymy. Jeżeli dzień dzisiejszy niepodobny jest do dnia wczorajszego, to dlatego, że jest od dnia wczorajszego o pracę naszą bogatszy. Że przesiąkł ludzkim wysiłkiem, ludzką wolą, że zdeponowane w nim są skarby ludzkiej myśli i ludzkiego uczucia, i te to czynniki nadały dniu dzisiejszemu kształt nowy, tak jak nowy, inny kształt nadadzą nadchodzącemu jutru.

Nieuniknionym zadaniem człowieka jest tworzenie coraz to nowej rzeczywistości. Tworząc ją niech stawia swoim rękom wymagania jak największe, niech je — często leniwe i ospałe — zmusza do najwyższego wysiłku nie żądając od innych pracy, która musi być jego własnym udziałem, a poczuje najniewątплиwiej, że wszystko, co go otacza, wszystko czym i w czym żyje, ma wielkie, doniosłe znaczenie, że życie jest rzeczą wielką, a rzeczami małymi są tylko te, w których fałsz, zła wola, gnuśność i sobkostwo znajdują swoje odbicie.

Powróćmy do tego, co się mówiło o konieczności wyboru. Stwierdziliśmy, że już sama przyroda dopuszcza do naszej świadomości zaledwie drobną część tej nieskończonej ilości sił, wpływów i oddziaływań, jakim ciało nasze z wszystkich punktów wszechświata ulega. To, co do naszej świadomości dochodzi podlega dalszej selekcji, której sprawcą jest nasza wola. Zatrzymuje się ona przy tych sprawach, które leżą w orbicie naszego działania. Wybiera spośród mnóstwa naszych doznań te, które są jej potrzebne dla budowania życia, to znaczy kształtowania takiej rzeczywistości, jakiej człowiek pragnie. W chwili, gdy piszę te słowa, skupiam się wyłącznie na treści tego, co chcę powiedzieć; wola moja z całą surowością eliminuje z pola mojej świadomości wszystko, co nie ma związku z moją pracą, koncentruję się cały na jednym zagadnieniu, zapominam o wszystkich innych

rzeczach i sprawach, nie zwracam uwagi na to, co się naokoło mnie dzieje, jednym słowem ulegam całkowicie rozkazom mojej woli, która wie dobrze, co ma mej świadomości zostawić, a co odrzucić, jako rzeczy zbędne i dla skupienia uwagi szkodliwe.

Tych momentów wyboru jest w życiu człowieka nieskończenie wiele, bo przejawiają się one w każdej chwili, w której skupiamy wolę na danej sprawie. Spomiędzy nich jest jednak jeden na pewno najważniejszy, najbardziej płodny w dobre lub złe następstwa. Mówię o wyborze zawodu. Jest on równoznaczny z wyborem drogi życia.

Nic więc dziwnego, że przywiązujemy do niego wszyscy takie znaczenie. I nic dziwnego, że stanowi on trudny moment w życiu. Tym bardziej trudny, że zachodzi w latach młodości, gdy dojrzałość życiowa nie jest jeszcze znaczna, wola niedostatecznie okrzepnięta, zamiłowanie często niesprecyzowane, a świadomość swoich uzdolnień i sił nienazbyt pogłębiona. Dlatego też widzimy tyle błędów w tej dziedzinie, błędów ciężkich, które przeważnie już się odrobić nie dadzą.

Nie mogę tu udzielać żadnych rad i wskazówek, tym bardziej, że nie na wiele by się one przydały. Jest to zagadnienie, które każdy musi zdecydować sam dla siebie, na własny rachunek i na własną odpowiedzialność. Szczęśliwi, którzy w chwilach wahania i niepewności posiadają mądrych przyjaciół mogących ułatwić chwilę decyzji przez bezpośredni w niej udział.

Przypuśćmy jednak, że wszystko odbyło się jak najlepiej i jak najszlachetniej, że zawód został wybrany ku zupełnemu zadowoleniu zainteresowanego.

Co z tego wynika? To, że akt naszej woli skierowujący nas ku takiej a nie innej drodze życia, ku pełnieniu takich a nie innych czynności, wyeliminował z naszego życia mnóstwo możliwości, które nie mieszczą się w ramach wy-

branej przez nas pracy. Zawód wymaga koncentracji wysiłków, nie pozwala na ich bezcelowe rozpraszanie. Pole naszej życiowej uwagi zostało zwężone, zainteresowania ograniczone na korzyść tej dziedziny, którąśmy wybrali za teren naszej pracy i twórczości.

Znamy wszyscy wesołe i śmieszne anegdotki o roztrągnięciu uczonych, którzy, nie tylko zresztą w anegdotach, o Bożym świecie nie wiedzą, pogrążeni w swoich badaniach; anegdoty oczywiście bardzo przesadzają. I wśród uczonych znajduje się znaczna ilość ludzi, z którymi nie tylko o ich dziedzinie wiedzy można miło i rozsądnie rozmawiać. Ale w karykaturze anegdoty tkwi głęboka prawda: tylko za cenę ograniczenia się do określonych dziedzin pracy można czegoś poważnego dokonać.

Zapewne, od czasu do czasu urodzi się jakiś Michał Anioł, który był rzeźbiarzem, malarzem, inżynierem i poetą, lub Leonardo da Vinci, który malował, rzeźbił i uprawiał naukę; — lub Piłsudski społecznik, wódz, mąż stanu i pisarz — ale są to zjawiska wyjątkowe. Normalnie biorąc poważne rezultaty można uzyskać tylko na bardzo ograniczonym terenie działania.

Życie ludzkie jest zatem ciągłym, ustawicznym wyborem, który jest równoznaczny z odsuwaniem wszystkiego, co nie leży na linii naszych zamiarów, zadań, jakie sobie stawiamy, pracy, jakiej chcemy dokonać. Przez całe życie niemal aż do chwili zgonu stają przed nami dwa zasadnicze pytania: co mam robić? i drugie: jak mam robić? — Na te pytania nie czym innym, jak naszą pracą dajemy odpowiedź. Suma życia, jego wynik obiektywny, jego wartość jest sumą tych świadomych i celowych wysiłków, w które wkładamy całą naszą istotę, upór, wytrwałość, pracę, dobrą wolę.

To są warunki, którym każde życie ludzkie musi zadośćuczynić, jeśli mamy je brać tak poważnie, jak na

to zasługuje. O ile ich nie wypełnia, staje się rzeczą nic nie znaczącą dla społeczeństwa, pustą, małą i nie dającą zadowolenia człowiekowi.

Za to coś naprawdę poważnego, dostojnego, powiedzmy wyraźnie, coś wielkiego jest w życiu człowieka, który swój swobodny, rozumny wybór poprze maksymalnym wysiłkiem rzetelnej pracy. Jeden będzie tworzył wielkie dzieła, inny w tym dziele wypełni swoją część.

Nie o to chodzi, czyje nazwisko pozostanie w historii. Potrzebni są nie tylko twórcy, ale i współuczestnicy. Wystarczy zupełnie, gdy się wie iż w rzeczy wielkiej, która przy moim współudziale powstała, znajdzie się nieco ze mnie — z mojej woli i mojej pracy.

W świetle tak rozumianej najgłębszej prawdy życia nie ma rzeczy wielkich i małych — są tylko, niestety, mali ludzie.

ROZDZIAŁ III

Człowiek sam sobie nie wystarcza. Jest nierozdzielnie związany ze światem, w którym i z którym żyje i gdyby jakimś cudem więzy te nagle prysły, gdyby wszelkie stosunki łączące go z tym wszystkim, co stanowi jego bliższe czy dalsze otoczenie, przestały istnieć, przestałyby jednocześnie istnieć warunki umożliwiające ludzkie życie.

Jest ta prawda banalna, a jednak nie każdy i nie zawsze zdaje z niej sobie należycie sprawę i rozumie ją dobrze.

Wyodrębnimy tu trzy działy lub może trzy światy, w które człowiek wrasta całą swoją istotą.

Pierwszym jest świat przyrody fizycznej i biologicznej. Uzależnienie jak najdalej idące człowieka od świata tego i praw jego jest oczywiste i żadnych wątpliwości budzić nie może.

Jako ciało fizyczne istota ludzka podlega całkowicie prawom fizyki i chemii i w tym zakresie nie różni się pod żadnym względem od wszelkich innych ciał fizycznych: według tych praw oddziałuje na niego cały wszechświat i odwrotnie.

Jako do organizmu żywego stosują się do niego prawa biologiczne równie dobrze jak do każdego innego żywego stworzenia. Fakt, że przywykliśmy uważać istotę ludzką za doskonalszą od wszelkich innych stworzeń, nie stwarza nam żadnego uprzywilejowanego, wyjątkowego stanowiska w świecie istot żyjących. Tak samo, jak one, rodzimy się i umieramy; podlegamy analogicznym prawom rozmnażania się, dzieciństwa, dojrzałości i starości, rządzą nami analogiczne prawa dziedziczności i przemiany

materii; krótko mówiąc, z tego stanowiska jesteśmy istotami żywymi na ogół bardzo podobnymi do innych istot żywych i na tym koniec.

Jest świat drugi, do którego należymy i bez którego nie bylibyśmy w stanie być ludźmi w istotnym znaczeniu tego słowa. Jest to świat życia społecznego. W świecie tym już nie prawa fizyczne i biologiczne odgrywają rolę decydującą; człowiek uczestniczy w nim przez swoją naturę duchową, która jest naturą na wskrós społeczną.

Wszystko co człowiek w rozwoju swym od stanu pierwotnego osiągnął, temu światu zawdzięcza. Mowa, obyczaj, cała technika życia, sztuka, wiedza — wszystko to osiągnięte zostało w drodze współdziałania i współpracy w zespole — i z wszelką pewnością stwierdzić można, że samotna jednostka ludzka w żaden sposób do tych zdobyczy dojść by nie potrafiła. Życie w społeczeństwie jest zasadniczym warunkiem wszelkiego postępu; ono jedynie było w stanie zrealizować twórcze możliwości człowieka, zbudować jego kulturę obecną i zapewnić jej dalszy rozwój o nieograniczonym wprost zasięgu.

Jest wreszcie i świat trzeci. Świat bardzo dziwny i bardzo tajemniczy a mimo znacznych powinowactw ze światem życia społecznego, bardzo od niego różny. Świat wiary. Człowiekowi nie wystarcza współtrwanie w przyrodzie i współdział w życiu zbiorowym ludzkiego zespołu. Aspiracje jego sięgają głębiej i szerzej. Musi w coś wierzyć. Ta potrzeba wiary jest jedną z najbardziej elementarnych, najbardziej podstawowych potrzeb ludzkich.

Wiara związana jest nierozzerwalnie z pojęciem czasu. Czas mierzymy mijaniem rzeczy i zjawisk. Gdy w otaczającej nas rzeczywistości nastąpiła jakaś zmiana — stwierdzamy, że czas upłynął. A zmiany stwierdzamy zawsze i wszędzie. Wiemy z góry, wiemy na pewno, że wszystko, co istnieje w chwili obecnej, po pewnym czasie przeobraz

się i zmieni, że nic nie pozostanie takie same, jak dzisiaj, że wszystko przeminie, a przede wszystkim, że i my sami przeminimy. I nie możemy nie postawić pytania jaki kres tego wszystkiego? i jaki sens posiadać może rzeczywistość, która nieuchronnie przez wciąż upływający czas skazana jest na zagładę.

Jest w każdym człowieku jakieś niezaprzeczone poczucie, że musi istnieć coś, co w ustawicznym przepływie mijania pozostaje trwałe i nienaruszone. Poczucie to graniczy wprost z samym instynktem życia i jest bardzo głębokie i bardzo pierwotne. Wyzbyć się go człowiek nie jest w stanie.

Potrzebie tej zadośćuczynić nie może żaden układ rzeczy lub przedmiotów, bo rzeczy i przedmiotów o nieograniczonym trwaniu nie ma. Morza wysychają, góry się kruszą, skały wietrzeją. Potrzebie tej zadośćuczynić może tylko jakiś układ wartości, wartości niezmiennych, trwałych, przekraczających w czasie nie tylko życie jednostki ludzkiej, nie tylko trwanie naszego ziemskiego globu, ale w ogóle czas przekraczających. Gdyby całość istnienia skazana była na przeminiecie łącznie z wszystkimi wartościami, całość ta straciłaby wszelki sens, na co instynkt życia w człowieku nigdy się zgodzić nie może.

Tak tedy przez swą istotę fizyczną należy człowiek do świata przyrody, przez swój instynkt społeczny do świata pracy w zespole, przez potrzebę wiary do świata wartości trwałych i bezwzględnych.

O ile istnienie świata przyrody jest obiektywnym faktem, o ile mus pracy w zespole wynika z psychicznej struktury człowieka niemal równie nieuchronnie jak dla mrówki konieczność współżycia ze swoim mrowiskiem, o tyle istnienie świata wartości bezwzględnych, świata wiary, nasuwać może wątpliwości. Bowiem właśnie w tej dziedzinie panują bardzo daleko idące rozbieżności za-

równo w indywidualnych wierzeniach ludzkich, jak i w zwartych i usystematyzowanych układach wartości znajdujących swój wyraz w istniejących religiach i wyznaniach.

A jednak świat wiary istnieje, choć poszczególne wiary poszczególnych ludzi i grup ludzkich mogą się bardzo znacznie od siebie różnić. I nie tylko istnieje, ale odgrywa w życiu niezmiernie ważną rolę, rolę niezastąpioną. Gdy pragnę głębiej poznać człowieka, będę go pytał nie tylko o to, co myśli i co robi, ale również i w co wierzy i odpowiedź na to ostatnie pytanie będzie dla mnie bardzo miarodajna. Bowiem w wierze człowieka wyraża się może najlepiej jego zasadnicza postawa życiowa wobec świata, ludzi i siebie samego — o tyle oczywiście, o ile ta wiara jest żywa, silna i z głębokich przeżyć źródła swe czerpiąca. O tej postawie decyduje bowiem oczywiście układ trwałych wartości, którymi człowiek rozporządza i których miarą ocenia wszystkich i wszystko. Jeżeli ten układ jest układem wartości słabych, mogących ulec łatwemu zakwestionowaniu, jeśli jest niepełny, z sobą sprzeczny, jeśli jest tylko szeregiem domniemań, a nie przeświadczeń z głębi przekonania płynących — to ocena rzeczywistości przez człowieka będzie zawsze problematyczna, niepewna, a może niejednokrotnie zgoła fałszywa, co zawsze musi pociągnąć za sobą daleko idące z życiem nieporozumienia. Wątpliwości nie ulega, że wszystkie wewnętrzne katastrofy, jakim ludzie tak często ulegają, wszelkie załamania się duchowe, upadki, z których wydzwignięcie się jest tak trudne, ucieczki od życia, niepowodzenia, sytuacje bez wyjścia — jednym słowem, to co stanowi przygniatającą większość tragedii ludzkich, spowodowane jest zasadniczymi niedomaganiem właśnie w świecie wartości przyświecających człowiekowi i związane jest najbezpośredniej z zagadnieniami wiary ludzkiej.

Pytaniem zasadniczym, które narzuca się w odniesieniu do każdej ludzkiej wiary jest pytanie: czy dana wiara jest prawdziwa? Byłoby ono zbyt proste, gdyby ludzkość cała zdobyła się na jedną, wspólną wiarę, przez nikogo nie kwestionowaną. Ale tak nie jest — wiar i wierzeń są niezliczone ilości, często wychodzą one z zupełnie sprzecznych podstaw życiowych, często przeczą sobie wyraźnie. W tych warunkach zagadnienie prawdziwości wiary staje się bardzo zasadnicze. Wszakże nie tak dawne są czasy, gdy wyznawanie wiary nieprawdzywej z punktu widzenia tego, kto miał władzę w rękę, powodowało kary bardzo surowe, aż do kary śmierci włącznie, a i dziś nie uznane przez władzę wierzenia społeczne i dawanie im publicznego wyrazu pociąga w Rosji Sowieckiej bardzo przykre konsekwencje dla wyznawców innych, niż uznawane przez państwo, dogmatów.

Czytelnik niewątpliwie rozumie, że dotykam tu zagadnienia niezmiernie ważnego. Cóż bowiem oznacza prawdziwość wiary?

Jest rzeczą wiadomą, że przedmiotu wiary udowodnić nie podobna. Mówi się powszechnie, że wiara nie jest nauką, w której dowód, na prawidłach poprawnego myślenia oparty, jest rzeczą decydującą.

Otóż ta sprawa nie wygląda tak prosto, jakby się to na pierwszy rzut oka przedstawiać mogło.

Zagadnienie jest nieco skomplikowane, dlatego pragnę mu poświęcić trochę miejsca i w możliwie prostych słowach wyjaśnić sprawę dowodu.

Co to znaczy udowodnić jakieś twierdzenie?

Zważmy przede wszystkim, że każde twierdzenie jest zdaniem z gramatycznego punktu widzenia. Zdanie to składa się ze słów. Każde słowo oznacza pewne pojęcie. Jeśli zdanie ma mieć jakiś sens, to każde pojęcie, którym operuje, musi posiadać zupełnie sprecyzowaną treść,

w przeciwnym bowiem razie słowo byłoby pustym, nie znaczącym dźwiękiem.

Pojęcie posiada określoną treść, gdy umiem podać jego definicję. Zdanie: kąt jest częścią płaszczyzny, zawartą między dwiema przecinającymi się prostymi, jest bardzo niedoskonałą ale wystarczającą dla naszych celów definicją kąta i nadaje słowu *kąt* treść ściśle określoną. Ale ta definicja zawiera z kolei cały szereg innych pojęć, które również należałoby zdefiniować, jeśli chcemy uniknąć wszelkich nieporozumień. W ten sposób można by iść bardzo daleko, ale przecież nie do nieskończoności. Na czymś się trzeba zatrzymać, to znaczy przyjąć pewne pojęcia bez definicji. Jakie to mogą być pojęcia, to już zależy od naszego swobodnego wyboru. W geometrii takimi pojęciami są punkt, prosta, płaszczyzna. W logice pojęcia: jest, wynika, i (jako łącznik), lub i t. d.

Stwierdzamy zatem, że w nauce zmuszeni jesteśmy operować pojęciami, których nie definiujemy.

Wróćmy do pierwotnego pytania: co to znaczy udowodnić prawdziwość danego twierdzenia?

Znaczy to wykazać, że wynika ono z logiczną koniecznością z innych twierdzeń (zdań), których prawdziwość nie wzbudza w nas wątpliwości. Może się przecież zdarzyć, że ktoś zakwestionuje ich prawdziwość. Wtedy nie pozostaje nic innego, jak z kolei oprzeć ich dowód na innych prawdziwych zdaniach, których słuszność w analogiczny sposób będziemy się starali udowodnić. Jasne jest, że taki ciąg dowodzeń nie może być prowadzony do nieskończoności. Nikt by na to nie miał dość czasu, a zresztą rzecz byłaby zupełnie bezcelowa. I tu, jak poprzednio, trzeba się z konieczności gdzieś zatrzymać, a więc przyjąć prawdziwość jakichś zdań bez dowodu. Jakich? To znowu zależy od naszego dowolnego wyboru. Zapewne najprostszych, najbardziej dla nas oczywistych.

W rezultacie: w nauce z konieczności przyjąć musimy pewne pojęcia bez definicji oraz pewne twierdzenia bez dowodu. Te ostatnie nazywamy aksjomatami lub pewnikami. Ale cóż to znaczy naprawdę? Czy to, że przyjmujemy na wiarę, iż pojęcia bez definicji w ogóle jakąś treść posiadają, a twierdzenia bez dowodu są prawdziwe? A w takim razie czyż i w nauce moment wiary odgrywa jakąś rolę — i przy tym tak znaczną? Zobaczmy na przykładzie geometrii, który jest przykładem klasycznym, jak ta rzecz wygląda. Znamy wszyscy pewnik Euklidesa o prostych równoległych. Pewnik ten nie wszystkim wydawał się taki prosty i szereg bardzo wybitnych matematyków usiłowało go udowodnić opierając się na pozostałych pewnikach Euklidesa. Próby te zawsze zawodziły. Aż wreszcie dopiero w początkach XIX stulecia matematyk rosyjski Łobaczewski spróbował, co by się stało, gdyby w ogóle zakwestionować słusność pewnika Euklidesa.

Ta myśl okazała się rewelacyjna w następstwach, dała bowiem początek tzw. geometrii nieeuklidesowej, a właściwie różnym geometriom nieeuklidesowym, opartym na innych niż euklidesowy pewnikach, dotyczących prostych równoległych. Gdy więc Euklides twierdzi, że z punktu leżącego na prostej można do danej prostej przeprowadzić tylko jedną równoległą, można założyć z równym prawem, że takich równoległych można przeprowadzić nieskończenie wiele, albo że nie można przeprowadzić żadnej.

I cóż się okazuje? Że na tak różnych założeniach zbudowane układy twierdzeń są dobrze zbudowane, do żadnych sprzeczności nie doprowadzają, wprost przeciwnie, w zwarty, logicznie poprawny i usystematyzowany sposób konstruują naukę, która do geometrii Euklidesa jest bardzo niepodobna.

Dość wspomnieć, że w geometrii nieeuklidesowej suma

kątów trójkąta nie równa się dwóm kątom prostym, a właściwości przestrzeni są zupełnie zmodyfikowane.

Powstaje więc pytanie, która z tych geometrii jest prawdziwa? Bo jedno z dwojga: albo suma kątów trójkąta równa się dwu kątom prostym, albo to zdanie nie jest słuszne. Okazuje się jednak, i to jest w tym wszystkim najdziwniejsze, że prawdziwe są obie, o ile je stosować do tych odległości, z którymi w naszych ludzkich pomiarach możemy mieć do czynienia, z astronomicznymi odległościami włącznie.

A ponieważ nasze poczucie prawdy nie zgadza się na to, aby jednej i tej samej rzeczy przypisywać sprzeczne sobie cechy, to z przykładu, którym się zajmujemy, można by wywnioskować, że w naukach dedukcyjnych zbudowanych na pewnych układach pojęć bez definicji i twierdzeń bez dowodu, zagadnienie prawdy materialnej należy odróżnić od zagadnień prawdy formalnej. O prawdziwości materialnej nauki decyduje doświadczenie: nauka jest prawdziwa, gdy jej rezultaty zgodne są z doświadczeniem. Inaczej jest z prawdą formalną: nauka jest formalnie prawdziwa, gdy buduje swoje twierdzenia na podstawie określonego, niesprzecznego z sobą i zupełnego układu pojęć pierwotnych i pewników oraz na podstawie poprawnego logicznie rozumowania. Z prawdą formalną doświadczenie nie ma najwidoczniej nic do czynienia.

Cóż da się w świetle powyższego powiedzieć o obu geometriach, euklidesowej i nieeuklidesowej? Że formalnie są obie zarówno prawdziwe, materialnie zaś rezultaty obu odpowiadają naszemu doświadczeniu. Jeśli powszechnie w życiu praktycznym stosujemy geometrię euklidesową, to tylko dlatego, że wzory jej są prostsze, co z punktu widzenia techniki życia jest o wiele praktyczniejsze.

Ten przykład geometrii jest dla nas bardzo ciekawy,

bowiem można na nim przestudiować jak delikatną jest sprawą zagadnienie prawdy, jak starannie trzeba odróżniać różne znaczenia tego wyrazu i jak ostrożnie wyrokować, co i w jakim znaczeniu tego słowa jest prawdziwe, a co prawdziwe nie jest. Gdy wskazuję na kwitnący mak i mówię: to jest czerwone, każdy mi przyzna rację, bo widząc kwiat na własne oczy wie, o czym mówię; gdy twierdzę, że prawdziwe jest zdanie: jeśli $a = b$ i $b = c$, to $a = c$, również nikt mi nie zaprzeczy, choć mówię o rzeczach zupełnie nieokreślonych.

Co zatem — po tych wszystkich ubocznych uwagach — da się powiedzieć o prawdziwości ludzkiej wiary? Że materialnie sprawdzić jej nie można, bo świat naszego doświadczenia nie jest światem wartości, ale rzeczy i stosunków między nimi; że natomiast nic nie stoi na przeszkodzie, aby oprzeć nasz układ wierzeń na takim systemie pojęć i pewników, z których dałaby się rozwinąć zwarta, systematyczna i dobrze zbudowana nauka o wszystkich cechach formalnych prawdy.

I dlatego nie jest słuszne, że twierdzeń, dotyczących wiary, udowodnić nie można. Można je udowodnić opierając ich prawdę na prawdzie innych twierdzeń pierwotnych, przyjętych bez dowodu oraz na założeniu, że pojęcia pierwotne, którymi się operuje, posiadają treść określoną, acz nie definiowaną.

Inaczej mówiąc sprowadza się to do tego, że zarówno etyce, jak teologii nie można odmówić miana nauki, o ile w ścisły sposób przeprowadzają swoje wywody.

Ale to nie wszystko. Można mówić o prawdziwości wiary jeszcze w trzecim, różnym od dwu poprzednich znaczeniu, co prawda niestety nie dla każdego dostępnym. Aczkolwiek bowiem sprawy wiary sprawdzeniu i doświadczeniu nie podlegają, to przecież istnieje specyficzna dziedzina doznań ludzkich, którą można by nazwać dzie-

dziną doświadczenia religijnego. Ci, którzy doświadczenie religijne znają, stwierdzają zdumiewająco jednogłośnie, że twierdzenia wiary w tych właśnie dziedzinach objawiają się im w sposób nie mogący budzić żadnych wątpliwości co do ich bezwzględnej prawdy.

Rzecz oczywista, mówiąc o prawdziwości wiary w tym trzecim tego słowa znaczeniu wychodzimy całkowicie poza zakres prawdy naukowej, której wymaganiem zasadniczym jest sprawdzalność dostępna dla każdego. Tu ta okoliczność nie zachodzi. Doświadczenie religijne nie dla każdego jest dostępne, nie każdy je umie przeżywać i dlatego wszystko, co mówią ludzie doświadczenia te znający, będzie dla nas miało charakter rzeczy bardzo subiektywnych. A jednak jest rzeczą głęboko zastanawiającą, że pewne stany, związane z przeżyciami natury religijnej, opisywane są przez tych, co je przeżyli, w zupełnie podobny, niemal identyczny sposób. Jeśli chcemy stać na gruncie naprawdę naukowym, nie możemy lekceważyć tego, co nam podają mistycy, z których niektórzy byli ludźmi wielkiej wiedzy i wielkiego rozumu.

Mamy tu zatem do czynienia ze sprawą bardzo ciemną i trudną, bardzo niewątpliwie ważną a daleką dziś od rozwiązania. Nauka jednak zwróciła w czasach ostatnich baczną uwagę na dziedzinę doświadczeń religijnych, w wyniku czego ukazały się niezwykle poważne prace szeregu pierwszorzędnych uczonych tej właśnie materii dotyczące.

Tyle da się powiedzieć o prawdziwości wiary z poznawczego punktu widzenia. Przejdźmy teraz do innego zagadnienia, do próby klasyfikacji wierzeń.

Jest cały szereg wierzeń, to znaczy twierdzeń, które sprawdzeniu doświadczalnemu podlegać nie mogą, dotyczących wartości moralnych ludzkiego życia i dziedziny ludzkiego życia nie przekraczających, a więc nie związa-

nych ze sprawami i bytami pozaludzkimi. Przykładem tych wierzeń jest cały szereg norm etycznych wyznawanych przez ludzi bardzo rozmaitych wyznań i kościołów, dalej szereg wymagań w stosunku do życia społecznego również od przeświadczeń religijnych zupełnie niezależnych. Gdy twierdzimy np., że prawdomówność jest cnotą, lub, że ustroj społeczny społeczeństwa winien być na sprawiedliwości oparty, ustalamy przez to pewne obowiązujące nas wartości moralne, choć doświadczenie uczy nas codziennie, że kłamstwu można zawdzięczać bardzo poważne sukcesy życiowe, a sprawiedliwego ustroju społecznego dotychczas historia nie zna. Zasady tego typu należą niewątpliwie do kategorii wiar ludzkich i wiary tego rodzaju, które związane są z człowiekiem, ale tylko z człowiekiem, będziemy nazywali wiarami niezupełnymi, w odróżnieniu od wiar całkowitych lub integralnych, przez które będziemy rozumieli wiary, wyznaczające człowiekowi miejsce i rolę w świecie wartości wiecznych, obejmujących całość wszelkich istniejących bytów.

W tym rozumieniu rzeczy wiara zupełna sięgać musi ponad człowieka, a dotyczy albo bezosobowych zasad ogólnych lub praw świata duchowego, podniesionych do potęgi prawd świętych, wszystko obowiązujących, bezczasowych, ponadludzkich (taką wiarą wydaje się być buddyzm), albo też zakłada istnienie Istoty Najwyższej, w której zasady te i prawdy żyją w osobowości wiecznej i doskonałej.

Ta ostatnia wiara jest najdoskonalszą, gdyż niewątpliwie odpowiada ona w zupełności najgłębszemu potrzebom religijnym człowieka.

Wiara taka przede wszystkim uniemożliwia poczucie samotności ludzkiej we wszechświecie. Skoro istnieje Istota Najwyższa, doskonała i wszechpotężna, naturalną konsekwencją takiego stanu rzeczy musi być tęsknota do

kontaktu, zbliżenia człowieka do tej Istoty. Kontakt ten, jak każdy kontakt, musi być dwustronny: dążenie człowieka do Boga, ale i promieniowanie boskie na człowieka. Ograniczoność ludzka, na każdym kroku najbardziej niezaprzeczalna, nie jest sama w stanie zbliżyć się do Istoty Najwyższej, uczuwa wobec niej swoją małość i nieudolność. Ale Bóg poprzez swe objawienie, ogarniając w sobie całość bytów, przenika i człowieka, jako jeden ze swoich twórców, umożliwiając tą drogą rzecz, dla wiary doskonałej charakterystyczną i tylko jej właściwą: obcowanie człowieka z Bogiem.

Oznacza to rzecz dla wiary najważniejszą: modlitwę. Trudno jest temat tak olbrzymi i tak niezmiernie zawiły wyczerpać na tym miejscu. Zwrócę tylko uwagę na to, że codziennie miliony i miliony ludzi w głębokim przejęciu szepczą wyrazy modlitwy, że modlitwa jest największym, najbardziej szczytowym wzniesieniem się ducha ludzkiego, że ludzie, nie umiejący się modlić, pozbawieni są przeżyć, których żadnymi innymi przeżyciami zastąpić nie można.

Zwrócę również uwagę na doniosłość samej modlitewnej koncepcji. Modlitwa jest rozmową z Bogiem, Wszechtwórcą rzeczy, istot żywych i wartości. W tej niesłychanej niewspółmierności istoty ludzkiej z ogromem Istoty Boskiej możliwość rozmowy z Bogiem jest koncepcją głęboko życiodajną i twórczą. Mamy tu do czynienia z niewątpliwą łaską w stosunku do człowieka przekraczającą wszelkie pojęcie i zrozumienie. Ona i tylko ona umożliwia przemianę bezpośrednią doczesności we współtrwanie w wieczności i tylko tą drogą człowiek już za życia wkroczyć może w bezmiar świata ponadludzkiego. Nad tą ostatnią sprawą nie można tak łatwo przejść do porządku dziennego. Jeśli wyznawca w swoim obcowaniu z Bogiem wie i czuje w sposób najbardziej

bezpośredni, najbardziej dla siebie oczywisty, że jego rozmowa z Bogiem jest współuczestnictwem we wszechrzeczy, jeśli ma głębokie a w swoim przeświadczeniu nieomyłne uczucie, że oto już przekroczył zakres spraw i rzeczy ludzkich i odnalazł rzeczywistość nieskończenie wyższego rzędu, w której dozwolono mu przebywać — to mamy tu do czynienia ze zjawiskiem ponad wszelkie słowa olbrzymim, którego doniosłość dla człowieka nie może być poddana najmniejszej wątpliwości.

Wspominam o tym tylko po to, aby wskazać na niezgłębione tajemnice modlitwy, a przede wszystkim na jej wartość dla wierzącego człowieka.

Modlitwą nawiązuje wierzący swój żywy i bezpośredni stosunek do Boga.

Na czym ten stosunek polega? Wszyscy, którzy dobrodziejstwa modlitwy doświadczyli stwierdzają zgodnie, że jego najwyższym i jednocześnie najprawdziwszym wykładnikiem jest uczucie miłości ku Bogu i przeświadczenie, że to uczucie jest przez Boga odwzajemnione. W promieniach tej miłości, która niekiedy jest wręcz postrzegana lub przynajmniej upodabniana do prześwietlającej wszystko jasności, znajduje się wszystko co żyje, wszystko co istnieje. W jej imię się prosi, w jej imieniu się otrzymuje.

Dla człowieka wierzącego miłość staje się jakby treścią wszechrzeczy. Z miłości świat powstał, z miłości się utrzymuje i w miłość się kiedyś przemieni. Ale miłość nie jest uczuciem bierności i li tylko kontemplacji. Wymaga realizacji, czynnej postawy wobec wszystkiego, czego dotyczy.

Zło, które istnieje, może być przewyciężone tylko przez miłość, miłość czynną, twórczą, realizującą dobro najwyższe, z Boga i w Bogu poczęte.

I stąd prawda, która głosi, że wiara bez uczynków

jest martwa, że nie dosyć jest wierzyć, nie dosyć przedmiot wiary miłować, że trzeba ponadto zdecydować się na działanie, którego celem jest szerzenie dobra na ziemi, bowiem nie ma innego sposobu realizowania miłości.

Tak dotykając głębokich spraw życia naprawdę religijnego, wymieniamy tylko tytuły zagadnień, z którymi się łączy wiara, a nie wykładamy lub wyjaśniamy jej istoty. Ale nawet z tych niewielu słów, które tu zostały powiedziane można zrozumieć, co tak odczuta wiara może dać swemu wyznawcy. Daje mu dar największy, jaki człowiek otrzymać może: ustawiczne poczucie prawdziwego sensu życia, jako celowego dzieła Stwórcy, w którym to dziele człowiek posiada swoją własną, poważną i mądrze wyznaczoną rolę. Całe życie ludzkie z jego pracami, radościami i smutkami staje się fragmentem olbrzymiej, przekraczającej wszelki czas i wszelką zmienność całości, będąc jednocześnie nieustanną służbą największej jaką tylko można pomyśleć sprawie. Bódcem nieustannym takiej służby jest miłość do wszystkiego, z czym się w życiu obcuje, do Boga w szczególności, miłość potężna i twórcza, w której człowiek wierzący łączy się z Bogiem nie tylko w uczuciu, ale i w woli, stając się z kolei tą drogą narzędziem Woli Boskiej w stosunku do świata ziemskiego.

Każdy, kto spróbuje wmyśleć się i zrozumieć tego rodzaju postawę religijną człowieka musi uznać jej powagę, dostojność i zwartość. I dlatego z życiowego punktu widzenia kwestionować tej postawy nie można.

W postawie tej uderza jeszcze jedna cecha. Jest to zawarty w niej heroizm. Moment bohaterstwa otoczony jest powszechnie nimbem aureoli, działa żywo na wyobraźnię, pobudza lepsze i wyższe strony natury ludzkiej, a w dziejach ludzkich odgrywa rolę zasadniczą, jest on w niej bowiem czynnikiem nie cofającej się przed żad-

nymi przeszkodami woli. Otóż ten moment bohaterski przesycą głęboko całość prawdziwej i szczerzej postawy religijnej. Jest on jak najściślej związany z pierwiastkiem czynnej miłości, bez której religia nie istnieje. Miłość żąda realizacji, realizacja wymaga walki o swój ideał, walka pociąga ofiarę. Bezmiar miłości jest równoznaczny z bezmiarem ofiary, co jest równoznaczne z najgłębiej przeżywanym heroizmem.

I ta niewymownej potęgi prawda heroizmu z ducha bezmiaru miłości poczętej, znajduje się u podstawy religii, która w nowym świetle ukazała prawdę ludzkiego życia i jego przeznaczeń. Nauka Chrystusowa, wszczepiona w rzeczywistość heroizmem najwyższej ofiary, najpełniej i najistotniej czyni zadość wszelkim wymaganiom, jakie postawić można wierze doskonałej. Od niej datuje się dopiero możliwość pełni życia religijnego; ona postawiła w świecie moralnym zagadnienie człowieka na naczelnym w świecie bytów stanowisku; ona wreszcie i ona jedyna może uczynić z ograniczonej, podległej wszystkim mocom przyrody, śmiertelnej i na płaszczyźnie życia fizycznego znikomo krótko istniejącej jednostki ludzkiej *ignis ardens*, płomień palący, zdolny rozświecić i przemienić mroki rodu ludzkiego.

I na zakończenie jeszcze jedno. Od stosunkowo niedawnego czasu obserwujemy w szeregu wielkich państw bardzo radykalne eksperymenty polityczne i społeczne, które stawiają pod daleko sięgającym znakiem zapytania dotychczasowe osiągnięcia kulturalne cywilizowanej ludzkości. Poszukując dla swych poczynań usprawiedliwień i konstrukcji ideologicznych, podnoszą one pewne wytwory społecznych warunków lub momenty czysto biologiczne do rzędu naczelných zasad rządzących ludzkością, którym wszelkie inne nakazy społeczne lub moralne winny być całkowicie podporządkowane. W ten sposób

we Włoszech skonstruowano teorię nadrzędności imperialistycznego państwa, w Niemczech — rasy, w Rosji zaś sowieckiej — klasy robotniczej. Konsekwencją tego rodzaju doktryn jest niemal całkowite zagubienie roli, znaczenia i wartości ludzkiej, która z tego punktu widzenia jest tylko mało znaczącą częścią olbrzymiej całości i rozplywa się w niej, jak się rozplywa kropla wody w niezmierzonym oceanie.

Mniejsza o to, że zapomina się tu o niewątpliwej prawdzie dziejowej, głoszącej, że wszystko co wielkie i nowe dokonane zostało dzięki wysiłkowi i geniuszowi jednostki; mniejsza również o niekonsekwencję, z jaką, przekreślając wartość ludzkiego indywiduum na rzecz tak czy inaczej skonstruowanej zbiorowości, czci się i weneruje czołowych ludzi regime'u, obdarzając Mussoliniego, Hitlera lub Stalina niemal nadludzkimi cechami. Chodzi o sprawę ważniejszą: o to czy istotnie trzeba się pogodzić z myślą, że wartość, rola i znaczenie człowieka ogranicza się wyłącznie do jego stosunku do społeczeństwa.

I w tej postawie totalizmu państwowego, rasistowskiego lub klasowego dopatrzyć się można niewątpliwie momentów natury religijnej. Ale, jeśli faszyzm, hitleryzm i komunizm sowiecki są wiarami i posiadają swoich wyznawców, to wiary te są typowo wiarami niezupełnymi w tym znaczeniu tego wyrazu, jaki mu nadaliśmy uprzednio. Sugestia ich może być przejściowo bardzo silna i szerokim echem odezwać się po świecie, co rzeczywiście nastąpiło; — ale trudno oczekiwać trwałego triumfu tego rodzaju wiar, gdy ludzkość jest w posiadaniu wiary stokrotnie głębszej, nierównie poważniejszej, a przede wszystkim bez porównania dalej sięgającej.

Jest rzeczą wiadomą, że oficjalne czynniki kościelne ustosunkowały się negatywnie zarówno do eksperymentów totalizmu, jak i głoszonych przezeń teorii.

Niektórzy chcieliby się w tym dopatrywać obawy przed utraceniem wpływów politycznych. Ale istotne powody są bez porównania poważniejsze. Totalizm bowiem przeczy przeznaczeniu i roli jednostki ludzkiej, tak jak ją może i musi ujmować wiara doskonała. W myśl jej twierdzeń istota ludzka, nieśmiertelne dzieło Stwórcy, nie może być przekreślona i unicestwiona na rzecz jakiegokolwiek innego czynnika. Nie negując daleko idących uprawnień zbiorowości i konieczności dostosowania się jednostki do jej słusznych wymagań, wiara doskonała za rzecz najbardziej zasadniczego znaczenia uważa indywidualny byt duszy ludzkiej i jej niezaprzeczone uprawnienie, bowiem opiera się ona całkowicie na indywidualnym stosunku człowieka do Boga.

Nie tu miejsce na poddawanie krytyce doktryn totalistycznych. Ta krytyka nie byłaby rzeczą trudną, założenia ich bowiem nie mogą się ostać ani z teoretycznego ani z praktycznego punktu widzenia. Cała ich wartość, jak to łatwo byłoby wykazać, polega na ich zdolności rozbudzenia znacznej siły dynamicznej społeczeństw, wśród których się przyjęły, wolno jednak przypuszczać, że ten dynamizm nie będzie nazbyt trwały.

Jeżeli wspominamy tu, w rozdziale poświęconym zagadnieniom wiary, o konstrukcjach totalistycznych, to robimy to jedynie dlatego, że są one niewątpliwie sprzeczne z najlepszymi tradycjami dziejowymi Polski, z całym naszym dotychczasowym dorobkiem kulturalnym, wreszcie z zasadniczą postawą duszy polskiej, która zawsze poszukiwała osiągnięcia powszechnego dobra przez podniesienie, wywyższenie, wysublimowanie jednostki ludzkiej i jej roli. W tym znaczeniu dusza polska była zawsze głęboko chrześcijańska: w tym znaczeniu ustrój totalistyczny byłby głęboko niezgodny z dotychczasowymi naszymi drogami rozwojowymi.

Trzeba o tym pamiętać, aby móc się przeciwstawić dość zaraźliwym przykładom, jakie obserwować możemy w świecie współczesnym.

Dajmy wyraz przekonaniu, że Polskę stać na coś więcej, niż liche naśladowanie obcych wzorów, których ostateczne rezultaty na ich rodzimym gruncie mogą się okazać zawodne, a u nas doprowadzić by mogły do rezultatów katastrofalnych.

ROZDZIAŁ IV

Nie trzeba przeceniać wiedzy. Mimo całego szacunku, jaki jesteśmy jej winni, w ocenie wartości ludzkiej nie na wiedzę człowieka będziemy zwracali najbaczniejszą uwagę. O wiele istotniejsze będą tu cechy jego charakteru od zasobów naukowych, jakimi dysponuje. Rzetelność, uczciwość, szlachetność, dobroć, ofiarność są na pewno znacznie ważniejsze, niż poziom wykształcenia. Człowiek nawet nieprzeciętnie wykształcony może stać się niemożliwym do współżycia, o ile charakter jego zbyt dużo pozostawia do życzenia.

Niemniej jednak zasoby wiedzy, jakimi człowiek rozporządza, stanowią tak poważny, tak niejednokrotnie decydujący czynnik życia, że słusznym będzie spróbować przemyśleć zagadnienie wiedzy bodaj w jej najogólniejszych zarysach.

Sprawa nie jest łatwa ani prosta. I to nie tylko dlatego, że świat wiedzy ogarnia bardzo szerokie kręgi, z dnia na dzień rozrastające się w miarę coraz to szybszego postępu nauki i coraz to bardziej różniczkującej się specjalizacji. Zdanie sobie dokładne sprawy z tego czym jest wiedza ludzka, jakie są jej podstawy i gdzie są jej granice stanowi zagadnienie nad wszelki wyraz trudne, dotychczas nie rozwiązane — być może nierozwiązalne. Nad problematem podstaw i granic wiedzy pracował i pracuje cały szereg największych filozofów usiłując zdać sobie sprawę z wartości wiedzy, z metod, jakimi się posługuje, z celów do jakich dąży.

Nie trzeba się zatem łudzić, że wszystkie te zagadnienia potrafimy tu rozwiązać — raczej spróbujemy o tyle tylko ich dotknąć, o ile będzie to niezbędne dla życia prak-

tycznego, w którym przecie wiedza tak poważną odgrywa rolę.

Odróżniamy przede wszystkim dwa pojęcia, których treść nie jest identyczna. Chcę mówić o wiedzy i o nauce.

W zakres wiedzy wchodzić będzie to wszystko, co człowiek wie, niezależnie od tego, w jaki sposób, w jakim celu, z jakiego źródła uzyskał te wiadomości. Wiem, że wczoraj padał deszcz, że ogień parzy, że kraść nie należy, że światło od najbliższej z gwiazd dochodzi do nas po upływie czterech lat i że każdy punkt obwodu koła jest jednako odległy od jego środka.

Wszystkie te twierdzenia są prawdziwe, a przecież każda z tych prawd różni się jedna od drugiej bardzo, jeśli chodzi o jej pochodzenie.

Ze wczoraj deszcz padał, wiem o tym na mocy własnej obserwacji. Wydarzenie to miało miejsce w przeszłości, minęło, i w tych samych warunkach czasu, miejsca i wszystkich towarzyszących okoliczności już się nigdy nie powtórzy.

Że ogień parzy, wiem o tym z doświadczenia, które niejednokrotnie powtarzałem. Czy z tego kilkakrotnie powtarzanego eksperymentu mam prawo wnioskować, że zawsze i wszędzie, dziś i za tysiąc lat każdy, kto dotknie płonącego przedmiotu koniecznie się oparzy? A może istnieje miejsce, gdzie sprawy te wyglądają inaczej? A może w jakiejś przyszłości płomień parzyć nie będzie, lub może są ludzie, na płomień niewrażliwi? Przecież nie mogę doświadczenia tego przeprowadzić na wszystkich ludziach we wszystkich punktach kuli ziemskiej i na przestrzeni nieskończoności czasów. Mówiąc że płomień parzy, robię niewątpliwie pewien skok myślowy, podnosząc rezultaty parokrotnie dokonanego doświadczenia do godności prawdy ogólnej obowiązującej zawsze, wszędzie i wszystkich, czego przecież w tej ogólnie obowiązującej postaci sprawdzić doświadczalnie nie mogę.

Gdy twierdzę, że kraść nie należy, wypowiadam pewną normę ludzkiego postępowania. Twierdzenie to nie jest oparte na doświadczeniu, lecz raczej na przeświadczeniu o jego prawdziwości. Nie mogę go udowodnić drogą myślową, wierzę natomiast głęboko, że jest ono słuszne w tym znaczeniu, iż powinno regulować wzajemne stosunki ludzkie, jeśli życie ma być oparte na zdrowych zasadach moralnych.

Że światło od najbliższej z gwiazd przebiega odległość dzielącą ją od ziemi w ciągu lat czterech, dowiedziałem się od astronomów, którzy twierdzą, że potrafiłbym to sam obliczyć, gdybym posiadał potrzebną w tym celu wiedzę. Nie jestem jednak astronomem i nigdy nim nie będę, obliczenia tego zatem sam na pewno nigdy nie dokonam. Wierzę temu co mówią inni, w tym zakresie mądrzejsi ode mnie, wierzę, że nie chcą mnie oszukać i tylko na tej wierze w ich prawdomówność i rzetelność naukową oparte jest moje przekonanie o słuszności twierdzenia.

Gdy mówię o jednakowych odległościach od środka koła do jego obwodu, rzecz wygląda zgoła inaczej. Bowiem twierdzenie to nie jest niczym innym, jak tylko definicją koła, ścisłym określeniem pewnego pojęcia. Idealne koło w naturze nie istnieje, a więc doświadczenie nie może ani zaprzeczyć naszej definicji, ani jej potwierdzić.

Przykłady powyższe można by oczywiście mnożyć, w celu należytego uwidocznienia głębokich różnic pochodzenia twierdzeń, które wygłaszamy. Sądzę, że wystarczy one dla zorientowania czytelnika w tym, że wszystko co wiemy lub co wydaje się nam, że wiemy, powinno być poddane skrupulatnej rozwadze, jeśli pragniemy należycie zdać sobie sprawę z tego, co naprawdę znaczą nasze wypowiedzi.

Wiemy bardzo dużo o bardzo wielu rzeczach. Z reguły stwierdzić trzeba, że olbrzymią większość całego

tego materiału naszych wiadomości zawdzięczamy temu, czego nas nauczono, czego sami bezpośrednio sprawdzić nie możemy, a co zawdzięczamy doświadczeniom, badaniom i pomysłom innych ludzi wielu minionych epok.

Wiedza nasza w tym znaczeniu tego wyrazu jakimś dla niej ustalili, pozwala nam zorientować się w otaczającym nas świecie, w należyty sposób, to znaczy celowy i skuteczny, reagować na zachodzące zjawiska, wreszcie wykonywać te czynności, których wymaga zawód lub sytuacja.

Wiedza ta nie jest jeszcze nauką, choć bardzo często z danych naukowych czerpie swój materiał.

Czymże jest nauka?

Tu sprawa jest o wiele trudniejsza. Mówi się zazwyczaj, że zadaniem nauki jest poznanie prawdy. Ale nie każda prawda jest prawdą naukową.

Jeśli patrzę na przedmiot czerwony i mówię: to jest czerwone, wypowiedź moja w żadnej mierze o naukę nie zahacza, choć jest na pewno prawdziwa. Aby jakieś twierdzenie było twierdzeniem naukowym, musi ono czynić zadość pewnym ścisłym i sprecyzowanym warunkom. Przede wszystkim musi być wynikiem metodycznego, z góry uplanowanego badania. A czymże z kolei jest badanie naukowe? Poszukiwaniem prawdy? Ale poszukiwać prawdy, głębokiej prawdy życia, może nie tylko uczony, ale i artysta, i polityk, i działacz społeczny, i wreszcie każdy rzetelny i uczciwy człowiek. A zresztą czy wyniki badań naukowych są zawsze prawdziwe? Trzeba stwierdzić, że w bardzo wielu dziedzinach wiedzy rzeczy mają się zgoła inaczej. Nikt nie zaprzeczy, że teoria Ptolomeusza ruchu planet była wynikiem genialnych badań naukowych, a przecież zaprzeczyła jej całkowicie teoria Kopernika, która znów w świetle teorii względności uzyskała zupełnie nowe oświecenie. Teoria flogistonu w chemii,

stokilkadziesiąt lat temu uznana powszechnie za prawdziwą, upadła całkowicie z chwilą odkrycia tlenu, teoria emisyjna światła Newtona została zastąpiona przez teorię falową, aby w czasach najnowszych znów zyskać na wartości. Można by podać mnóstwo bardzo efektownych przykładów stwierdzających, że najbardziej metodyczne, najsumienniejsze badania genialnych uczonych prowadziły do twierdzeń fałszywych, które dopiero przez nowe prace i nowe wysiłki były obalane. Czy twierdzenia te dlatego, że były fałszywe, nie były twierdzeniami naukowymi?

A więc badanie naukowe nie zawsze i niekoniecznie prowadzi do prawdy, choć prawdę właśnie ma na widoku.

Już z tego co wyżej powiedziano widać, że odpowiedź na pytanie czym jest nauka nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Istnieje cały szereg nauk zarówno przyrodniczych jak i historycznych, których wypowiedzi osiągnięte drogą najbardziej metodycznej pracy, okazać się mogą niezupełne lub nawet nieprawdziwe w świetle badań późniejszych.

Pierwszym więc żądaniem, jakie stawiać musimy nauce, jest nie tyle prawdziwość jej twierdzeń, bo prawdziwość ta często jest bardzo względna, ile metodyczność badania, surowa dyscyplina dochodzenia do rezultatów, zupełna obiektywność myślenia.

Ale to nie wszystko. To, co stanowi zawartość każdej nauki, a więc fakty przez nią ustalone i myśli, na tych faktach oparte, muszą stanowić zwartą i usystematyzowaną, a więc powszechnie zrozumiałą całość. To co stanowi daną naukę, nie może być luźnym, wzajemnie o sobie niezależnym zbiorem choćby najprawdziwszych twierdzeń. Nauka każda jest systematem, konstrukcją, w której wszystkie części służą wspólnemu celowi i powiązane są z sobą więzami wzajemnej zależności. Im bar-

dziej dana dyscyplina naukowa zbliża się do tego ideału, tym pewniejsze są jej rezultaty i tym bardziej zwarta i harmonijna jest jej budowa. Cechy te najwyraźniej występują w naukach dedukcyjnych, których najpiękniejsze przykłady stanowią współczesna logika i matematyka zbudowane w niezmiernie przejrzysty, acz nie łatwy sposób.

I wreszcie wszystko, co nam nauka podaje, musi być sprawdzalne. Nauce nie wolno podawać nic bez dowodu. Zasadniczą postawą uczonego jest wątplenie wobec wszystkiego, czego prawdziwość nie została udowodniona w tym stopniu, na jaki aktualny stan nauki pozwala. Oczywiście inaczej wygląda pewność dowodu matematycznego, w zupełnej swej formie nie pozostawiającego żadnych wątpliwości, inaczej pewność dowodu fizycznego, opartego na zawsze w jakiejś mierze zawodnym doświadczeniu, jeszcze inaczej pewność dowodu historycznego, opartego na wątpliwej niekiedy interpretacji tekstu.

Ale w każdym z tych wypadków sprawdzalność podawanego twierdzenia musi być jak najzupełniejsza i dostępna dla każdego, posiadającego potrzebne przygotowanie.

Oto pokrótce dotknęliśmy spraw nauki, którymi zajmuje się jej dziedzina specjalna, zwana teorią poznania, a stanowiąca jedną z podstawowych dyscyplin filozoficznych. Zrobiliśmy to po to, ażeby czytelnikowi uprzytomnić bodaj w najkrótszych słowach z jak trudnymi zagadnieniami mamy tu do czynienia, a przez to jak wielkie wysiłki licznych generacji uczonych zostały włożone w ten kapitał, jaki stanowi dla ludzkości nauka. Kapitał olbrzymi, któremu zawdzięczamy niesłychany w stosunku do minionych stuleci rozkwit myśli ludzkiej oraz szereg pierwszorzędných rezultatów w dziedzinie przemysłu, techniki, komunikacji, lecznictwa.

Odróżniliśmy dwa pojęcia: wiedzy i nauki. Pierwsza stanowi ogół wiadomości, które są nam w życiu potrzebne, niezależnie od źródeł z jakich je czerpiemy, źródeł bądź naukowych, bądź też czysto praktycznych. Druga stanowi zwartą konstrukcję według surowych wymagań myśli zbudowaną, od życia praktycznego w bardzo wyraźny sposób niezależną, aczkolwiek często w życiu z najwspanialszymi rezultatami stosowaną.

Nie sądzę, aby potrzeba było przytaczać liczne przykłady, świadczące o tym, jak często najbardziej bezinteresowne, najbardziej oderwane od codziennej rzeczywistości badania mogą doprowadzać do zdumiewających właśnie z praktycznego punktu widzenia wyników. Wspomnijmy jednak o badaniach genialnego Hertza, który studiował wyładowania elektryczności — rzecz w owych czasach poza wszelkimi praktycznymi zastosowaniami — i zestawmy je ze współczesnymi superheterodynami, chwytającymi na głośnik głos ludzki z drugiej półkuli ziemi a będącymi rozwinięciem i rozbudowaniem pracy Hertza — a uprzytomnimy sobie wyraźnie, jak nieprawdopodobnie niespodzianki kryć się mogą w pozornie suchych i niezyciowych dociekaniach uczonego.

Wiedza, rozumiana tak, jak ją określiliśmy poniżej, jest rezultatem i dorobkiem tysiącleci ludzkiej kultury. Od pradawnych czasów, od pierwszych prób artykułowanej mowy ludzkiej, poprzez wielkie wynalazki bezimiennych twórców: dobywania ognia, sztuki budowniczey, pasterskiej i rolniczej, obróbki materiałów, pisma, form współżycia wielkich ludzkich zbiorowisk, poprzez coraz to doskonalsze sposoby opanowywania sił przyrody i wprzęgania ich w służbę człowieka, rozbudowywała się ta wiedza praktyczna, bez której dziś nie można by sobie życia wyobrazić. Stanowi ogromny dorobek ludzkości przekazywany z pokolenia w pokolenie za pomocą wycho-

wania, nauki, wreszcie najlepszej ze szkół, jaką jest szkoła życia. W rezultacie każdy z nas wkraczając w samodzielne życie, w swój własny kraj wielkiej przygody, uzbrojony jest w mnóstwo wiadomości i umiejętności, dzięki którym nie gubi się w natłoku różnorodnej i skomplikowanej rzeczywistości, umie sobie w niej lepiej lub gorzej radzić, zdobywa swój chleb powszedni i wreszcie jest w stanie zostawić przyszłym pokoleniom jakiś dobytek czy dorobek stanowiący jego własny wkład w kulturę swej epoki.

Jesteśmy wszyscy spadkobiercami prac minionych pokoleń i wszyscy coś nowym pokoleniom przekazujemy. Tak się wytwarza i przekazuje rzecz najbardziej wartościową, jaką człowiek na ziemi wytworzyć umie: tradycję kultury ludzkiej.

W niej, w samym jej łonie rozbudowuje się od stosunkowo niedawnych czasów odrębny dział wiedzy ludzkiej: nauka. Oparta o własne, ściśle określone metody, metody te ustawicznie doskonaląc, względnie tworząc nowe, precyzyjna i konstruktywna, zbudowana na jak najściślejszym materiale dowodowym, osiąga w ciągu ostatnich dwóch stuleci zgoła nieoczekiwane rezultaty wnosząc do skarbnicy wiedzy ludzkiej niebywały, a wciąż narastający dorobek.

Każdy z nas posiada jakąś ilość wiedzy zależną od środowiska, w którym wzrósł, od wychowania, jakie otrzymał, od wykształcenia, jakie mu dała szkoła.

Nie każdy natomiast może być człowiekiem nauki. I to nie tylko dlatego, że nie każdy może się nauce całkowicie poświęcić; najbardziej decydującym czynnikiem jest tu stopień uzdolnień, pracowitość i wytrwałość. Jest rzeczą jasną, że praca naukowa, stawiająca sobie tak surowe wymagania, nie jest rzeczą łatwą i dla każdego dostępną. Twórcza praca badawcza wymaga od człowieka całego

szeregu cech usposobienia i uzdolnień, których posiadanie nie jest rzeczą nazbyt częstą. A wybitnych uczonych, którym udało się w istotny sposób posunąć naukę naprzód, jest stosunkowo bardzo niewielu.

To, co zostało powiedziane, może wystarczy, aby wyciągnąć z rzeczy tu omawianych pewne praktyczne konkluzje.

W życiu każdy z nas ma ustawicznie do czynienia z nieskończoną ilością codziennych zagadnień, które w jakiś sposób trzeba rozwiązać. Najczęściej są to sprawy drobne, często są one dość proste i elementarny zdrowy rozsądek wystarcza, aby zdobyć się na tę czy inną decyzję. Zdarza się jednak, że rzecz nie przedstawia się tak prosto. Decyzja lub rozwiązanie nie nasuwają się same przez się, są argumenty za i są argumenty przeciw; rzecz — aby była słusznie rozstrzygnięta — wymaga zastanowienia się, zorientowania się w dalszych konsekwencjach takiej czy innej decyzji, wymaga z b a d a n i a. Jakże w tego rodzaju sytuacjach postępuje rozsądny człowiek? Przywołuje na pomoc całą swoją dotychczasową wiedzę, stara się znaleźć analogię między sytuacją, w której się znajduje, a tymi, które już zna z minionych doświadczeń; jeśli chodzi o zagadnienie istotniejsze, zwraca się do przyjaciół, szuka rady i wskazówek, niekiedy szuka w literaturze informacji, czasem studiować musi całe dzieła fachowe, aby zyskać potrzebne wiadomości celem uzyskania gruntownych danych do rozwiązania napotykaných trudności.

Im uczciwiej, im sumienniej przepracuje zagadnienie, tym większe ma szanse, że zostanie ono rozwiązane słusznie i rozumnie.

Otóż zdarza się często — wszyscy znamy ten typ ludzki — że człowiek decyduje błyskawicznie, bez zastanowienia się, bez zbadania zagadnienia, bez uwzględnienia nie tylko tego, co inni, być może mędrsi od niego mają w danej ma-

terii do powiedzenia, ale nawet bez wykorzystania własnych wiadomości, na „łapus - capus“, w sposób lekko-myślny i nieodpowiedzialny. Pół biedy jeszcze, gdy w grę wchodzi jego prywatne sprawy, choć zazwyczaj i one mają wpływ jakiś na losy ludzi związanych z nim życiowo. Nawet w tych ściśle osobistych sprawach działanie bez zastanowienia może wyrządzić innym niepowetowaną krzywdę. Cóż dopiero, gdy chodzi o sprawy szerszego znaczenia, o zagadnienia gospodarcze, społeczne, polityczne, narodowościowe, sprawy nad wyraz trudne i skomplikowane, wymagające gruntownej znajomości i poważnych studiów, aby uzyskać rozumny i na prawdzie oparty pogląd na rzeczy.

Mówię o tych rzeczach dlatego, że nazbyt często spotykałem się z ludźmi tego pokroju, a niekiedy byli to ludzie, zajmujący wysokie stanowiska, z którymi związana była możliwość pobierania daleko idących decyzji.

Zastanówcie się, jak rzecz taka wygląda w praktyce. Oto przed nami jakieś poważne zagadnienie życia publicznego. Ma ono swoją historię, niekiedy historię bardzo starą, liczącą lat dziesiątki lub setki; jest nabrzmiałe, być może, ludzkim cierpieniem, w orbitę jego wchodzić mogą wielkie rzesze ludzi, sprawy, których dotyczy, są niezwykle zagmatwane i ciężkie, wzajemne interesy zaangażowanych są z sobą sprzeczne, i oto dla wszystkich staje się jasne, że dotychczasowy stan rzeczy musi ulec jakiejś mniej lub więcej zasadniczej zmianie. Takich zagadnień może być bardzo wiele. Należą do nich konflikty między kapitałem a pracą, sprawy narodowościowe, sprawy między państwowe, sprawy gospodarcze, ustrojowe, religijne itd. itd. Każdy z czytelników z łatwością wymieni cały szereg takich ciężkich, palących zagadnień opierając się bodaj na tym, czego się nauczył z historii.

Zagadnienia takie istnieją i dzisiaj. A nawet dzisiaj jest

ich więcej niż niegdyś, i nadto przybierają formy nie-
mniej od dawnych gwałtowne i palące. Świat w którym
żyjemy, nie jest światem pokoju i harmonii; przeciwnie,
jest pełen sprzeczności, zmagają się, walk, rozstrzyganych
jakże często drogą przemocy fizycznej i gwałtu. Raz
w raz jesteśmy świadkami głęboko w życie sięgających
konfliktów, z których wiele rozwiązuje się nie argumen-
tami rozumowymi, ale argumentem siły. Nie jest rzeczą
dziwną, że sprawy tego typu roznamietniają szerokie
masy ludności. Wykorzystując współczesne potężne środki
szybkiej wymiany myśli: druk, prasę, pocztę, telegraf,
radio, reklamę, masowa agitacja ma niezmiernie uła-
twioną rolę organizowania i uświadamiania opinii publicz-
nej. W ślad za nią idzie demagogia, stanowiąca niewątpli-
wie nadużycie swobodnej wymiany zdań i myśli, dema-
gogia dzika, nie cofająca się przed kłamstwem, oszczer-
stwem i kalumnią, byle tylko wytworzyć pożądaną dla
siebie rezultat w postaci zyskiwania sobie ślepo wierzą-
cych zwolenników, bezkrytycznie idących za swym przy-
wódcą, zasugestionowanych fałszywymi obietnicami i pu-
stymi hasłami ku celom, których nie znają i nie rozu-
mieją.

Są to rzeczy, które obserwować może każdy, kto ma
otwarte oczy na rzeczywistość u nas, w Polsce, i gdzie
indziej.

Obietnice te i hasła krążą niejako w powietrzu, nie
przyczyniając się w żadnej mierze do rozwiązania konflik-
tów i zagadnień, w imię których powstały. W rezultacie
jesteśmy świadkami, jak ludzie nieorientowani, ulegający
sugestii swych prowodyrów, uzyskują od nich gotowe re-
cepty na rozwiązanie wszystkich bolączek świata, recepty
najczęściej fałszywe, stawiane na podstawie uproszczo-
nej do ich poziomu myślowego a błędnej diagnozy, nie-
rzadko zgoła obłędne. Ludzie zaczynają wierzyć w puste

formułki, nie badając ich treści, nie rozumiejąc, że taka uproszczona formułka nie jest w stanie ująć skomplikowanej, trudnej rzeczywistości, nie widząc, że lekkomyślne rozwiązywanie ciężkich problemów może prowadzić do jak najfatalniejszych następstw.

Każdy może przytoczyć znaczną ilość przykładów tego stanu rzeczy. Wspomnijmy choćby o hasłach zbudowanych na nienawiściach religijnych, rasowych lub klasowych, znanych nam z historii, a zresztą i z czasów dzisiejszych, hasłach, których szerzenie nigdy w znanych nam dziejach nie doprowadziło do pozytywnych rezultatów, wspomnijmy o wielkich zagadnieniach ustrojowych i gospodarczych, w imię których masy pchano do rewolucji, a w wyniku uzyskiwano często jeszcze większe niż dawniej pogłębienie niesprawiedliwości społecznych.

Mówię o tym wszystkim dlatego, że człowiek, który ma ambicję samodzielnego stosunku do życia i nie pragnie być li tylko jednym z tłumu prowadzonego na pasku przez niesumiennego i zakłamanego demagoga, posiada możliwość rzetelnego rozważania sprawy w oparciu o to wszystko co wie, i czego się może nauczyć.

Ma możliwość z b a d a n i a zagadnienia, zbadania gruntownego i uczciwego, przyjrzenia się jego historii, zanalizowania jego zasadniczych elementów, zaznajomienia się z faktycznym stanem rzeczy, ustalenia celu, do jakiego się dąży i metod, za pomocą których cel ten należy uzyskać. W rezultacie takiego spokojnego i metodycznego badania można zająć istotnie poważne i uczciwe stanowisko w danej sprawie. A gdyby zagadnienie przekraczało nasze siły, lub brakło nam czasu na gruntowne jego prze-studiowanie, lub inne życiowe przeszkody nie pozwoliły nam na zapoznanie się z nim należycie, to czy nie słuszniej będzie powiedzieć skromnie, że nie znając sprawy rzekamy się w niej głosu. Wówczas osiągamy przynaj-

mniej ten dodatni rezultat, że nie przyczyniamy się do pogłębienia chaosu, zakłamania i utrudniającej wszelką rozumną dyskusję wrzawy. Powiadamy po prostu: nie wiem — i jesteśmy w porządku w stosunku do siebie, do zagadnienia i do współobywateli.

Mówię o tym jeszcze i dlatego, że bardzo często spotykałem się niekiedy właśnie u bardzo młodych ludzi z „hasłomanią“, jeśli się tak wyrazić można. „Hasłomania“ ta polega nie na czym innym, jak właśnie na operowaniu gotowymi formułkami, nie poddanymi żadnej przeróbce myślowej, na łatwym uleganiu ich sile dynamicznej i głoszeniu urbi et orbi z zadziwiającą pewnością siebie pustych frazesów, tak jakby we frazie takim tała się jakaś magiczna siła, zdolna w skuteczny sposób zmienić oblicze świata.

Ileż to razy słyszałem na przykład, że „gospodarka planowa“, prowadzona przez państwo, jedynie będzie w stanie skutecznie zwalczyć kryzys.

Gdy starałem się ustalić, jaką treść widzi mój młody interlokutor w tak przez siebie zachwalanej gospodarce planowej oraz jakimi środkami należy ją w życie wprowadzić, zawsze się okazywało, że treść ta jest niesłychanie mętna, a środki zgoła nie przemyślane.

Powie ktoś, że rzeczą błahą i bez znaczenia jest to, czy dany młody człowiek głosi te czy inne nie przemyślane przez niego hasła. Ale w imię tych niedowarzonych haseł zakłada się całe stowarzyszenia, tymi hasłami robi się propagandę, każe się w nie ludziom wierzyć i w ten sposób obalamuca się bliźnich, co na pewno ani dla nich ani dla państwa nie jest rzeczą dobrą.

Nawróćmy do tego, co na początku tych rozważań zostało powiedziane o wiedzy i nauce. W ich świetle człowiek świadomy zasięgu swojej wiedzy, człowiek, który choćby tylko trochę zorientował się w istocie pracy nau-

kowej, musi ustosunkować się do obu w sposób poważny: jak do wielkiego dorobku dziejowego kultury ludzkiej dającego możliwość zajmowania rozumnego, celowego stanowiska w sprawach życiowych, opartego na przemyśleniu i zbadaniu wysuwanych przez życie zagadnień.

Musi ponadto żywo czuć ogrom włożonego przez ludzi wysiłku, dzięki któremu gmach wiedzy i nauki został zbudowany, a przez to nabrać poczucia skromności, która jest jedyną drogą, prowadzącą do mądrości.

Patrzcie zawsze podejrzliwie na ludzi, którzy są bardzo pewni siebie, wszystko wiedzą i wszelkie trudności łatwo rozwiązują. W olbrzymiej większości wypadków są to ludzie albo niemądrzy, albo nieuczciwi. Niemądrzy, gdy nie umiając zrozumieć rzeczywistości, zawsze trudnej i skomplikowanej, gubią z nią istotny kontakt, a własne ubogie i płytkie przeżycia i wątki myślowe biorą za wykładniki prawdziwych stosunków życiowych; — nieuczciwi, gdy świadomie podają do wierzenia innym frazesy, w które sami nie wierzą, i tą drogą pragną zorganizować ciemne masy dla własnych celów.

W Polsce jest aż nadto wielu jednych i drugich. Powólcie, że przytoczę tu parę osobistych wspomnień.

W końcu 1918 roku byłem przez czas jakiś jednym z adiutantów Komendanta Józefa Piłsudskiego. Było to bezpośrednio po Jego powrocie z więzienia magdeburskiego. Państwo bez granic, prawie bez wojska, bez administracji, zniszczone czteroletnią wojną musiało się zdobywać na olbrzymie wysiłki, aby sprostać swym dziejowym zadaniom, wysiłki, dyktowane dalekowzroczną wolą ówczesnego Naczelnika Państwa i Wodza Naczelnego. Rozbrojenie niemieckich okupantów i ewakuowanie ich z kraju, formowanie armii w czasie toczącej się wojny z Ukraińcami, powołanie do życia rządu w ówczesnych warunkach skłócenia politycznego stronnictw — wszystko

to trzeba było robić jednocześnie — i dziś, z perspektywy wielu lat wydaje mi się rzeczą zdumiewającą, w jaki sposób w tak krótkim czasie Wielki Marszałek tyle zagadnień potrafił przepracować i dać Polsce trwałe podwaliny niepodległego bytu.

Otóż w tym ustawicznym wirze spraw, zagadnień, rozmów, ludzi, decyzji, które przechodziły przez moje ręce, chcę wspomnieć o jednej a bardzo licznej kategorii zjawisk, z którymi miałem wówczas do czynienia. Chcę mówić o tych wszystkich, którzy domagali się rozmowy z Marszałkiem Piłsudskim, względnie składali na Jego ręce olbrzymie memoriały na piśmie, a to w celu pouczenia Go o tym, co należy zrobić, aby w Polsce działa się jak najlepiej.

Miły Boże, czego tam nie było! Rozprawy o systemie monetarnym, o partiach politycznych, o konieczności natychmiastowego rozwiązania sprawy żydowskiej, o odbudowie kraju, o tym, jak trzeba organizować wojsko, o Bogu i Ojczyźnie, o jakiejś fantastycznej organizacji wyborczej, bez której grozić miała naszemu państwu niechybna zguba — i to wszystko w chwili, gdy grunt się palił pod nogami, żołnierz krwawił się na froncie lwowskim, wojna z Rosją bolszewicką wisiała w powietrzu, a nierozbrojone garnizony niemieckie stanowiły wciąż jeszcze grożące niebezpieczeństwo. Wreszcie rekord całego tego głupstwa wziął jegomość, który przyszedł z rewelacyjnym pomysłem budowy okrągłych domów, gdyż, jak twierdził, domy zwyczajne, prostokątne winne są wszelkiemu złu na świecie. Ten ostatni projektodawca i tylko ten ostatni był niewątpliwie maniakiem; ale i pozostali, prawdopodobnie zdrowi na umyśle, nie bardzo się od niego różnili, zważywszy na wyjątkową dziejową chwilę, którą naród polski przeżywał: wszyscy oni zarówno żyli nie w prawdziwej rzeczywistości czasu, ale w świecie swych

własnych niedowarzonych myśli i odruchów, których podać rozwadze i krytyce, rozumnej kontroli i metodycznemu opracowaniu nie potrafili.

Oczywiście nie można było obarczać rozmowami z nimi czasu Naczelnika Państwa, toteż miałem mnóstwo kłopotów, bo tacy ludzie głęboko wierzą w swoje pomysły i im bardziej w nie wierzą, tym są natrętniejsi.

A teraz inny przykład ludzi złej wiary, ludzi świadomie pragnących innych oszukać. Poznać ich można przede wszystkim w czasie przedwyborczej agitacji. Spół, w jaki starają się skaptować swoich zwolenników, jest zawsze jeden i ten sam: poddaje się najostrzejszej krytyce wszystkie bolączki życia, obarczając odpowiedzialnością za wszystko rząd, aktualnie sprawujący władzę oraz obiecuje się, że wszelkie zło minie i nastanie prawdziwy raj na ziemi z chwilą, gdy władzę obejmie stronictwo, którego dany agitator jest członkiem. Na tej kanwie sprytny i zdolny demagog jest w stanie wyhaftować najcudowniejsze desenie i trzeba często podziwiać niezwykle w tym kierunku uzdolnienia macherów wyborczych.

Mamy tu do czynienia z cynizmem politycznym, posuniętym od ostatecznych granic, z cynizmem, który się opłaca, bowiem działa skutecznie na nieuświadomione tłumy ulegające niezmiernie łatwo nieokiełzanej demagogii.

Oba te rodzaje ludzi, zarówno poczciwi i zacni fanatyci jak i szalbierze polityczni skromnością nie grzeszą.

W świetle coraz to narastającej wiedzy ludzkiej i coraz to szybszymi krokami posuwającej się naprzód nauki zarożumiałość ludzka staje się rzeczą nad wszelki wyraz nędzną. To, czym dziś się chlubimy, będzie zapewne jutro niczym. Perspektywy, jakie się ludzkości otwierają w związku z nowymi odkryciami naukowymi i nowymi coraz bardziej potężnymi metodami badania, są olbrzymie. Dzień w dzień pisma przynoszą nam wieści o coraz

to nowych zdobyczach myśli gromadzących się coraz szybciej w jakimś geometrycznie wzrastającym postępie. Nikt dziś nie zgaduje, jakie możliwości stoją przed ludzkością otworem. Zwielokrotniliśmy nasze zmysły za pomocą niezmiernie licznych a coraz to doskonalszych narzędzi postrzegania. Obserwujemy światy, położone w fantastycznych od ziemi odległościach a jednocześnie możemy się przyglądać torom pędzących elektronów o zgoła znikomych wymiarach. Opanowujemy siły przyrody wyzwalaając na nasz ludzki użytek olbrzymie ilości energii, ilości tak potężne, że miliardy rąk ludzkich nie wystarczyłyby na uzyskanie dostarczanej nam przez nią pracy. Coraz skuteczniej zwalczamy choroby, przedłużamy w szybkim tempie przeciętny wiek życia ludzkiego przewyżając bodaj częściowo zakusy śmierci. Jesteśmy na dobrej drodze do przemiany dowolnej pierwiastków, a średniowieczny alchemik z zadróścią przypatrywałby się pracy naszych laboratoriów chemicznych. A przecież współczesna nauka przyrodnicza liczy na dobre zaledwie coś około 200 lat, — jest dziełem zaledwie pięciu czy sześciu generacji pracowników naukowych. Kto jest w stanie zakreślić jej granice za dalszych lat 200?

Trzeba rozumieć, że jesteśmy dopiero na progu tego, co nam nauka dać może. Że wiedza, którą dziś dysponujemy, jest drobnym zaledwie okruczem tego, co będą po nas posiadały następne pokolenia. Jak dotychczas fantazja nasza za postępem nauki nie podąża. Genialny Juliusz Verne, tak stosunkowo niedawno próbujący przewidzieć drogi rozwoju techniki naukowej, został sromotnie zdystansowany przez rzeczywistość, która w ciągu tego krótkiego czasu dała nam więcej, niż jego bujna wyobraźnia była w stanie przewidzieć.

W tych warunkach rzetelność, uczciwość i skromność są chyba najrozumniejszą postawą wobec tych zdobyczy myśli, którymi brzemienią jest przeszłość.

ROZDZIAŁ V

Autor słów niniejszych przypomina sobie, jak za lat dziecinnych i młodzieńczych reagował na słowo *artysta*. Wydawało mu się, że artysta jest czarodziejem z bajki, człowiekiem, posiadającym tajemnicze, jakby prawom natury niepodległe siły, mocą których jest w stanie niemal z niczego tworzyć nieoczekiwane, cudowne rzeczy, tak piękne, że żadne słowa tego wypowiedzieć nie potrafią.

Całymi godzinami przyglądał się reprodukcjom obrazów Matejki i Kossaka zastanawiając się, w jaki sposób artysta potrafił odrobiną farby wywołać na płaszczyźnie sceny tak żywe i tak prawdziwe; godzinami słuchał gry na fortepianie swej Matki, zachodząc w głowę jakim cudem Chopin lub Schumann byli w stanie wywołać z fortepianowych klawiszy ciąg dźwięków, które pod Jej ślicznymi palcami rodziły się i zamierały szeregując się mądrze i nieomylnie, zachodząc na siebie i znów się wzajemnie wymijając, po dwa, po trzy, po cztery, aby we wzajemnej łączności i współbrzmieniu złożyć się na całość smutną lub wesołą, łagodną lub ponurą, zniewalającą do słuchania wciąż i jeszcze.

Z głębokim wzruszeniem czytał wiersze i uczył się ich na pamięć, zasugestionowany raczej pięknem słowa niż treścią, której wówczas często nie mógł zrozumieć. Recytował sam sobie w tajemnicy przed niepożądanymi słuchaczami improwizację Konrada z trzeciej części *Dziadów*, lub „W Szwajcarii“ Słowackiego — na pewno nie rozumiejąc istotnego tych utworów znaczenia; wzruszał się do łez „Tyrtuszem“ Anczyca, szeptał w głębokim przejęciu „połały się łzy me czyste“ Mickiewicza, w swym

dzieciństwie nie przeczuwając jeszcze co oznaczać może „wiek męski, wiek klęski“.

I znów to samo zdumienie wobec tajemnicy rytmu i rymu, wobec magii słowa, wyzwalającej nieznane, nieprzeczuwane, a tak silne wzruszenia z marnego materiału dźwiękowego samogłosek i spółgłosek wprzęgniętych w służbę potężnego ducha artysty, umiającego prawie nadludzką mocą zakłąć kolory, dźwięki i słowa, którymi przecież rozporządza zarówno każdy zwykły śmiertelnik, w kształt piękna otwierającego bramy jakiegoś innego świata.

Jak to jest możliwe? pytał siebie. Pytał naiwnie jak dziecko, i, oczywiście, nie znajdował wówczas odpowiedzi na to pytanie.

Nic dziwnego. Zagadnienia sztuki trudne są nie tylko dla dziecka. Trudzą się nad tymi zagadnieniami ludzie wielkiej pracy i wielkich zdolności, uczeni psychologowie, znakomici historycy sztuki, świetni krytycy. Robią to mądrze, świadomie, głęboko; badają metodycznie zarówno duchowe procesy artystyczne, jak i same dzieła sztuki jako takie; wnikają w treść kultury epok artystycznych starając się wyjaśnić postać wielkiego twórcy na tle czasów, w których żył i pracował — i w rezultacie zagadnienie sztuki wielkiego artysty trzeba za każdym razem rozwiązywać na nowo, tak jest ono skomplikowane, tajemnicze i cudowne.

Zapewne, wnikliwe studia i badania są w stanie wykryć zarówno w dziele sztuki, jak i osobie twórcy niezwykle wiele interesujących rzeczy, pozwalają zrozumieć szereg ważnych i zawiłych zagadnień twórczości, wprowadzają nas w świat tych myśli i uczuć, którymi żył artysta, gdy dzieła swe tworzył, zbliżają go do nas i pozwalają lepiej mu się przyjrzeć, ustalają jakim wpływom uległ, jakiemu kierunkowi hołdował, oceniając obiek-

tywnie jego dorobek; — ale ilekroć pragną ująć istotę jego twórczości, rozpatrzyć pałacy się w nim płomień Boży, zrozumieć popęd twórczy, który nim kieruje po tajemniczych drogach sztuki, tylekroć między badaczem a obiektem badania staje jakby niewidzialna zaporą, jakby żelazne wrota do świętego świętych duszy artysty, które rzadko kiedy i nie każdemu udaje się niekiedy zaledwie lekko uchylić.

I inaczej być nie może. Gdyby badacz był w stanie wrota te na ścieżaj otworzyć i wejść w głąb duchowego świata artysty, gdyby świat ten przestał mieć dla niego tajemnice, zatarłaby się wszelka różnica między badającym a badanym. Uczony, historyk, krytyk stałby się niejako sobowtorem artysty. Poczulby w duszy żar tego samego ognia, który duszę artysty ożywia, uczulby ten sam pęd twórczy do ekspresji, który zmusza artystę do twórczości.

Ale to nie jest rzeczą możliwą. Duszę ludzką można próbować zgadywać, nie można jej przeniknąć.

Poznać człowieka można tylko do pewnych granic — dwie różne indywidualności stopić się z sobą nie są w stanie.

A zresztą czy sam artysta rozumie siebie, swoją twórczość całkowicie?

Na pewno tak nie jest. Człowiek wie niewiele o sobie samym. Przez całe życie dowiaduje się o sobie coraz to nowych rzeczy, i całe, choćby najdłuższe życie mu nie wystarczy, aby do dna zgłębić swoją istotę. W każdym człowieku jest coś wyższego ponad możność jego rozumienia. Tym bardziej dzieje się tak u artysty, który jest duchowo bogatszym, pełniejszym, bardziej skomplikowanym człowiekiem niż przeciętny zjadacz chleba.

Każdy zapewne przeżywał chwile dziwne, w których jak gdyby wzmagą się wzrok duchowy, jakby rozszerza

się horyzont widzenia na rzeczy nieznane i nowe. Chwila olśnienia, gdy jakaś pozornie znana i codzienna rzecz ukaże się nagle w zgoła innym, nieskończenie prawdziwszym od codziennego świetle. Ma się wówczas wrażenie, jakby właśnie w tej chwili poznało się prawdę. Może to być po raz pierwszy zauważone piękno jakiegoś pejzażu lub piękno twarzy ludzkiej; albo jakieś nowe skojarzenie myślowe wyjaśniające nam rzeczy, których się dotychczas nie rozumiało; albo nowy, nieoczekiwany pomysł, lub decyzja, w wyniku której, to co się wydawało trudne albo niemożliwe, stało się jasne, łatwe lub konieczne. Może to być nagłe rozjaśnienie czy rozświetlenie wewnętrzne — i wtedy codzienne sprawy, nudne i nieciekawe, stają się interesujące i radosne.

Nazwijmy inspiracjami te stany, znane w większym lub mniejszym stopniu ogromnej chyba większości ludzi.

Otóż spotęgujcie te stany wielokrotnie — podnieście je do jakiejś bardzo wysokiej potęgi, a zbliżycie się do wyuczucia tego co u artysty nazywamy natchnieniem, inspiracją w wielkim stylu. Inspiracja ta jest tak potężna, że samo jej przeżycie nie wystarcza; zjawia się konieczność utrwalenia otrzymanego doznania, potrzeba ekspresji — i oto artysta ulega popędowi twórczemu. Maluje, rzeźbi, komponuje, pisze — w wypadkach wyjątkowych a rzadkich improwizuje w półświadomości, jak gdyby powodowała nim jakaś obca, dla niego samego niezrozumiała wola. Znamy krańcowy stan tego specjalnego uniesienia u Mickiewicza — improwizację z „Dziadów“, zakończoną ciężkim omdleniem poety nie mogącego widocznie znieść niezwykłego napięcia duchowego.

Rzeczy takie nie zdarzają się co dzień i nie zdarzają się u każdego artysty. Natchnieniom tego rodzaju podlegają tylko ludzie genialni. Ale każdy artysta przeżywa specjalną gorączkę tworzenia, w której, często z niezwy-

kłym wysiłkiem, z wielką męką duchową, rodzi się wola wyrazu, twórczy niepokój, nakazujący z nieprzepartą siłą szukanie zewnętrznego kształtu, prawdziwej wypowiedzi w barwie, dźwięku, słowie zależnie od materiału, którym artysta operuje.

Skala uzdolnień artystycznych jest olbrzymia. Na szczytach są ludzie genialni tej miary, co Michał Anioł czy Leonardo da Vinci, Chopin czy Mozart, Shakespeare czy Mickiewicz. Tych wybranych jest niewiele. Bez porównania więcej jest ludzi wielkiego talentu, a za nimi idą legiony artystów mniejszego lotu, mniejszych możliwości, codziennych producentów piękna, których imiona prędko zanikają w biegu czasu, ale którym zawdzięczamy dużo. Oni to projektują domy, w których mieszkamy, ich dziełem są kształty mebli znajdujących się w naszym pokoju, wzory materiałów, w które się ubieramy, książki, stanowiące naszą codzienną lekturę, muzyka lekka, której słuchamy w radio, w kinie, w kawiarni, na ulicy.

Ci najwięksi i wielcy wytyczają swymi dziełami kierunek, nadają jakoby artystyczny ton epoce, ci mniejsi, skromni pracownicy sztuki, pokrywają swą pracę olbrzymią większość naszych zapotrzebowań artystycznych.

Zresztą producentami sztuki są nie tylko artyści zawodowi, tj. ludzie, poświęcający całe swe życie pracy artystycznej. Istnieje olbrzymia dziedzina sztuki ludowej, dziedzina od niedawna stosunkowo badana i poznawana, a uprawiana nie przez „zawodowców“ ale przez lud wiejski, który dopiero w stosunkowo niedawnych czasach zaczął pokrywać część swoich potrzeb w drodze towarowej wymiany. Jeszcze kilka dziesiątków lat temu chłop polski był w wielkiej mierze samowystarczalny, a więc musiał sam produkować wszystko prawie, co mu było w jego gospodarstwie potrzebne.

Sam sobie budował chatę, sam fabrykował narzędzia

pracy, sam dostarczał sobie żywności, ubierał się w tkaniny z własnej wełny lub lnu w domu utkane, sam tworzył lub przetwarzał elementy kultury duchowej — i sam dawał wyraz swoim tęsknotom artystycznym. W ten sposób powstawały architektura, zdobnictwo, tańce, muzyka i poezja ludowe.

Jest rzeczą ciekawą i dla naszych czasów charakterystyczną, że sztuka współczesna chętnie bardzo szuka kontaktu ze sztuką ludową, zapożyczając od niej motywy i przerabiając je na swoją modłę. U nas zaczęło się to na wielką skalę od Chopina w muzyce i szło przez całe generacje kompozytorów aż do Szymanowskiego i najmłodszych naszych muzyków — ale to samo widać w wielu dziedzinach czystej i stosowanej sztuki. Wspomnijmy bodaj Kasprowicza i Wyspiańskiego, Skoczylasa z jego drzeworytami, na drzeworytach ludowych i malowidłach na szkle opartymi, przypomnijmy sobie Witkiewicza, który stworzył tzw. styl zakopiański w budownictwie i meblarstwie, zwróćmy wreszcie uwagę na wpływ, jaki tkanina ludowa wywiera w naszych czasach na tkactwo współczesne.

To szukanie natchnienia przez artystów w sztuce ludowej ma niewątpliwie swoje bardzo głębokie powody. Zwrot ku ludowości przeżywa historia po raz już trzeci. Po raz pierwszy objawiło się to w czasach Ludwików, gdy ówczesne dworskie sfery francuskie zaczęły teatralizować życie pasterskie. Motywy te podchwycili ówcześni artyści, przejęła je dworska poezja, przejął je również obyczaj zmanierowanych markiz i markizów. Powstały tą drogą arcydziełka stylu i kostiumu, powstał specyficzny konwenans towarzyski, który odezwał się i u nas w Polsce — że wspomnimy tu o listach do królowej Marysieńki Jana Sobieskiego odgrywającego rolę zakochanego w swej pastierce Celadona.

Ten obyczaj pasterski był jednak obyczajem z nieprawdziwego zdarzenia i, rzecz oczywista, do istoty ludowości nie dotarł, dając jedynie trochę karykaturalną acz nie pozbawioną swoistego wdzięku modę.

Po raz drugi zwrócił się świat kultury intelektualnej do ludowości w okresie romantyzmu. Tu ruch ten miał bez porównania większe znaczenie i wywołał istotnie ważne następstwa.

Sprawa poczęła się nie pod znakiem mody i zabawy. Zrozumiano, że chodzi tu o rzeczy bardzo poważne, o wzbogacenie i odświeżenie samych podstaw kultury narodowej o nowe pierwiastki, dotychczas niesłusznie zapoznane.

Łączy się to wyraźnie z rozwojem świadomości narodowej cechującym owe nie tak zresztą od nas odległe czasy i z poszukiwaniem żywej a prawdziwej treści, która cechować winna całość narodowego życia. Przestała wystarczać uniwersalna, międzynarodowa kultura warstw naówczas przodujących. I w poszukiwaniu wartości trwalszych nad te, które cechowały ówczesną — jakże stosunkowo nieliczną — warstwę zamożnej szlachty i zaczynającego pełnić swoją kulturalną rolę inteligentnego mieszczaństwa, zwrócono się do środowisk ludowych tzn. chłopskich w przekonaniu, że w tych środowiskach zachowały się od prawieków wartości głębsze, trwalsze i w ludzkim tego słowa znaczeniu prawdziwsze niż te, które stanowiły obiegową monetę wieku oświecenia. Szukano u ludu płodniejszej życiowo postawy i znajdowano ją — w tych ultra-racjonalistycznych czasach — w irracjonalizmie wiary szczerzej i bezpośredniej, bez wątpliwości i mędrkowania oraz w sztuce ludowej, równie prostej i bezpośredniej. Przeciwstawiono „wiarę i czucie“ ludu „szkiełku i oku“ mędrca sądząc, że po tej drodze rozwijać się winna przyszłość ludzkości i narodu.

Ta druga próba sięgnięcia do skarbnicy kultury ludowej wzbogaciła sztukę o wielką epokę romantyzmu, który dał światu szereg wybitnych, niekiedy genialnych artystów słowa i dźwięku. Nie dała jednak, bo dać nie mogła, rozwiązania zagadnienia, o które tu chodzi. Romantyzm poszedł drogą nazbyt daleko posuniętej idealizacji pierwiastka ludowego i dlatego, być może, minął się z drogą najprawdziwszą. W poszukiwaniu treści narodowego życia i jego odrębności musi być zastosowana surowa dyscyplina obiektywizmu i prawdy; — wszakże chodzi o sprawę niezwyklej doniosłości, o uświadomienie sobie dokładne czym naród jest i czym ma być w przyszłości, jakie są właściwości jego kultury, jaki jest tej kultury dorobek, co jest w niej żywe i nosi w sobie zadatki na przyszłość, co zaś jest przeżytkiem i nie ma szans rozwojowych.

Romantyzm obiektywnym być nie potrafił, a może nawet nie chciał. Uciekał po prostu od sztywności i oschłości XVIII wieku i, szukając wartości życia w uczuciowości, idealizował uczuciowość ludową nie widząc twardego realizmu chłopskiego życia, chwytając natomiast najbardziej zewnętrzne cechy jego obyczajów.

Dziś, w naszych czasach widzimy próbę trzecią. Narody przeszły największą wojnę świata. Zarówno zwycięskie jak zwyciężone musiały sięgnąć do głębi zbiorowej duszy społeczeństwa, by wydobyć dostateczną moc wytrwania i przetrwania w długich krwawych zapasach. Poczucie narodowe wraz ze świadomością swych politycznych, gospodarczych i etnicznych odrębności wzrosło w ciągu lat niewiele w bardzo znacznym stopniu. Wydaje się, że wielka wojna niezmiernie przyspieszyła proces budzenia się i konsolidacji samopoczucia narodowego. Głęboka samowiedza narodowa stała się nie tylko elementem kultury; — stała się ponadto elementem siły.

Naród, który chce być silnym, musi głęboko czuć i rozumieć to wszystko, co jest więzią łączącą w jedną całość miliony ludzi. Więź tą widzi najmocniej i najwyraźniej we wspólnym obyczaju, wytworzonym przez długie stulecia współżycia i współpracy. Obyczaj jest wytworem tego, co ludzi łączy, a z drugiej strony, uświęcony i przyjęty, staje się tym silniejszym spoidłem między ludźmi. W ten sposób formy współżycia nabierają samodzielnego znaczenia, a skoro tak, to winny być gruntownie poznane, starannie badane i pilnie chronione.

Wydaje się, że ten trzeci zwrot ku ludowości, który obserwujemy obecnie, powinien dać trwalsze i bardziej pozytywne od dwu poprzednich rezultaty. W całym szeregu krajów prowadzi się wyteżoną, systematyczną pracę badawczą nad kulturą ludową i w oczach naszych wypracowuje się nowa dziedzina wiedzy, zwana etnografią, tej właśnie pracy poświęcona. Gromadzi ona skrzętnie materiały, bardzo często już dziś zanikające; starannie klasyfikuje zjawiska, wyjaśnia ich pochodzenie w oparciu o studia porównawcze, ażeby lepiej zrozumieć ich znaczenie, bada sprawy stosunku wytworów do materiału, z którego je ukształtowano, opracowuje zarówno technikę wytworów rękodzieła ludowego jak i wszelkie formy ujawnionej w nich kultury duchowej.

I tu spotyka się z wielkim zagadnieniem sztuki ludowej. Bada ją skrupulatnie we wszystkich jej przejawach, w treści i w kształtach: w ornamentyce ceramiki, wyrobów drzewnych i metalowych, w tkactwie, w hafcie, wycinankach, malowidłach i rzeźbach, w budownictwie, w tańcu, pieśni, muzyce, bajkach i opowiadaniach, wreszcie w obrzędowości kościelnej, rolniczej, rodzinnej i do-roczej: wszędzie tam, gdzie potrzebom życia towarzyszą potrzeby artystyczne.

Dzieje się to niemal w każdym państwie, w każdym

narodzie, dzieje się to i w Polsce. Zainteresowanie zagadnieniami sztuki ludowej wzrasta, a jednocześnie wzrasta zainteresowanie zagadnieniami sztuki w ogóle.

W ten sposób obserwujemy rzecz dość dziwną. Z jednej strony wieś staje się coraz mniej samowystarczalna, coraz więcej rzeczy kupuje, coraz bardziej przechodzi na gospodarkę pieniężną, czemu z konieczności towarzyszy zanik pewnych działów wytwórczości ręcznej, wyrugowanych przez tańsze lub doskonalsze wyroby fabryczne (strój, meble, narzędzia rolnicze). W związku ze zmianami, spowodowanymi przez rozwój techniki (prasa, książka, radio), wieś nawiązuje kontakt bliższy z miastem i staje się konsumentem sztuki miejskiej (dziś na wsi tańczy się już fox-trota i tango), a tym samym podupada i przestaje się podobać rodzima twórczość artystyczna.

Z drugiej strony miasto interesuje się więcej niż kiedykolwiek dawniej sztuką ludową, i gotowe jest stać się jej wcale pokąznym odbiorcą.

Po miastach powstają jak grzyby po deszczu sklepy i bazyry artystycznego przemysłu ludowego; zjawiają się mniej lub więcej fachowo przygotowani instruktorzy tego przemysłu, których zadaniem, lepiej lub gorzej wykonywanym, jest doskonalenie jakości i poziomu wyrobów ludowych przeznaczonych dla odbiorców miejskich. Zachodzą dwa przeciwstawne procesy: tandeta miejska zabija droższy, bo ręczny wyrób wiejski, miasto zaś zaczyna go poszukiwać, wkraczając na wieś.

Trudno dziś przewidzieć na czym się to skończy i nie o to zresztą chodzi nam w tej chwili. Pragnęliśmy jedynie podkreślić że w poszukiwaniu pełnego wyrazu wspólnoty łączącej naród, sprawy artystyczne ważną odgrywają rolę.

I jest to rzeczą zupełnie naturalną. Bowiem twórczość artystyczna, niezależnie od tego, czy bierze źródło od genialnej jednostki, czy też jest skromną ekspresją

dość pierwotnego mieszkańca zapadłej wioski, jest wyrazem — jak o tym wyżej mówiliśmy — niezmiernie poważnych przeżyć, czerpiących racje swego istnienia z głębokich warstw duszy ludzkiej. Nie są to przeżycia błahe, przypadkowe, a przez to nieciekawe i nieinteresujące. Dochodzi w nich do głosu głębsza i prawdziwsza strona natury ludzkiej, a więc coś, co przez wspólnie odczute piękno jest w stanie ludzi zbliżyć, łączyć i zjednoczyć.

Rola społeczna sztuki jest rzeczą najbardziej niewątpliwą. Wystarczy zwrócić uwagę, jak wiele wszystkie obrzędy, będące przecież objawami na wskroś społecznymi, zawdzięczają ich stronie artystycznej.

Uwidacznia się to przede wszystkim w obrzędowości religijnej, której zadaniem jest zjednoczenie mas we wspólnym wysiłku duchowym. W szczególności w obrzędach kościoła katolickiego element sztuki odgrywa pierwszorzędną rolę. Przecież rozwinęły się w niejako odrębne działy sztuki: muzyka, malarstwo, rzeźba i architektura kościelna i w tym zakresie osiągnęły niewątpliwie szczyty doskonałości. Kościół pilnie zawsze baczył na poziom artystyczny liturgii katolickiej, przywiązując do tej sprawy specjalną wagę.

Mówiliśmy wyżej o prawdzie naukowej jako o celu nauki. Czy istnieje prawda artystyczna, a jeśli tak, to co to słowo w dziedzinie sztuki oznacza?

Zdarza się często, że ludzie o niewyrobionym smaku artystycznym zatrzymują się przed bardzo słabymi obrazami twierdząc, że się im podobają, bo są „prawdziwe”. Oznacza to prawdopodobnie, że są podobne do tych konkretnych przedmiotów, które wyobrażają, a wypowiedzi tego rodzaju stosują się najczęściej do sztuki czysto realistycznej. Ale jeśli wyłączną zaletą obrazu ma być wierność realistyczna, to zwyczajna fotografia pod tym wzglę-

dem bije całkowicie malarstwo, a jeszcze lepiej jest zamiast wieszać na ścianie obraz, wyobrażający np. starannie i wiernie odmalowane kwiaty, postawić po prostu na stole doniczkę z tymi samymi kwiatami. Będą one napewno jeszcze prawdziwsze, niż „najprawdziwszy” obraz.

Mamy niewątpliwie cały szereg mistrzów - realistów, których dzieła posiadają nieprzemijającą wartość. Ale istnieją kierunki w sztuce, przeciwstawiające się bardzo zasadniczo realizmowi, które wydały wielkich artystów i wielkiej miary dzieła. Zatem nie „prawdziwość”, nie podobieństwo do modelu, z którego dzieło było robione, nie jego realizm jest sprawdzianem wartości artystycznej dzieła sztuki. Coś tam musi być głębszego, istotniejszego, ciekawszego, choć na pewno do zrozumienia trudniejszego.

Warto zwrócić uwagę na moment wyboru danego tematu przez artystę. Matejko malował sceny historyczne zawsze w przepychu wspaniałych i barwnych akcesoriów. Postawy jego postaci są wspaniałe, koturnowe; strój bogaty: — złoto, brokaty i aksamity; wyrazy twarzy pełne ekspresji: zadumane, natchnione, majestatyczne. Wyczółkowski często malował kwiaty, motyw również spotykany u Wyspiańskiego. Lenc ograniczał się do portretów, nie zwracając żadnej uwagi na akcesoria, a Stanisławski nie robił nic innego jak tylko malutkie pejzażyki, prześwietlone masą powietrza.

Czy jest rzeczą przypadku, że takie a nie inne tematy są traktowane przez artystę? Czy artyście jest wszystko jedno, co maluje, rzeźbi, pisze lub komponuje? Dlaczego Chopin ograniczał się wyłącznie do fortepianu, a Szymanowski pisał swoje utwory na różne instrumenty?

Dlaczego Żeromski, który był wielkim poetą, nie wydrukował w życiu ani jednego wiersza?

Otóż wydaje się nie ulegać wątpliwości, że artysta, wybierając dany temat i określoną formę ekspresji robi to z istotnych i zasadniczych dla niego względów. Coś go w tym temacie zastanowiło, coś do niego żywo przemówiło, coś go z tematem łączy, ujrzał w nim jakieś potwierdzenie tego co czuł i myślał, lub jakieś zagadnienie formy, barwy, dźwięku, myśli, uczucia — i to właśnie sprawia, że ogarnia go twórczy niepokój, że się nie uspokoi, dopóki nie dojdzie do stanu pewności i jasnej świadomości sprawy czy rzeczy, która go zastanowiła, dopóki nie ustali *prawdziwego* stosunku swego do przedmiotu jego zainteresowań. Ale wszakże dla artysty oznacza to po prostu konieczność wykonania dzieła artystycznego, bowiem człowiek sztuki nie ma innej możliwości wypowiedzenia się, jak w swej twórczości. I oto tak zrozumiane dzieło sztuki wyraża nie co innego jak prawdę duszy artysty, odtwarzaną w właściwym mu materiale: glinie czy drzewie, kamieniu, w kształtach budynku, w barwie i linii, w dźwięku instrumentu muzycznego, wreszcie w najsubtelniejszym tworzywie, jakie stanowi słowo.

Gdy wielki architekt buduje świątynię, w dziele jego zawarta jest najniewątpliwiej prawda jego postawy religijnej i jeśli porównany np. surową strzelistość mrocznej gotyckiej katedry z przepychem wręcz salonowym jasnej przestrzeni kościoła stylu odrodzenia, to różnica stosunku do Boga twórców tych dwóch kościołów staje się rażąco widoczna.

Żeby wrócić do nazwisk poprzednio cytowanych; — czyż nie widać, że artystyczna prawda Matejki tkwi w jego stosunku do przeszłości dziejowej Polski, że tam, ku niej, zwrócona jest jego wielka miłość i duma, że widzi w niej mnóstwo czysto artystycznych zagadnień, które usiłuje dziełami swymi rozwiązać w jak najprawdziwszy sposób. I stąd puszystość jego aksamitów, chłód

metalowy rycerskich zbroi, twarze, wiernie ze starych pieczęci i drzeworytów w podobieństwie rekonstruowane, stąd jego głęboki realizm, dążący do jak najwierniejszego oddania tej prawdy dziejowej, którą widział oczami artysty.

Gdy przyjrzymy się kwiatom Wyczółkowskiego uderza od razu, iż prawdą dla artysty jest to, że kwiaty żyją jako rzeczy w sobie, że to są żywe stworzenia, takie same, jak on, Wyczółkowski, że artysta jest tym przejęty, wzruszony do głębi, niemal zdumiony istotną prawdą tego zrozumienia.

A Wyspiański? jego prześliczne rysunki róż, ostów, irysów, nie wyobrażają żywych istot, są to jedynie sploty form — jeszcze mniej — zjawiska bez mięszu, bez blasków, koloru, niedotykane. Jest to niemal czysty kształt, linia, abstrakcja. Wyspiański staje w zadumie nad wycinaniem w ząbeczki kształtem listka róży, kształtem jedynym, otrzymanym w tajemnicy takiego a nie innego narastania listeczka, tajemnych sił, działających w procesie formowania się rośliny — i szuka zrozumienia prawdy tego zjawiska, rysując lekką dłonią mistrza delikatny kontur. Nie to jest dla niego ważne, że liść róży posiada kolor, połysk, że jest tak lub inaczej położony w przestrzeni, otoczony tymi czy innymi przedmiotami. Wyspiański rysuje roślinę bez tła, samą dla siebie, potwierdzając swym rysunkiem prawdę, że oto taki jest cudowny, zdumiewający kształt listka róży lub kwiatu irysu, bo w drodze intensywnego przeżycia artystycznego tę właśnie prawdę zobaczył, a przez wykonanie zrealizował.

Powie ktoś, kto z zagadnieniami sztuki mało się stykał, że taka prawda listka rośliny jest już nazbyt banalna. Zapewne, jeśli chodzi o momenty czysto poznawcze. Natomiast w sprawach artystycznych nie ma rzeczy ba-

nalnych i nie ma banalnych tematów. Dla wielkiego mistrza ciekawy jest każdy temat, w którym, jak w lustrze, zobaczył jakąś prawdę duszy swojej, który mu dał przeżycie artystycznie prawdziwe.

Żeby z innej jeszcze strony oświetlić zagadnienie prawdy w sztuce, zwróćmy uwagę na stosunek tworzywa do dzieła sztuki. Układa on się najjaśniej w tzw. „sztuce stosowanej“ lub użytkowej, to jest w tych wytworach o cechach artystycznych, których przeznaczenie związane jest z użytkowaniem praktycznym. Jest rzeczą jasną, że wybór materiału, z którego dany przedmiot jest wykonany, uzależniony jest ściśle od przeznaczenia tego przedmiotu. Garnki robi się z gliny, podkowy z żelaza, ubranie z wełny lub lnu, a kołowrotek z drzewa nie dlatego, że taka jest tendencja rzemieślnika, ale dlatego, że dany materiał nadaje się do celu, któremu wytwór ma służyć.

Otóż w rękodziele, w szczególności zaś w rękodziele ludowym jest stała tendencja upiększania wyrobów o celach użytkowych przez wprowadzanie tych czy innych momentów dekoracyjnych. Wyroby drzewne są rzeźbione, a czasem sam ich kształt wykazuje walory artystyczne, tkanina często bywa wzorzysta i barwna, względnie haftowana, ceramika zdobiona w najrozmaitszy sposób, budownictwo przybiera kształty architektonicznie piękne itd. Pragnę tu zwrócić uwagę na stosunek tego wszystkiego, co jest tendencją artystyczną wytworu do tworzywa, z którego wyrób jest zrobiony. Każdemu materiałowi odpowiada specyficzna technika artystyczna, a cechuje ją zarówno materiał (drzewo, żelazo, włókno, glina, skóra itd.), jak i narzędzia w tym celu używane. Weźmy jako przykład polewę, którą garncarz pokrywa naczynie gliniane. Zabieg ten jest wybitnie celowy: chodzi po prostu o to, aby naczynie nie przesączało wody. Ale w grę wchodzi czynnik artystyczny — i oto dobiera się polewę o pięk-

nych, zmieniających się barwach, układa się je w harmonijnych kolorystycznie zespołach, lub idzie się jeszcze dalej i maluje się całe motywy dekoracyjne, aby po wypaleniu uzyskać prześliczne niekiedy efekty.

Otóż są w Warszawie sklepy z tzw. sztuką ludową, w których kupujący znajdzie garnki, ozdobione... farbą olejną. Oczywiście, nie mają one nic wspólnego z prawdziwą sztuką ludową, są wołającym o pomstę do nieba absurdem, ohydnyim falsyfikatem prawdy wytworu artystycznego.

Spróbujcie postawić taki garnek na płycie i zagotujcie w nim wodę. Malowidło na garnku ulegnie zniszczeniu, albowiem między materiałem — farbą olejną — a celem użytkowym przedmiotu nie ma żadnego sensownego związku. Zaprzeczono tu w sposób głupi i brutalny prawdziwie stosunku między wytworem a tworzywem.

Można by przytoczyć mnóstwo analogicznych przykładów, w których bezmyślność, tandeta i deprawacja nie tylko dobrego smaku artystycznego, ale wszelkiego zdrowego sensu święcą swoje tryumfy.

Jeśli o tej rzeczy wspominamy, to dlatego, że szukając prawdy artystycznej i chcąc zdać sobie należycie sprawę na czym ona polega, nie możemy zapominać, że warunkiem tej prawdy jest uczciwość artystyczna, która znajduje swój wyraz nie tylko w wewnętrznych przeżyciach artysty, ale i w jego stosunku do materiału, w którym pracuje, a który posiada swoje prawdziwe, zupełnie obiektywne cechy. W dobrej rzeźbie lub architekturze drzewo nie może imitować kamienia, a motywy dekoracyjne tkaniny stają się rzeczą bezsensowną i zakłamaną w glinie.

Wszyscy używamy mnóstwo słów, za pomocą których wyrażamy swoje myśli i uczucia. Są słowa jasne i proste, nie budzące żadnych wątpliwości gdy chodzi o ich zna-

czenie; — takimi są przede wszystkim nazwy przedmiotów. Ale są inne o mniej sprecyzowanym znaczeniu. Do takich należy często używane, gdy chodzi o zjawiska w dziedzinie sztuki słowo styl.

Mówimy o stylach mebli i wnętrz, o stylach w architekturze, malarstwie, rzeźbie, muzyce, literaturze. Jedne z nich dawno przebrzmiały, inne wciąż są żywe, z innych posiadamy pozostałości, przejęte przez czasy późniejsze.

I tak z rzeźby, architektury i malarstwa egipskiego nie bezpośrednio nie weszło do naszej sztuki współczesnej, choć styl sztuki egipskiej był nieporównanie wspaniały i zachwyca nas dotychczas swoim pysznym spokojem, monumentalnością kształtów i głęboką prawdą duchową oraz brakiem wszelkiej pozy i efekciarstwa. Człowiek współczesny ze zdumieniem dla mistrzostwa artystów egipskich, ze czcią patrzy na sfinksy, portrety, pomniki, budowle egipskie, podziwiając głębię kultury, która takie dzieła wydać mogła.

Styl Grecji klasycznej trafia nam i dziś do przekonania. Rzeźba grecka uznana została za szczyt doskonałości swojego rodzaju i ma zawsze naśladowców, niekiedy niepozbawionych wielkiego talentu. Architektura przekazała nam w spadku szereg konstrukcji, z których grecka kolumna prawdopodobnie na zawsze zyskała sobie prawo obywatelstwa w sztuce.

Architektura średniowiecznych zamków przeżyła się i nie jest używana ponieważ straciła uzasadnienie wobec współczesnej techniki wojennej. Ale rzeźba i malarstwo średniowieczne odżywają dziś w sztuce współczesnej, a architektura kościelna nierzadko powraca do stylu romańskiego i gotyku, choć jednocześnie poszukuje nowych dróg i nowe sobie stawia zadania.

A ileż powstawało stylów późniejszych w coraz żywszym tempie się tworzących: odrodzenie, barok, rokoko,

empire, Ludwik XVIII, Napoleon III, i dziesiątki innych, kształtowanych już za czasów ostatnich dwu pokoleń, mijających bardzo prędko i trwających bardzo niedługo. Tak niedługo, że trudno używać dostojnego słowa: styl, mówiąc o ostatnich kilkudziesięciu latach i słusznie robimy używając nazwy: kierunek artystyczny. Mówi się o impresjonizmie, modernizmie, futuryzmie, ekspresjonizmie, kubizmie, formizmie itd. itd. jako o kierunkach we współczesnej sztuce, kierunkach krótkotrwałych i niespokojnych.

Słusznie można postawić pytanie, jaki jest powód zamierania jednego stylu i powstawania innego, oraz dlaczego niektóre style o wielkiej sile wyrazu są dla nas już zamkniętą skarbnicą, do której się nie powraca, gdy inne wciąż jeszcze żyją i są nam bliskie.

Odpowiedź na to pytanie musi sięgnąć do głębokich podstaw kultury tych narodów i czasów, których dziełem był styl epoki. Bowiem styl ten nie powstaje przypadkowo, nie jest luźnym i dowolnym wymysłem utalentowanego artysty. Jest wyrazem w języku sztuki tego, czym epoka żyje, łączy się najściślej z tym, co można by nazwać stylem życia. I dopiero w tych granicach, jakie styl życia wyznacza, twórcza indywidualność artysty ma możliwość zabrania głosu i swobodnego wypowiedzenia się w kształcie, barwie lub słowie.

Łatwo byłoby sprawdzić słuszność tego na przykładach poszczególnych stylów i epok. Nie będziemy tu, rzecz prosta, mogli dłużej się nad tym zatrzymywać, wspomnijmy jednak mimochodem, że styl sztuki egipskiej najbardziej jest związany z życiem religijnym, którego cechą charakterystyczną jest kult życia pozagrobowego. Taki kult musi być wzniosły i poważny, nic więc dziwnego, że i sztuka egipska jest dostojna i monumentalna. Mając do czynienia z wiecznością życia pozagrobowego,

doprowadziwszy do wysokiego kunsztu sztukę konserwowania ciał zmarłych, co wiąże się ściśle z charakterem tej religii, — dba o wiecznotrwałość swoich dzieł, wybierając zarówno ich formy jak i materiał tak, aby jak najmniej ulegały niszczyielskiemu działaniu czasu. Toteż rzeźba w bardzo twardym kamieniu i masyw brył architektonicznych są dla sztuki egipskiej charakterystyczne.

Zupełnie biegunowo inne jest stanowisko starożytnych Greków. Tych ludzi cechuje żywość, giętkość myśli i słowa, radość życia i umiejętność cieszenia się jego darami. Organizowali się w małe państewka o ustroju demokratycznym, politykowali, mieli znakomitych mężów stanu, mówców, filozofów, pisarzy. Chętnie przejmowali każdy kult religijny, byleby stanowił on wyraz lub symbol życiodajnej mocy. Zagadnieniem śmierci nie interesowali się zbyt i bardzo mieli o niej mętne i niesprecyzowane pojęcie — raczej od spraw pozagrobowych uciekali. Nic więc dziwnego, że i styl ich sztuki jest przeciwstawieniem stylu sztuki egipskiej. Świątynie ich są lekkie, harmonijne. Otacza je kolumnada jakby dla przesycenia murów powietrzem i światłem. Rzeźba wyraża przede wszystkim piękno ludzkiego ciała zarówno w spoczynku jak w ruchu.

Epos grecki z lubością opisuje obok krwawych zapasów drobne sprawy życia, przygody miłosne, bogactwo władców, ich zbroje i ubiory, ich stada i sady, ich uczty i rozkosze. Jawi się poezja liryczna, wyrażająca ludzkie uczucia, pojawiają się erotyki, rozwija się komedia. I tylko w tragediach greckich znalazły wyraz groźne sprawy przeznaczenia, winy i kary za popełniane grzechy.

Rzućmy okiem na średniowiecze. Świat ówczesny przesycony jest uczuciem religijnym. Ideałem tego życia staje się mnich asceta, który albo pokutuje w samotnej pustelni za grzechy swoje i cudze, albo z krzyżem, a często

i mieczem w dłoni nawraca pogan na drogę prawdziwej wiary ku zbawieniu dusz i większej chwale Bożej.

Toteż sztuka ówczesna przede wszystkim jest sztuką religijną.

A że w najgłębszym rozumieniu wczesnego chrystianizmu życie jest złem, które dopiero śmierć jest w stanie przezwyciężyć, przeto tematem sztuki owych czasów są sprawy duchowe: Bóg, święci, męczennicy, mnisi, cuda — i śmierć. Taka sztuka musi być sztuką idealistyczną, naturalizmu unika, szuka raczej abstrakcji. Toteż piękno ciała uważane jest za grzech i pokusę. Ulubionym tematem malarstwa i rzeźby staje się Ukrzyżowanie. A obok wizerunku męki Pańskiej grupują się postacie twarde, sztywne, hieratyczne o konwencjonalnym ruchu, o zastygłych w cierpieniu twarzach — martwością swą niezbyt odbijające od martwoty Ukrzyżowanego.

Architektura kościelna staje się coraz bardziej strzeżona, jak strzeżona winna być modlitwa, która jedynie może wykupić świat od wiszącej nad nim zagłady.

I nagle przychodzi najgłębsza rewolucja. Z epoką odrodzenia jakby zmartwychwstało coś ze starożytnej, pogańskiej Grecji wraz z jej ukochaniem piękna życia, wraz z jej radością życia. Nawrót do przeszłości dawno minionej jest błyskawiczny, a w ramach chrześcijaństwa zaczyna się szerzyć zgoła nowy pogląd na świat i życie.

Mroczne kościoły średniowiecza ustępują miejsca świątyniom szeroko rozłożonym, jasnym i wesołym. Obrazy zapełniają się postaciami żywymi, o wspanialej karnacji obnażonego ciała, jak za czasów starożytnych. Akt ludzki przekracza furtę kościelną i zyskuje sobie prawo obywatelstwa. Rozwija się literatura, jako literatura świecka, nie tylko nie gardząca tematami z życia codziennego, ale wręcz obyczajowo swobodna.

Styl sztuki idzie równolegle do stylu życia. Nie bę-

dziemy mnożyli tych przykładów. Te, które podałem wystarczają, aby zrozumieć, że styl sztuki związany jest ze stylem epoki. Ilekroć wyrasta nowa kultura na ruinach starej, towarzyszyć jej budowie musi z nieuchronną koniecznością nowy styl w sztuce.

To daje nam zarazem odpowiedź na drugie pytanie wyżej postawione. Style przeszłości o tyle żyją dla nas, o ile w kulturze tej przeszłości zachodzą istotne podobieństwa do naszej obecnej kultury. Dlatego wspaniała, na pewno nie niższa od greckiej sztuka egipska jest dla nas skarbnicą pamiątek, gdy szereg zasadniczych pierwiastków sztuki greckiej wchodzi do sztuki współczesnej. Bo niewątpliwie z greckim światem jeśli nie wierzeń, to myśli, życia społecznego, ustroju politycznego mamy znacznie więcej wspólnego, niż ze światem takim, jaki istniał w starożytnym Egipcie.

To nam daje również odpowiedź, dlaczego tak niezaprzeczenie piękna sztuka chińska lub japońska nie znajduje u nas naśladowców, mimo iż sztukę tę cenimy bardzo wysoko. Cywilizowane narody Azji żyją bowiem w świecie zupełnie odmiennym od naszej kultury. Mają inne wierzenia, inne tradycje, inne obyczaje, inny stosunek do życia. Mają też inną sztukę, której wielkie piękno możemy rozumieć i cenić, adoptować jej jednak nie potrafimy.

Gdy zatem zastanawiamy się nad zagadnieniami stylu w sztuce, musimy rozumieć, że nie chodzi tu jedynie o formalne różnice w traktowaniu swych zadań u artysty. Nie to jest najważniejsze, że Praksitel wydobywał z marmuru przepyszny kształt ludzki o żywej miękkości ciała, o ruchu harmonijnym i uroczym, o niewymownej słodyczy wdzięku, a snycerz średniowiecza dawał kawałowi drzewa bolesniwy, spazmatyczny ruch katowanego człowieka, jakiś ciężki, niezdarny w utraپieniu zarys ludzki,

chudy, wymęczony i brzydki. Ważne jest, że obaj artyści dawali w swej sztuce to, co było prawdziwe w ich epoce, obaj prawdzie tej epoki dawali najgłębiej odczuty, najrzetelniej przepracowany wyraz.

Formalne różnice wynikają z różnic rzeczowych dwóch kultur. Sztuka jest jedną z zasadniczych składowych i jednocześnie wytworów ludzkiej kultury i styl jej nosi znamię epoki, w której powstał. Styl ten jest tym większy, tym wspanialszy, im większa jest kultura, z której się wywodzi.

Ale czas już przejść do innego tematu. Oświeciliśmy — co prawda bardzo pobieżnie — zagadnienie twórczości artystycznej od strony wewnętrznej prawdy duszy artysty, danej mu w chwili inspiracji, a wyrażanej w materiale jego sztuki; mówiliśmy o właściwościach tego materiału, które muszą być zawsze uszanowane, o sztuce ludowej, w której współczesna kultura poszukuje wartości trwalszych niż te, które są obecnie w jej posiadaniu, wreszcie o stylu w sztuce, jako wyrazie artystycznym każdej epoki.

Celowo zwracaliśmy uwagę na zagadnienia związane z prawdą ducha ludzkiego w tej formie, w jakiej objawia się ona w dziełach sztuki, pominęliśmy natomiast wszelkie rozważania estetyczne; zrobiliśmy to dlatego, że zagadnienie prawdy życia, w której się i zagadnienie prawdy sztuki mieści, jest sprawą na pewno ze wszystkich najważniejszą.

ROZDZIAŁ VI

Stosunek człowieka do człowieka zawierać może w sobie nieskończoność wszelakich możliwości, niesłychane bogactwo bardzo różnorodnych treści. Z grubsza mówiąc, o tym stosunku decydować muszą właściwości indywidualne człowieka, a więc cechy jego psychiki. Inaczej ustosunkowujemy się do człowieka głupiego, inaczej do rozumnego, dobrego lub złego, uczuciowego lub ośchłego, szczerego lub fałszywego, otwartego lub skrytego, inaczej oceniamy jego wartość lub przydatność społeczną, inaczej reagujemy na niego osobiście, poszukując lub unikając jego towarzystwa — jednym słowem bardzo skrupulatnie ustalamy nasz stosunek do spotykanych po drodze życia ludzi i on właśnie charakteryzuje w istotny sposób i nas samych i tych, których dotyczy.

Otóż żyć można a czasem trzeba z najprzeróżniejszymi ludźmi, o najrozmaitszych charakterach, usposobieniach, temperamentach, o bardzo różnym stopniu inteligencji, rzetelności, uczuciowości; żyć można, a czasem trzeba w jakimś z nimi współdziałaniu, w jakimś porozumieniu, w jakimś kontakcie. Nie zawsze jesteśmy w stanie niezależnie od okoliczności dobierać sobie towarzystwo; często jesteśmy skazani na stałe spotkanie się z ludźmi, do których nie mamy sympatii, albo którym nie możemy dostatecznie ufać, albo zdanie których nie jest dla nas istotne. Ale przecież nawet w tych wypadkach, gdy nasz stosunek do danego człowieka nie układa się bardzo pozytywnie, zawsze niemal znajdziemy w nim coś, co wzbudzić w nas może szacunek, albo sympatię, albo współczucie, jednym słowem niemal zawsze i niemal w każdym odnaleźć można jakąś cechę dodatnią, jakąś jego cnotę, która nawet wobec

innych jego braków czy przywar pozwoli na to, co nazwać możemy ludzkim stosunkiem człowieka do człowieka.

Nić wzajemnego porozumienia w szerszym lub ciśniejszym zakresie nawiązać można niemal z każdym, i prawie chyba nie ma człowieka, w którym nie można by odnaleźć czegoś wspólnego, w podobny sposób odczuwanego, przeżytego czy przemyślanego.

Z jednym chyba jedynym wyjątkiem. Z wyjątkiem człowieka, pozbawionego godności. Z wyjątkiem człowieka, pozbawionego poczucia honoru.

Człowiek niedostatecznie dobry może stać się lepszym. Niewykształcony może się dokształcić. Nie ma grzechu, z którego nie możnaby się poprawić. Wysiłek i wola mogą człowieka z gruntu zmienić. Znamy dużą ilość wypadków głębokich, istotnych przeobrażeń wewnętrznych człowieka. Z najgłębszych upadków można się podźwignąć w górę, jak o tym świadczą chociażby żywoty niektórych świętych.

Natomiast wydaje się rzeczą mało prawdopodobną, aby człowiek pozbawiony poczucia honoru był w stanie kiedykolwiek przeobrazić się pod tym względem. Jest jak ślepy od urodzenia, którego nerwy wzrokowe są w zupełnym zaniku. Świat godności i honoru jest dla niego zamknięty na zawsze.

Jeśli taki człowiek jest wyjątkowo sprytny i wyjątkowo przebiegły, potrafi co najwyżej imitować człowieka honoru, ale każdy łatwo się zorientuje, że jest to honor podrabiany.

Mówiąc o honorze, dotykamy napewno cechy bardzo dla człowieka istotnej, bardzo jednocześnie głębokiej.

Na czym tedy polega poczucie honoru? Jakiego rodzaju siłę stanowi? A na pewno stanowi siłę potężną, skoro, jak o tym wszyscy wiemy, niejednokrotnie tak wyraźne, tak precyzyjne normy postępowania nam wyznacza? W ja-

kim zakresie obowiązują te normy? Zapewne w znacznym, skoro działają zarówno w najgłępszym tzw. zająsci honorowym, likwidowanym w drodze pojedynku z bronią w rękę, jak i w doniosłych sprawach czci osobistej, honoru służby, godności ojczyzny.

Więc może warto zastanowić się przez chwilę nad tymi sprawami.

Najprościej kojarzy się pojęcie honoru z pojęciem rycerskości. Wieki ubiegłe, w szczególności zaś średniowiecze wypracowało zwarty i zupełny ideał rycerza: człowieka gotowego zawsze do walki w obronie swej prawdy, szukającego okazji do pomnożenia dobra na ziemi, mającego żywe poczucie swej godności i godności sprawy, której się służy. Rycerz średniowieczny był człowiekiem służby, której się bez zastrzeżeń poświęcał. Cześć, jakiej dla siebie wymagał, była wynikiem wielkiego znaczenia, jakie swej służbie przypisywał: gdy cel, do którego służby się zaprzął, był sprawą wielkiej godności, jakże blask tej godności nie miał oświecać i tego, który narzędziem sprawy się stawał?

A ponieważ służba jego była służbą Bogu i księciu — a więc dotyczyła spraw wiary i ojczyzny, spraw na pewno najgodniejszych, w hierarchii ludzkiego życia najbardziej ważkich, nic przeto dziwnego, że służba tak rozumiana była wielkim zaszczytem, sprawą wielkiego honoru, że dawała dumne samopoczucie doniosłej roli, jakiej się z własnej woli podejmowano, że wreszcie oddając wszystkie siły, a w rycerskiej potrzebie i życie własne, w zamian żądało się od świata szacunku dla swojej prawdy, dla swojej pracy, dla swojej osoby.

Honor osobisty był więc oparty na czymś ważniejszym, godniejszym, świętszym nad życie indywidualne człowieka. Człowiek był wprzagnięty w służbie wielkiej idei i z niej czerpał poczucie własnej wartości.

Łatwo prześledzić, jak się poczucie honoru degenerowało w ciągu następnych wieków, aby w czasach Ludwików doprowadzić do płytkich i czysto zewnętrznych manier, francuskiego *gentilhomme'a*, zawadiaki umiającego jeszcze ryzykować swoje życie w pojedynkach bez żadnego powodu, ale nie reprezentującego żadnej idei, nie służącego żadnej większej sprawie, często pozbawionego czci i wiary, pysznego i chełpliwego dzięki urodzeniu lub majątkowi, a wtłoczonemu w martwość formułek i reguł postępowania, z których żywa treść uleciała już dawno. Maniery rycerskie stały się modą, na ołtarzu której poświęcało się wiele, nawet własne życie (za czasów panowania Ludwika XIV, zginęło w pojedynkach jakoby 7000 szlachty francuskiej) — można jednak wątpić, czy głębsze poczucie honoru odgrywało w tym wszystkim istotną rolę.

I gdy nowe i najnowsze czasy nie zdobyły się na ustalenie innej, a tym bardziej wyższej klasy idei honoru, niż to potrafiło zrobić średniowiecze, może słusznym będzie zatrzymanie się na idei rycerskiej, jako na najpełniejszym i najpiękniejszym wyrazie ludzkiego honoru, jaki nam z dziejów jest znany. A to tym bardziej, że idea ta, choć liczy wiele setek lat, nie jest tak odległa od czasów dzisiejszych, nie jest nam bynajmniej obca; — wprost przeciwnie, dziś jeszcze odnajdujemy w niej wartości istotne, głęboką prawdę życia, nie obliczoną na przemijanie. Zmieniła się epoka, uległy zmianie warunki, obyczaje, wierzenia, ale pojęcie honoru służby i godności służbę tę pełniącego, pozostać może i pozostać winno, jeśli życie nasze — zarówno osobiste jak i zbiorowe w społeczeństwie, narodzie i państwie — ma być nie pustym spędzaniem czasu, ale istotną wartością.

Jest tedy poczucie honoru poczuciem własnej wartości w odniesieniu do celu, któremu zdecydowaliśmy się służyć i z poczucia tego wynikającą postawą w życiu, postawą poważną, twardą i pewną.

Z tego określenia wynikają bardzo ważne następstwa. Przede wszystkim to, że trudno jest mówić o honorze tam, gdzie życiu nie został żaden cel wyznaczony. Wyobraźmy sobie człowieka, który w życiu nie chce odgrywać żadnej roli, jest widzem, bawiącym się tym, co ogląda, biorącym radość gdzie się da i od kogo się da, szukającym wciąż nowych wrażeń, jednym słowem człowiekiem bez pracy, bez poczucia obowiązku, bez żadnej dyscypliny życia. Zgódźmy się na to, że niekiedy człowiek taki może być miłym towarzyszem podróży lub rozmowy: dużo może widział, coś nie coś przeczytał, o tym lub innym się dowiedział. Jeśli spotkacie takiego człowieka nie mówcie mu nic o honorze, bowiem nie może z takiej rozmowy wyniknąć nic innego, jak nieporozumienie. Bo będzie on święcie wierzył, że jest człowiekiem honoru: posiadać może poczucie swej godności, czasem dumy rodowej lub majątkowej. Na każdą niegrzeczność zareaguje obrazą, obelgi do kieszeni nie schowa, a w wypadkach poważniejszych skłonny będzie do żądania satysfakcji z bronią w ręku. Przejął bowiem wraz z wychowaniem wszystkie formy, ale pod tymi formami nie ma żadnej żywej treści i w gruncie rzeczy pozbawiony jest poczucia honoru, niedostępnego dlań całkowicie. Honor jest zjawiskiem życia społecznego i zamiera tam, gdzie tętno tego życia zamiera. A życie społeczne musi być przecież twórczym stosunkiem do rzeczywistości, realizowaniem pewnych wspólnych celów, którym się służy całym swym życiem.

Nie można nikogo szanować bez powodu. Szacunek do człowieka oparty jest zawsze na wartości przez niego reprezentowanej. Szanuje się człowieka za coś, za pewne cechy czy właściwości jego charakteru, za jego wiedzę, za jego pracę. Skala szacunku, jaką kogoś obdarzam, świadczy o stopniu wartości moralnych lub umysłowych, które mu przypisuje.

Tym bardziej nie należy szanować bezpodstawnie samego siebie. Jeśli zbyt wysoko ocenię mego bliźniego — jest to moja pomyłka; jeśli zrobię taką pomyłkę w stosunku do samego siebie — jest to zakłamanie. Prowadzi ono do niesłusznego przeceniania własnej osoby, do nazbyt o sobie dobrego mniemania, do nieusprawiedliwionego poczucia własnej godności — jednym słowem do karykatury.

Takie karykatury honoru zjawiają się dość często. Puści a zrozumieli, o zewnętrznych cechach gentlemana a w gruncie rzeczy wyprani z poczucia honoru, są tacy ludzie niemożliwi do zniesienia na horyzoncie powagi życia. W stosunku do nich niech znajdą zastosowanie słowa poety: *guarda e passa*. Żadnego innego do nich stosunku ustalić nie można.

I jest druga rzecz, związana z naszym określeniem honoru. Była tam mowa o poważnej, twardej i pewnej postawie człowieka honoru. Warto i na tę sprawę rzucić pewien snop światła.

Człowiek o mocnym i usprawiedliwionym poczuciu swej godności równie mocno odczuwa swą rolę w życiu i przypisuje jej znaczenie. Nie musi to być koniecznie rola wielka. Może stanowić zaledwie jakieś małe kółeczko w mechanizmie struktury społecznej, ale kółeczko to musi być mocno zazębione z innymi, w ich rytmie pracować, razem z innymi się obracać, krótko mówiąc stanowić część jakiejś zwartej, zharmonizowanej, sensownej całości o wyraźnie określonych zadaniach, których celowość i pożyteczność winna być jasna i wyraźna. Nie ma innego rzetelnego sposobu do wzbudzenia szcunku do siebie samego, jak tylko przez swą pracę. Każdy inny musi nieuchronnie prowadzić do zakłamania się wewnętrznego, o którym wspomniano wyżej. Praca zaś w naszej organizacji życia zbiorowego polega na wzajemnej wymianie

usług, jest więc drogą najskuteczniejszego związania jednostki ze zbiorowością z pracy jednostki korzystającą i świadczącą w zamian na jej korzyść.

Jest rzeczą ciekawą, jak reaguje masa ludzka na ludzi, którzy ponad przeciętną miarę rozbudzili w sobie poczucie honoru. Nie tylko obdarza ich głęboką czcią i szacunkiem, ale chętnie otacza ich aureolą legendy, tworząc przekazywane z ust do ust opowiadania o tych, których za rycerzy honoru uważa. Nie trudno było by przytoczyć bardzo wiele nazwisk historycznych, które przetrwały w pamięci współczesnych przede wszystkim w związku z cechującym je bohaterstwem honoru. Pozostała legenda Księcia Niezłomnego, Zawiszy Czarnego, Księcia Józefa Poniatowskiego. Motyw honoru przewija się zarówno poprzez literaturę środowisk wykształconych, jak i przez literaturę ludową. W prześlicznych opowiadaniach góralskich Tetmajera („Na Skalnym Podhalu“) wykorzystane są te motywy bardzo obficie.

Tłumaczy się to niezwykle pewną i mocną postawą życiową, jaką posiadają ludzie o wyjątkowo silnym poczuciu honoru. Może w żadnej innej stronie natury ludzkiej nie wyraża się w sposób tak poważny i godny pewność słuszności swego stanowiska, możliwość powzięcia szybkiej a słusznej decyzji, umiejętność odróżniania rzeczy i spraw godnych i niegodnych. Człowiek honoru w bardzo trudnych sytuacjach życiowych zawsze znajdzie wyjście godne gentlemana. I właśnie to sprawia, że ludzie chętnie skupiają się koło niego, ufają mu, pytają o rady i wskazówki i uważają go za autorytet w sprawach godności ludzkiej. Jest faktem, że ludzie tego rodzaju promieniają bardzo intensywnie na zewnątrz, przez sam fakt swego istnienia podnosząc życie swego środowiska na wyższy poziom.

Pozwólcie, że opowiem małe wspomnienie jeszcze z czasów przedwojennych, w którym uwydatnia się w spo-

sób oczywiście karykaturalny a jednak głęboko wzruszający, jak znaczną rolę odgrywać może silnie rozbudzone poczucie honoru.

Było to w jednej z letniskowych miejscowości Polski. W pensjonacie, w którym spędzałem odpoczynek, zamieszkał młodziutki, świeżo mianowany podporucznik armii austriackiej, miły, prosty, sympatyczny młodzieniec. Któregoś dnia przy obiedzie podano rybę. Podporucznikowi ość staje w krtani, młodzian zaczyna się krztusić, tchu mu brakuje, twarz robi się fioletowa. Nie pomaga ani próba picia wody, ani połykanie skórki od chleba, ani uderzenie w kark przez naprawdę już zaniepokojonych sąsiadów. Wreszcie w pewnym momencie zrywa się od stołu i wybiega do sąsiedniego salonu. Jeden z obecnych po chwili wychodzi za nim. I zaledwie zdążył mu wyrwać z ręki rewolwer, już przykładany do skroni.

Nieszczęsny chłopak mówił potem, że pragnął odebrać sobie życie. Nie mógł znieść myśli aby oficer czynnej służby mógł umrzeć od udławienia się rybią ością. Jego poczucie honoru i godność zawodu kategorycznie sprzeciwiały się tak głupiej, tak absurdalnej śmierci. Sądził, że postąpi godniej w stosunku do munduru, który nosił, gdy sobie w łeb palnie. Taka śmierć nie ma przynajmniej w sobie nic upokarzającego.

Niech moi czytelnicy przemyślą dobrze ten przykład, albowiem jest on bardzo pouczający, chociaż autor tej tragifarsy napewno chciał postąpić bardzo nierozumnie. Na tym małym, drobnym a bardzo bezsensownym wydarzeniu widać, jak silnie grać może w człowieku poczucie honoru zespołu, w którym się żyje.

W danym wypadku zespołem był stan żołnierski. Za zaszczyt należenia do tego stanu trzeba zapłacić bardzo skomplikowanym wypełnianiem wymagań środowiska, w którym się bierze udział. Ich wypełnianie staje się sprawą honoru.

Mniejsza o to, że młodziutki, ledwie rozpoczynający swą służbę oficerek naiwnie, po prostu nierozumnie pojął swoje obowiązki względem honoru służby i o mało nie popełnił szaleństwa. Ważne jest co innego: że takie obowiązki istnieją, że muszą być wykonywane, że wreszcie ważyć mogą więcej, niż samo życie, albo inaczej, że nawet śmierć w spełnianiu obowiązków może być wprzęgnięta w służbę życia.

To nie jest rzecz błaha. To jest rzecz o wielkiej głębi dostojeństwa. Następuje tu bowiem naprawdę zdumiewające zjawisko: przewyciężenie naturalnego dla wszystkich istot żyjących instynktu życia, świadoma z życia ofiara w celu stwierdzenia prawdy najwyższej głoszącej, iż śmierć nawet stać się może narzędziem w rękach zawsze i mimo wszystko triumfującego życia.

Kto tę prawdę zrozumiał, kto jest ją gotów każdej chwili czynem potwierdzić, ten godny jest naprawdę najwyższego szacunku i uznania, bowiem trudno jest pomyśleć dalej idące samoprzewyciężenie siebie na rzecz swej służby, swego obowiązku, swego honoru.

I dlatego nie śmieję się z mojego młodego podporucznika, choć wypadek cały tak szczęśliwie zakończony mógłby dać powód do uśmiechu. Wprost przeciwnie, przypominam go sobie z dużym wzruszeniem. Nie świadczył on może zbyt pochlebnie o dojrzałości życiowej tego młodego chłopca — ale najniewątpliwiej świadczył jak najpiękniej o rycerskim sercu, bijącym w jego piersi.

Są środowiska, w których poczucie honoru jest kulturowane, są i inne nierozbudzone pod tym względem. Dawniej szło to stanami. Jak wspominaliśmy, najwyższe poczucie godności stanu i służby rozbudował stan rycerski średniowiecza. Ale istniał także honor mieszczański, kupiecki i rzemieślniczy.

Inaczej pojęty, związany bardziej z pracą zawodową,

oparty był przede wszystkim o uczciwe i rzetelne traktowanie swoich obowiązków. Mniej fascynujący, mniej porównawczy, mniej romantyczny, bardziej przyziemny i konkretny, pozwalał jednak na rozbudzenie znacznego poczucia godności człowieka i jego całej grupy. Dziś, gdy duży nacisk kładziemy na rozbudowę polskiego handlu i rękodziela, warto by wrócić do tradycji zamierzchłych czasów i czerpać z nich bardzo niekiedy wzniosłe przykłady poczucia godności zawodu i środowiska, która w czasach obecnych tak często wiele pozostawia do życzenia.

W innych warunkach, bez porównania gorszych, znajdował się chłop polski. Z reguły da się stwierdzić, że jego poczucie honoru rozwijało się najpełniej tam, gdzie nie sięgała pańszczyzna. Jeszcze dziś ślady tego dadzą się obserwować w dawnych królewskich państwach. Gorzej było we wsiach pańszczyźnianych z łatwo zrozumiałych względów. Rozwój godności i honoru wymaga pewnego minimum wolności; — tam, gdzie jej nie ma, gdzie człowiek jest uważany za niewolnika, charaktery muszą się paczyć, samodzielność jest nieznacząca, czynnik strachu upadła, a poczucie godności osobistej zanika.

Ale są całe społeczeństwa, całe wielkie narody, wyraźnie z tego punktu widzenia upośledzone. Chcę mówić o narodzie rosyjskim. I tu warunki życia zbiorowego oraz ustrój państwowy tłumaczą, dlaczego przeciętna poziomu godności państwowej, narodowej i osobistej jest tam wyraźnie niewystarczająca. Winę tego ponosi przede wszystkim ustrój polityczny, datujący się od czasów niewoli tatarskiej do ostatnich czasów, i właściwie przez cały ten czas w zasadniczym swym zrębie niezmienny nawet przez rewolucję sowiecką. Jest to ustrój samowładczy najbardziej typowy. Nie tylko wola władcy o wszystkim stanowi i reguluje wszystkie stosunki życia; ponadto stosunek obywatela do swej władzy jest na wskroś niewol-

niczy z wszelkimi najgorszymi konsekwencjami tej postawy. A gdy się uwzględni, że w charakterze narodowym Rosjan jest wiele z Azji, narzuconego przez wpływy mongolskie, że w szczególności cechuje ją znaczne okrucieństwo i bezwzględność, oraz, że dochodzi do tego pewien specjalny typ mistycyzmu, głęboko różny od mistycyzmu zachodnio-europejskiego, polegający na „szukaniu Boga“ poprzez negację w życiu Jego zasad, aby tą drogą wywołać reakcję obrażonej Boskości i doświadczalnie stwierdzić Jej istnienie — (swego rodzaju zabieg magiczny à rébours, częsty u dzieci, z ust których słyszy się zdania w rodzaju takiego: jeżeli jest Bóg, niech padnie piorun i zabije mnie) — to takie nastawienie duszy w zetknięciu się z absolutyzmem jednostki niczym nie skrępowanym dało skutki przerażające.

Jest rzeczą charakterystyczną, że najpopularniejszymi, najbardziej w gruncie rzeczy kochanymi monarchami byli dwaj tyrani o rysach zupełnie patologicznych: Iwan Groźny i Piotr Wielki. Właśnie tego typu władcy, nie wahający się wyzywać Boga najbardziej potwornymi zbrodniami, torturujący swe otoczenie, swych urzędników, swój lud i całe swe państwo, a jednocześnie korzący się przed Bogiem w całonocnych modlitwach w głębokim zrozumieniu swej zbrodniczości — najbardziej odpowiadają dziwacznej, dla Europejczyka niezrozumiałej psychice Rosjanina. W tej psychice zbrodnia nie budzi wstrętu — raczej ujmowana jest jako rodzaj specyficznej wielkości i budzi pewnego rodzaju zabobonną cześć, lęk i poddanie się czynnikowi zła.

Rzecz jasna, że taki naród nie mógł rozbudzić w sobie godności ani życia osobistego, ani życia zbiorowego. Potwierdza to wyraźnie literatura rosyjska, która z nieprzeciętną ekspresją daje wyraz postawie zasadniczej duszy rosyjskiej, analizując ze specjalnym upodobaniem,

znawstwem i — trzeba to przyznać — z ogromną wnikliwością wszystkie stany ludzkiej podłości, zbrodni i uniżenia. Nie ma na całym świecie literatury o podobnym nasileniu w opisie tego wszystkiego, co jest ludzką nikczemnością. Tej wyjątkowości — jak również talentowi swych pisarzy — Rosja w znacznej mierze zawdzięcza swoje międzynarodowe stanowisko na polu beletrystyki. I na tle ostatecznych upadków duszy i zbrodni, wołających o pomstę do nieba, dochodzi się do mistycznych poszukiwań religijnego pierwiastka. Rosjanin musi Boga obrazić, aby go w duszy uczuć.

Potwierdza to również historia początków rewolucji bolszewickiej. Niewolnicza uległość społeczeństwa sprawiła, że tysiące oficerów rosyjskich pozwoliło się mordować lub topić bez żadnej niemal próby zorganizowania oporu, jakby zafascynowani, sparaliżowani w swej woli wobec potęgi, przeczuwanej w nowym, czerwonym caracie, który utrwał swą władzę odwiecznymi metodami trafiającymi niezawodnie do duszy rosyjskiej: terrorem i zbrodnią. Lud, który potrafił skruszyć kajdany jednej niewoli natychmiast wszedł w jarzmo następnej, surowszej i bardziej jeszcze bezwzględnej, niż poprzednia.

Tragiczne dzieje Rosji świadczą w całym swym przebiegu o tym, że naród ten do poczucia godności ludzkiej dotychczas nie dorósł i chociaż by tym jednym różni się zasadniczo od narodów zachodnio-europejskich. Stąd, między innymi, bierze źródło wrażenie, jakie ze znajomości z Rosjanami odnoszą cudzoziemcy.

Podkreślają oni niejednokrotnie, że dusza rosyjska jest bogata w najdalej idące niespodzianki, że pod powłoką cywilizowanego Europejczyka kryje się dziki barbarzyńca, pod pozorami wyrefinowanego gentlemiana pierwotny Azjata, dla którego nie istnieją żadne ogólnie obowiązujące normy. Satrapa wobec podwładnych, Rosjanin

staje się służalczym niewolnikiem wobec przełożonych, mając zresztą zawsze na podorędziu zdradę i chytrość, tak charakterystyczną dla ludzi Wschodu.

Oczywiście charakteryzując w ten sposób Rosję nie chcę bynajmniej twierdzić, że wszyscy Rosjanie są tacy. Nie brak i wśród nich ludzi, z którymi łatwo osiągnąć istotne porozumienie. Ale te wyjątki, pełne nieraz szlachetności i pięknego poczucia godności własnej, potwierdzają niestety regułę.

Jest rzeczą ciekawą, ale nie przypadkową, że do ostatnich czasów patriotyzm rosyjski był bardzo płytki i powierzchowny. Wśród lepszej inteligencji raczej doktrynalny internacjonalizm zyskiwał sobie uznanie. Dopiero wielka wojna rozbudziła żywsze uczucia narodowe, a dziś obserwujemy usilną propagandę w kierunku rozbudzenia specyficznego nacjonalizmu rosyjskiego. Wolno wątpić, czy te starania wydadzą poważniejsze skutki. I nic dziwnego, bowiem patriotyzm bez poczucia godności własnej istoty, bez szacunku dla własnego społeczeństwa, bez surowych kanonów honoru życia, bez poczucia odpowiedzialności, które jest nieodłączne od honoru, nie da się rozbudować w potężny, głęboki nurt przenikający cały naród, a będący jednym z najpiękniejszych i najbardziej twórczych uczuć ludzkich zarówno w ich indywidualnym przeżyciu, jak i w przepysznym niekiedy porywach zbiorowych, którymi się chlubi historia, a którym my, Polacy, zawdzięczamy nasze najpiękniejsze tradycje.

A jakże z punktu widzenia rozważanych tu zagadnień wygląda Polska? Co my o sobie możemy powiedzieć? Jak oceniamy nasz honor polski, jakie mu miejsce w życiu wyznaczamy?

Odpowiedź nie jest ani łatwa, ani prosta. Czy wiecie, jaki nam zarzut robią stale Rosjanie? Znam ten zarzut, bo słyszałem go z ust wielu moich znajomych i kolegów

Rosjan. Twierdzą oni, że jesteśmy zbyt dumni i to się im wyraźnie nie podoba. Twierdzą również, że brak nam bezpośredniości i że jesteśmy zbyt sztywni w naszych formach towarzyskich. Muszę powiedzieć, że zawsze, ile razy wygłaszano przy mnie lub do mnie te zarzuty, robiło mi to dużą przyjemność, potwierdzało bowiem, że jest w nas poczucie godności, które widać znajdowało tym silniejszy wyraz w obcowaniu z ludźmi, u których poczucie to znacznie mniejszą odgrywało rolę.

Wątpliwości nie ulega, że jako naród bijemy pod tym względem bezapelacyjnie Rosjan. Ale poza Rosjanami są inne narody europejskie. W porównaniu z niektórymi, a w szczególności z Anglikami napewno tracimy dużo. Od razu powiedzieć trzeba, że nie jest to nasza polska wina. Piekło niewoli jakieśmy przeszli, usprawiedliwia dużo naszych niedociągnięć. Dużo łatwiej jest zachować godność, gdy się jest silnym i niezależnym, niż gdy się jest słabym, niewolnym i poniżonym. Ale trzeba stwierdzić, że i w tym zakresie, jak w wielu innych, mamy dużo do odrobienia. Jakże często, obcując z ludźmi, pragnęłoby się, aby honor był rzeczą bardziej przez nich cenioną i stosowaną. Gdy przyglądamy się naszemu życiu publicznemu, widać na każdym kroku, jak dużo musimy się jeszcze uczyć, by przyzwoitość tego życia stała np. na poziomie angielskim.

Honor należy do tych imponderabiliów, o które musi się toczyć walka w imię wszystkiego, co jest w człowieku i społeczeństwie naprawdę wartościowe. Mamy żywo w pamięci jeden akt tej walki, zapewne najważniejszy i najbardziej płodny w następstwa: maj 1926 roku.

Jakże to mówi Wielki Marszałek?

„Całe życie walczyłem o znaczenie tego, co zowie imponderabilia, jak — honor, cnota, męstwo i w ogóle siły wewnętrzne człowieka...”

*Nie może być w państwie — gdy nie chce ono
iść ku zgubie — za dużo nieprawości“.*

Wszystkie obiektywne dane: historia, wielkość naszego Państwa, znaczna bardzo ludność, nasze na pewno nieprzeciętne uzdolnienia, nasza polska pracowitość — świadczą o tym, że naród polski może odegrać jedną z decydujących ról w dziejach świata. Roli tej nie wypełnimy, o ile nie uzyskamy tego opanowania, spokoju, wiary we własne siły i szacunku do samych siebie, które powstać mogą jedynie na gruncie rozbudzonego poczucia honoru.

ROZDZIAŁ VII

Matematyka wprowadziła do swoich rozważań wielkości, które, obok swej wartości liczebnej, mierzonej przez odpowiednie jednostki miary, posiadają jeszcze pewną cechę specjalną: kierunek. W matematyce wielkości takie nazywamy wektorami i posługujemy się nimi bardzo często zarówno w niektórych działach matematyki czystej (np. w geometrii analitycznej), jak również i przede wszystkim w fizyce, w której rachunek wektorów odgrywa bardzo doniosłą rolę, co nawet dla obeznanych jedynie z fizyką elementarną będzie zupełnie jasne, skoro uprzytomnimy sobie, że cały szereg wielkości, które fizyka wprowadza, jak prędkość, przyspieszenie, siła, żeby wspomnieć tylko o najprostszych, stanowi wielkości kierunkowe.

Z pewnego stanowiska i człowiek ma coś wspólnego z wektorem. Obok swej wartości ocenianej tak lub inaczej w zależności od kryteriów, które epoka, chwila bieżąca, sytuacja każdorazowo ustala, cechuje człowieka jeszcze kierunkowość, związana ściśle z elementem ludzkiej woli, wyznaczającej te lub inne cele do osiągnięcia. Czytelnik łatwo dostrzeże, że analogia między wolą a kierunkiem jest dość daleko idąca: zarówno jedna jak i drugi ku czemuś zmierzają: wola ku spełnieniu określonego zadania, kierunek ku określonej w stosunku do punktu orientacyjnego części przestrzeni.

Wszystkie, choćby najbardziej rozbieżne kierunki ludzkiej woli dążą jednak razem ku temu, co jeszcze nie jest, co dopiero będzie. Wektor ludzkiego życia leży na linii czasu. Każdorazowo zaczyna się w teraźniejszości, w chwili obecnej, i zmierza w kierunku przyszłości.

Spróbujcie sobie wyobrazić wszystkich obecnie żyjących ludzi, jako tyleż odcinków zaopatrzonych w strzałki kierunkowe, wskazujące dążenia ich woli. Będzie to niesłychany, nieprawdopodobny chaos wszystkich możliwych wysiłków, zamiarów, zamysłów, projektów, będzie to niezmiernie bogactwo wszelkich możliwych i niemożliwych celów, które wszyscy razem i każdy z osobna pragną wypełnić lub wypełniają. Ale w tej płątanie strzałek, o nieograniczonej skali rozbieżności, często sprzecznych sobie, często wymijających się we wszelkich możliwych płaszczyznach, jest przecież coś wspólnego: wszystkie bowiem razem uczestniczą w jednym wspólnym pędzie, poruszającym się wciąż i bez ustanku, wszystkie płyną we wspólnym potoku czasu i z nim razem zmierzają od wciąż odchodzącego w przeszłość przekroju obecności do wciąż narastającej przyszłości.

Ślad przebytej drogi rozwiewa się i jakoby przestaje istnieć. Gdy wola i praca dążą w przyszłość, rzeczy dokonane odchodzą w przeszłość i już w stawaniu się nie uczestniczą. Prąd przepłynął, wszelki moment ruchu zanikł i zostały jedynie dokonane dzieła, jakby kamienie, przez żywy nurt rzeki pozostawione na polach, po których przewalała się niegdyś fala.

Człowiek jest całą swą istotą skierowany w przyszłość. A przyszłość oznacza *n o w e*, to co się jeszcze nie stało, a co z natury swej zaprzeczyć musi wszystkiemu staremu, gdyż inaczej nie będąc od starego inne, nie mogłoby być przyszłością. Dążymy wszyscy do czegoś innego niż to, co jest obecnie. Ta inność jest zadaniem naszej woli, porывa nas ona i nęci, to ona zmusza nas do wysiłków, ciężkiej często pracy, ciężkich niekiedy ofiar. Spowita w aureolę nowości, przybierając kształty marzenia, stanowiąc przedmiot naszej tęsknoty, inność przyszłej rzeczywistości zachwyca nas i w głąb swoją wciąga, wraz z upły-

wem czasu oddalając od chwili obecnej wypalającej się i gasnącej.

Rozwiewający się ślad przebytej drogi jest historia, a szczytowe osiągnięcia i dokonania stanowią podstawy tradycji.

Zanim powrócimy do tych w obrazowy sposób naszkicowanych pojęć i spróbujemy zdać sobie sprawę z różnicy bardzo istotnej, jaka między nimi zachodzi, podkreślimy tym wyraźniej, jak zasadniczą rzeczą w życiu wszelkim w ogóle, w życiu ludzkim w szczególności jest nastawienie wszystkiego ku przyszłości, podporządkowując całe bogactwo tego, co już jest, temu, czego jeszcze nie ma. Wystarczy zastanowić się chwilkę nad własnymi przeżyciami, aby spostrzec, jak rzadko i jak krótko cieszymy się lub martwimy teraźniejszością, jak ustawicznie wybiegamy od niej naprzód, ku nadchodzącemu jutru, jak od naszej przeszłości ciągle odwracamy się plecami, jakbyśmy jej mieli dosyć, jakbyśmy się do niej ustosunkowali wrogo, jak natomiast całym natężeniem, całym wysiłkiem ustawicznie usiłujemy teraźniejszość wyprzedzić, wysunąć się w stosunku do niej bodaj trochę, być w tym z nią wyścigu bodaj o głowę naprzód, jakby bliżej do mety, która się gdzieś przed nami w niepewnej mgłę tego, co się dopiero ma stać lub stać się może, ledwie widzialnym zarysowuje konturem.

Całe życie jest ściganiem się z chwilą obecną, jakby sens życia polegał na tym, aby ją prześcignąć. Próżne usiłowanie — czasu swojego nikt jeszcze nie przegonił i nie przegoni na pewno. I chociaż wiemy o tym aż nadto dobrze, choć na płaszczyźnie życia doczesnego przy naszej mecie, która jednako kończy drogę każdej żyjącej istocie, czas będzie nieuniknionym zwyczajną wyścigu, siła atrakcyjna przyszłości jest tak potężna, że wbrew oczywistości, wbrew nadziei nie tylko nie szczędzimy sił w biegu, ale

dobrywamy ich z radością, widząc, że przecież jeśli nie czasem, to naszą wolą, zbudowaną na tęsknocie i wierze w powodzenie, czas prześcigniemy, a trwanie naszego dzieła wymierzy wielkość odniesionego nad czasem zwycięstwa.

Jeśli jest to słuszne dla każdego niemal zdrowego fizycznie i duchowo człowieka, to o ileż jest słuszniejsze dla młodości, której przeszłość jest krótka i wydaje się znikomością wobec bogactwa tego, co przyszłość młodości przynieść może. Świat Wielkiej Przygody stoi przed młodością jeszcze otworem — i jest rzeczą słuszną i naturalną, że droga, w świat ten wiodąca, zachęca i zaprasza, pociąga i nęci.

Ale jest coś, co zmusza od czasu do czasu do przystania w pogoni za wciąż uciekającym czasem i do obejrzenia się wstecz, by spojrzeć na to, co się już stało.

Podobno ludzie starzy robią to często; — podobno — jak mówią niektórzy — w chwili zgonu całe minione życie rozwija się w mgnieniu oka przed umierającym, jak film na ekranie.

I wówczas, gdy uda się nam zatrzymać niejako pęd czasu i spojrzeć na to, co się stało w przeszłości, można zrobić coś w rodzaju rachunku sumienia, którym jest zawsze zestawienie swego postępowania z osiągniętymi rezultatami. Taki rachunek sumienia musi być od czasu do czasu robiony przez każdego, kto pragnie być uczciwym i rzetelnym w stosunku do siebie i do innych, ale i zbiorowość musi mieć swoje rachunki sumienia, jeśli przyszłość ma się rozbudowywać z udziałem ludzkiej świadomości, a decyzje ludzkiej zbiorowej woli mają być planowane i przemyślane.

Oglądając się wstecz ku przebytym już drogom, napotyamy nie co innego, jak właśnie historię i tradycję.

Gdy szukam rozwijającego się w czasie ciągu wydarzeń, przebiegu procesów, narastania lub rozkładu wartości gospodarczych, kulturalnych, politycznych — znajduję się w wielkiej dziedzinie historii. Określiliśmy ją obrazowo jako wciąż rozwiewający się ślad drogi, którą ludzkość przebyła. Zadaniem historyka jest z pozostałych pamiątek tego, co niegdyś było żywe i twórcze odtworzyć przeszłość w zrozumiałych powszechnie terminach. Obiektem pracy badacza dziejów są dokumenty, pozostałe po pokoleniach minionych a więc wszelkie zabytki piśmiennicze, jak akty życia publicznego, korespondencja, pamiętniki, pisma, wydawnictwa, książki etc., budowle, dzieła sztuki, prace terenowe; — narzędziem tej pracy są surowe metody badania naukowego, ustalone przez dorobek nauki.

Na tych podstawach oparty opis dziejów pozwala nawiązać kontakt między chwilą obecną a wydarzeniami przeszłości, zrozumieć nie tylko logikę tego co było, ale również znaleźć punkty oparcia dla tych procesów, które w teraźniejszości widzimy, związać prace żyjącego współcześnie pokolenia z pracami pokoleń minionych i tą drogą otworzyć szersze horyzonty na całość spraw ludzkich oraz rzucić pewien snop światła na przyszłość, która w swym ustawicznym narastaniu przecież z przeszłości czerpie swe soki żywotne, stanowiąc w pewnym znaczeniu tego słowa testament przeszłości. Bowiem zagadnienia chwili obecnej, których rozwiązanie jest zadaniem przyszłości, zawsze mają swe korzenie w dziejach ubiegłych, tam dojrzewały, tam niejednokrotnie były formułowane. Bez znajomości historii chwila obecna a wraz z nią cała przyszłość zawisłyby niejako w próżni, przestałyby się tłumaczyć, byłyby posuwaniem się niewiadomo skąd i dokąd.

Skoro uprzytomnimy sobie, że w każdym z nas istnieje silna tendencja poszukiwania sensu życia, zrozumiemy

łatwo, że bez historii próby zrozumienia a w ślad za tym i zorganizowania życia ludzkości byłyby w ogóle niemożliwe. Toteż wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia ze społeczeństwem, rozbudowującym swoje życie kulturalne, widzimy znaczne wysiłki celem ugruntowania wiedzy historycznej i już w bardzo odległej przeszłości historia u cywilizowanych ludów odgrywała znaczną rolę, co wyrażało się przede wszystkim przez jej wprowadzenie w szkolnictwie jako jednego z zasadniczych przedmiotów nauczania.

Zupełnie czymś od historii odmiennym jest tradycja. Powiedzieliśmy, że szczytowe osiągnięcia i dokonania przeszłości stanowią podstawy tradycji. Jakże to wygląda w świetle tego znaczenia, jakie tradycja posiada zarówno dla najbardziej pierwotnych ludów, jak i dla najbardziej wyrefinowanej cywilizacji?

W przebiegu czasów ludzkość stawia sobie coraz to nowe zagadnienia, które domagają się rozwiązań i dzięki pracy, inwencji, długiemu i mozolnemu poszukiwaniu rozwiązania takie uzyskują. Niektóre z nich mają znaczenie na krótką obliczone metę, gdyż albo zagadnienie staje się z upływem lat nieaktualne, albo też rozwiązanie jest niedoskonałe i zastąpione bywa przez inne, lepsze, łatwiejsze lub praktyczniejsze. Inne rozwiązane być mogą w sposób tak całkowicie odpowiadający potrzebom, że stają się trwałym dorobkiem, ustaloną zdobyczą życia. Przestają być tematem do rozmyślań i rozważań, stają się niezbędnym składnikiem życia i jako takie praktykowane są na codzień w sposób powszechny i ogólnie obowiązujący. Każde pokolenie przekazuje je w skończonej formie pokoleniom następnym, a z czasem wytwarza się koło nich coś w rodzaju rytuału o charakterze niemal magicznym, niekiedy słabiej, niekiedy silniej uwidocznionym.

Wówczas drobne choćby uchybienie przeciw rytuałowi odczuwane jest jako rzecz wysoce niewłaściwa, narusza bowiem szereg czynności, których wierne reprodukowanie weszło w zakres obyczaju i jako dobry obyczaj jest cenione.

To wszystko, co będąc dorobkiem społecznym życia zbiorowego, przybrało formy obowiązującego, przekazywanego z pokolenia w pokolenie i opatrzonego w formy określonego rytuału szeregu czynności, będziemy nazywali w ciśniejszym słowa tego znaczeniu *t r a d y c j ą*.

Etymologia tego wyrazu jest jasna; pochodzi ona od łacińskiego „tradere” — przekazywać, uwzględnia więc jedną z cech zasadniczych podanego wyżej określenia i oznacza dosłownie „to, co jest przekazane”.

Rozpatrzmy kilka przykładów celem skonkretyzowania tych rozważań ogólnych. Formy życia towarzyskiego zawierają niezmiernie wiele konwenansów, a tzw. „savoir vivre” jest rzeczą bardzo skomplikowaną, której człowiek pochodzący z kulturalnego środowiska uczy się długo i od dziecka. Formy przywitania, ukłonu, zapoznania się, rozmowy, zaproszenia, wizyty, cały ceremoniał biletów wizytowych, gratulacji, kondolencji z powodu smutnych wydarzeń w rodzinie, pogrzebów i żałoby, uroczystości imieninowych, ślubnych, jubileuszowych, sprawy mody, estetyki jedzenia, toastów, zabaw, gier — to wszystko jest ściśle ustalone, ujęte w dokładnie przestrzegane formy, których naruszenie głęboko razi nabyte przyzwyczajenia nawet wśród bardzo kulturalnych narodów, powodując niekiedy bardzo ostre reakcje i to często tym silniejsze z im starszą, wyżej stojącą kulturą mamy do czynienia. Kulturalny Anglik zwraca niezmiernie baczna uwagę, w jakich okazjach ma włożyć frak lub smoking, gdzie i kiedy zjawić się w cylindrze, meloniku lub miękkim kapeluszu, kiedy, kogo i w jakich godzinach ma rewizy-

tować — jednym słowem skrępowany jest mnóstwem bardzo ścisłych przepisów, których przekroczenie stwierdza brak ze strony winowajcy znajomości elementarnych form współżycia, bez czego poprawne stosunki między ludźmi są niemożliwe do utrzymania.

Powie ktoś może, że wszystko to są rzeczy błahe wobec naprawdę doniosłych kwestyj życia. Zapewne; sprawy ubrania czy przywitania, uroczystości lub zabawy — to są drobiazgi. Ale z drugiej strony ogólne zagadnienie form życia nie jest drobiazgiem, stanowi bowiem jeden ze sposobów porozumiewania się ludzi między sobą. Gest — a formy współżycia są gestami obcowania społecznego — posiada niekiedy nie mniejsze od mowy znaczenie i często jest koniecznym uzupełnieniem słowa.

Formy życia występują w każdej kulturze; nawet najniższe nie są ich pozbawione. Ludy najbardziej pierwotne posiadają rytuał obrzędowy o bardzo skomplikowanej formie i przywiązują do niego zasadnicze znaczenie podnosząc go bardzo często do godności obrzędów sakralnych. Etnografia ludów egzotycznych daje nam tego mnóstwo niezmiernie ciekawych przykładów.

Cały ten konwenans form towarzyskich przekazywany jest w drodze wychowawczej młodzieży przez starszych i zazwyczaj bardzo skrupulatnie egzekwowany, przy czym z reguły przywiązuje się nie mniejszą wagę do form ludzkiego obcowania, niż do treści myślowej, ideowej i wiedzy przedmiotowej, udzielanej młodzieży. I trudno nie uznać słuszności takiego postępowania, skoro się uwzględni, jak doniosłą rolę odgrywa we współżyciu ludzkim obyczaj, o ile jest on obyczajem dobrym, to znaczy regulującym w sposób celowy i wyraźny ludzkie stosunki.

Z tymi rzeczami łączy się blisko ceremoniał obrzędowy, aczkolwiek między obrzędowością a konwenansem codziennego życia zachodzą poważne różnice. Obrzędowość

dotyczy spraw poważniejszych niż formy obcowania ludzkiego, jest bowiem związana z jednej strony z wielkimi problematami istnienia człowieka na ziemi, z drugiej zaś wiąże się jak najściślej z systemami wierzeń społeczeństw, a więc głęboką treścią ich kultur.

Wspomniemy tu o paru typach obrzędów, jak obrzędy związane z podstawowymi kulturami ludzkimi (pasterstwo, rolnictwo), dalej obrzędy poświęcone poszczególnym etapom życia człowieka w związku z jego udziałem w życiu społecznym (narodziny, inicjacja dojrzałości, zaręczyny, zaślubiny, obrzędy pogrzebowe) i wreszcie obrzędy religijne.

Trzeba zresztą uwzględnić, że podział ten jest czysto konwencjonalny, bowiem w istocie typy obrzędów przenikają się wzajemnie, w szczególności zaś moment religijny uwidacznia się niemal we wszystkich.

Trzeci przykład tradycji jaki tu przytoczymy, stanowić będzie tradycja życia politycznego. Tu wchodzi w grę sprawa bez wątpienia bardzo poważna, dotyczą bowiem organizacji życia zbiorowego a przez to są wyrazem rodzaju więzi zasadniczej łączącej ludzi danego czasu i miejsca. Rzeczy te wyglądają zgoła inaczej w społeczeństwie, rządzonym autokratycznie niż w społeczeństwach konserwatywnych, jeszcze inaczej w demokratycznych. Każdy naród, każda epoka wypracowują sobie odrębne formy życia politycznego i w ślad za tym inne tworzą tradycje polityczne.

Rozbieżności w tym zakresie sięgają niezmiernie głęboko. Weźmy, celem uwidocznienia jaskrawości tych różnic język polityczny, jakim mówi np. mąż stanu angielski z jednej strony, z drugiej działacz bolszewicki Rosji Sowieckiej. Gdy angielski minister, mówiąc o swym przeciwniku politycznym nazwie go wielce szanownym gentlemanem, a nawet będzie myślał o ustawowym wyzna-

czeniu ze skarbu państwa stałej pensji przywódcy „opozycji Jego Królewskiej Mości“, rosyjski polityk, znajdujący się dziś u władzy, nazwie opozycjonistę politycznego „parszywym gadem“, „wściekłym psem“, „kanalią“, a skoro go dostanie w swe ręce, każe go natychmiast rozstrzelać. Z tak krańcowo różnych stanowisk powstają oczywiście krańcowo różne tradycje życia politycznego i zgoła odmienne przybierają formy. Ale w danym społeczeństwie formy te są na ogół dość stałe, zmieniają się powoli i z trudem i trzeba dopiero nadzwyczajnych wydarzeń, jakimi są np. rewolucje, aby zmieniona treść życia politycznego pociągnęła za sobą zmianę form istniejących. Więcej nawet. Zdarzać się może, że warunki życia uległy bardzo radykalnym zmianom, formy zaś dawne ostają się nienaruszone, choć treść ich w bardzo istotny sposób różni się od dawniejszej. Klasycznym przykładem takiego zjawiska jest parlamentaryzm angielski z jego tak bardzo niewspółczesnym a tak ściśle przestrzeganyym cêremoniąlem.

Wszelki niemal obyczaj poddaje się zasięgowi sztuki współdziałającej w bardzo znacznym stopniu w ustaleniu form obyczaju. Widoczne to jest wszędzie. Obyczaj współżycia towarzyskiego związany jest ze strojem, modą, urządzeniem wnętrza mieszkania, estetyką wyrażania się i jedzenia, a za tym wszystkim kryje się bardzo wiele przymysłów artystycznych (krawiectwo, meblarstwo, tkactwo, ceramika, ogrodnictwo, snycerstwo, a dalej rzeźba, malarstwo, architektura itd.). Sztuka, nadając obyczajowi charakter zwartych, skończonych form artystycznych, wpływa na obyczaj konserwująco, przywiązując ludzi do obyczaju dzięki elementowi piękna w nim zawartego. To samo jest widoczne w obyczaju obrzędowym, któremu często towarzyszy pieśń i muzyka, tańce, wreszcie teatralizacja obrzędowości (wesela ludowe, obrzędy rolnicze i religijne).

Nawet w tradycji politycznej tu i owdzie zachowały się pierwiastki artystyczne (stroje dworskie, mundury dyplomatów, protokoł przyjęć posłów i ambasadorów etc.).

Jakaż więc rolę tradycja obyczaju odgrywa w życiu zbiorowości? Daje cały szereg form konwencjonalnych za pomocą których ludzie są w stanie bliżej się z sobą porozumieć, znaków, symbolizujących rodzaj społecznego współżycia poszczególnych środowisk, zawodów, kultur, narodów, państw. Wiąże grupy ludzkie w zwarte, wyróżniające się od innych środowiska, żyjące życiem własnym; nadaje im piętno swoistej indywidualności, jak to już wspomnieliśmy wyżej, uzupełnia porozumiewanie się przez mowę. Wnosi w ten sposób w kulturę danego środowiska pierwiastek o zasadniczej doniosłości, bowiem wspólny obyczaj jest niejako lepiszczem wiążącym w jedną całość grupę ludzką.

Mówiliśmy dotychczas o tradycji w ciaśniejszym słowa tego znaczeniu. Ale znaczenie tego słowa można rozszerzyć na jeszcze poważniejsze zagadnienia niż te, które poruszaliśmy uprzednio.

Są niezwykle chwile dziejowe i zdarzają się od czasu do czasu niezwykle postaci historyczne. Epoki burzliwe, pełne dramatycznego naprężenia, epoki zmagania się i walk, burzenia starych i dochodzenia do głosu nowych wartości w zakresie organizacji życia państwowego lub społecznego, głębokie wstrząsy religijne — a z drugiej jednostki wybitnie twórcze, stawiające ludzkości nowe zagadnienia lub nowe zagadnienia rozwiązujące, wielcy wodzowie i zdobywcy, wielcy mężowie stanu, artyści, uczeni, twórcy nowych religii.

Każda taka epoka i każdy taki człowiek pozostawiają w świadomości potomnych trwałe wyniki, dając początek nowej tradycji, związanej już nie z formami życia, ale z pewnymi ideami i uczuciami, które zyskują powszechne

uznanie i zaczynają obowiązywać wszystkich przynależnych do danej ludzkiej grupy. Tradycja myśli, idei, wysiłku, niezależnie od tego, czy pochodzi od prądu dziejowego, tworzonego i przeżywanego wspólnie przez wielkie masy ludzkości (wstrząsy religijne lub polityczne), czy też zawdzięcza swe istnienie pracy niewielkiej ilości bardzo wybitnych ludzi (uczeni, artyści, wodzowie, święci) wytacza na długie nieraz lata, jeśli nie na stulecia, kierunek prac i twórczości całych narodów, a niekiedy całej cywilizowanej ludzkości. Ciąży ona nad następującymi po sobie pokoleniami, obejmuje je w swe władanie nieustannie żywa, wymagająca, podciągająca życie na wyższy poziom, niekiedy do wzorów zamierzchłej przeszłości. Czasem spopielała już, niemal martwa, zmartwychwstaje ukazując dawne, zapomniane światy potęgi i wielkości. Tą drogą powstają *odrodzenia*, z których jednym był renesans, acz nie jedynym, gdyż w zakresie tradycji politycznych odrodzenia idei państwowych są w dziejach rzeczą znaną.

Ta tradycja, którą nazwać możemy tradycją czynu, zabiega się bardzo wyraźnie o historię, czyniąc z niej, surowej, na bezstronności i chłodzie naukowej metody opartej dyscypliny, poważne bardzo narzędzie wychowawcze zarówno dla młodzieży jak i starszego społeczeństwa. Przez nią bowiem przemawiają do nas postaci i epoki historyczne, przemawiają niekiedy prawie równie żywo, prawie równie bezpośrednio, jak przed laty, gdy opowieść dziejowa o wielkości była jeszcze rzeczywistością.

Zwróćcie uwagę na niesłychaną rolę, jaką tradycja Kościuszki odegrała w Polsce w stosunku do emancypacji społecznej i kulturalnej ludności wiejskiej, ocenie wpływ tradycji legionów Dąbrowskiego i epopei napoleońskiej na walki zbrojne o odzyskanie niepodległości, mikiewiczowskiej tradycji filareckiej na ruch młodzieży.

Dzieje przepełnione są sprawami, w których następstwie wywodzą się najwspanialsze tradycje, żywe wciąż i wciąż aktualne, do dziś dnia wywierające swój wpływ na teraźniejszość. Znajdziemy je w historii starożytnych Greków i Rzymian, w pierwszych stuleciach chrześcijaństwa, w średniowiecznym ideale rycerskim, o czym była mowa w rozdziale o honorze, w wielkich porywach patriotyzmu, rozsianych na przestrzeni wszystkich wieków i wśród wszystkich narodów z imionami bohaterów narodowych na czele, w surowej żarliwości naukowej, której męczennicy życiem nieraz musieli ugruntowywać postulat niezależności badawczej myśli ludzkiej, w aureoli świętości, wyznaczającej drogi ludzkiej cnoty — jednym słowem we wszystkim, co jest ponad przeciętnym wzniesieniem ducha ku rzeczom wielkim i do osiągnięcia trudnym.

Te tradycje wyznaczają drogi wartościom ideowym. Nie w tym znaczeniu, aby wszyscy je praktykowali, jak starają się praktykować formy tradycji obyczajowej, bowiem służenie wartościom idealnym nie jest rzeczą łatwą i nie każdego stać na taką służbę; — ale nawet ci, którzy służby tej w życiu wypełnić nie umieją, łamiąc się pod surowymi wymaganiami cnoty, wiedzą przecież, jak żyć należy i uznają słuszność wysokich żądań, które tradycja nam pozostawiła, jako wskazania postępowania obywatelskiego i moralnego.

Podstawą takiej tradycji jest zawsze dramatyczny spłot wydarzeń dziejowych, który wystawia ludzką wolę, siłę charakteru, poczucie prawdy, głębokie uczucia i przywiązania na bardzo ciężkie próby. W próbach takich słabi uginają się lub załamują; wszelka małość kurczowo chwyta się usprawiedliwień i tłumaczeń; duch niewiary i zwątpienia szepcze do ucha zdradliwe słowa rezygnacji. W próbach takich giną jednostki, choćby skądinąd nieprzecięt-

nie utalentowane, tracą swój byt narody, upadają cywilizacje. Kto natomiast próbę przetrzyma zwycięsko, przyjmie rozprawę z siłami wrogimi i do końca, do ostatniego tchu będzie walczył — czy to będzie jednostka, czy naród cały — ten postępowaniem swoim stwarza niejako fakt dokonany w dziedzinie ludzkich wartości, fakt, który przechodząc do potomności, staje się żywym akumulatorem ładującym wokół siebie coraz to nowe siły duchowe. Każdy łatwo oceni, jak dużo w naszej współczesnej cywilizacji znaczą takie szczytowe dokonania i wypełnienia dziejowe, z których biorą źródło wszelkie tradycje wielkości.

W ten sposób tworzy się nieprzebrana skarbnica obyczaju wyższego rzędu niż poprzednio opisywany, obyczaju moralnego, uznawanego przez każdego uczciwego obywatela, każdego członka społeczeństwa. Ten obyczaj moralny tworzy jeszcze jeden bardzo istotny węzeł łączący jednostkę ze zbiorowością poprzez tradycję przeszłości.

Mówiliśmy o tradycji dobrej. Ale to nie wyczerpuje zagadnienia. Istnieją również tradycje złe, zgubne, powstające zawsze wówczas, gdy zbyt słabe, źle zdyscyplinowane, źle zorganizowane społeczeństwo nie potrafi przeciwstawić się skutecznie złej woli lub nadużyciom prawa ze strony grupy lub jednostki.

Złą tradycją w Polsce niepodległej było zrywanie sejmów w myśl zasady liberum veto, przewyciężone dopiero przez konstytucję majową; zła tradycja mogła być powstać dzięki rządowi sejmowemu w okresie 1919—1926 r., gdyby Marszałek Piłsudski nie unicestwił jej swoim wystąpieniem z maja 1926 r., zła tradycja gotowa się wytworzyć na przyszłość przez niemal bezkarne szarpanie czci ludzkiej w prasie, o ile na oszczerców i kłamców nie zostanie nałożony surowy kaganiec prawa.

Złych tradycji mamy w Polsce bardzo wiele. Tłuma-

czy się nimi niski na ogół poziom uczciwości, rzetelności i odpowiedzialności prasy, zbyt słabo jeszcze rozbudowane poczucie honoru, daleko idącą bierność, nie dość jeszcze bezinteresowny stosunek do państwa i na pewno będzie musiało jeszcze upłynąć dużo czasu, aby złe tradycje zatracić a dobre ugruntować w opinii publicznej i zyskać dla nich moc obowiązującą. Nie jest to praca łatwa. Tradycje czynu równie trudno ulegają zmianom, jak tradycje obyczaju i często rzeczywistość ulega daleko idącym zmianom, a coś ze starych tradycji — dobrych lub złych — utrzymuje się w psychice społeczeństwa.

Przykład dość ciekawy niech rzecz tą zilustruje. W życiu politycznym Francji kolejne w XVIII i XIX wieku rewolucje pozostawiły tradycje bardzo silne, w szczególności hasła i programy radykalno-lewicowe zyskały sobie począwszy od owych czasów dużą popularność. Wytworzyła się pewna niechęć do ugrupowań prawicowych i przeciętny Francuz nie lubi być posądzony o sympatie konserwatywne, choćby był jak najdalszy od wszelkich rewolucyjnych poczynąń. W rezultacie do ostatnich czasów znaczna większość parlamentu miała raczej charakter centrowo-prawicowy, podczas gdy nazwy ugrupowań politycznych, składających się na tę większość uwidaczały w swoich tytułach bardzo radykalny charakter. Ktoś, kto nie zna stosunków francuskich, nie mógłby się domyślić, że partia radykałów z żadnym radykalizmem nie ma nic wspólnego, stanowiąc wyraźną prawicę, zaś partia radykałów socjalistycznych nie jest niczym innym, jak klasycznym centrum politycznym, zawierającym sojusze polityczne raz z prawą, kiedy indziej z lewą stroną Izby.

Streśćmy w paru słowach te rozważania.

Życie jest posuwaniem się naprzód w czasie. Cała nasza uwaga, cała nasza wola nastawiona jest na przyszłość. To, co było, z natury rzeczy dużo mniej nas interesuje.

A jednak nie podobna utrzymać wysokiego poziomu kultury swego środowiska i trudno rozumnie zorganizować życie bez oparcia się o to, co jest rezultatem pracy przeszłości, pracy minionych pokoleń. Stąd patrzenie w przyszłość nie wystarcza.

Należy patrzeć również i w przeszłość, z niej bowiem poczyną się to wszystko, co ma się stać w przyszłości.

W przeszłości widzimy historię i tradycję. Pierwsza zaznajamia nas z przebiegiem wydarzeń i z rolą osób w tych zdarzeniach uczestniczących. W niej szukamy wytłumaczenia tego, czym świat ludzki jest obecnie w swoich zasadniczych zagadnieniach, które pojąć, a często i celowo rozwiązać można jedynie na gruncie znajomości ich pochodzenia z odległych niekiedy czasów.

Druga przekazuje nam zarówno formy codziennego współżycia społecznego w postaci obyczaju jak też te szczytowe osiągnięcia, które nazywamy tradycją czynu. One to właśnie przynoszą nam wielkie wzory wychowawcze, z nich się rodzą najwyższe wartości życia zbiorowego.

Słyszysz się często z ust wielu, że tradycjom należy się przeciwstawiać, jako czynnikom, zatrzymującym życie w jego pochodzie do przyszłości. Kto tak twierdzi, wykazuje zupełną dezorientację w rzeczywistości, w której żyje.

Życie bez tradycji możliwe jest tylko tam, gdzie nie ma żadnej kultury. Na kulturę ludzką składają się właśnie tradycje. Znajdą się wśród nich złe i dobre — zwalczać należy tylko te pierwsze. Dobre zastępować należy przez lepsze, a ich wypracowanie nie jest pracą łatwą i wymaga obecności genialnej jednostki, albo wielkiej zespołowej pracy, a w każdym razie długiego czasu.

Każdy, kto usiłuje niszczyć tradycje, nie umiając im lepszych przeciwstawić, jest burzycielem a nie twórcą

kultury, choćby w pracę burzenia wkładał swoją najlepszą wolę.

Dziejów swoich ludzkość nie może się wyrzec, nie powinna się ich wstydzić. Dzięki nim doszła do tego, czym jest obecnie. Jest w nich zakłęta praca niezmierzonej ilości pokoleń, są wspaniałe czyny i wielkie osiągnięcia. Słuszną jest rzeczą poznać je, szanować i pielęgnować na leżycie.

Nic nie jest wieczne na tym świecie. Nie są wieczne i tradycje. I one odchodzą w mroki niepamięci: albo tworzą się tradycje wyższe, piękniejsze, lepsze — albo też upadająca kultura pożera swoje własne tradycje. Tak się zawsze kończyły zanikające cywilizacje ludów.

W dziejach polskich odnajdziemy tradycje potężne i piękne; kto ich nie zna, nie kultywuje, nie kocha — nie jest wart być synem narodu, który nam te tradycje przekazał.

ROZDZIAŁ VIII

Wszyscy coś budujemy. Od małych dzieci, budujących pałace z klocków lub fantastyczne twierdze z piasku, do ludzi dorosłych i starych, składających w trudzie rąk i pocie czoła przedmioty i myśli w zwarte i skończone całości — wszyscy jesteśmy budowniczymi, coś zamierzamy, planujemy i konstruujemy. Udaje się to nam lepiej lub gorzej. Niekiedy podmuch wiatru burzy zamki z piasku, niekiedy gmach trwa czas dłuższy, a nieraz zdarza się, że dzieło rąk naszych lub naszych myśli trwa długo, znacznie dłużej, niż my sami, że dorobek człowieka pozostaje jako trwałe pomniki pokoleń, narodu, ludzkości.

Architektura egipska i grecka przetrwała tysiąclecia, rzeźba starożytna zachwyca nas dziś jeszcze, artyści słowa z prastarych czasów czarują nas wciąż wielką poezją, wielcy filozofowie starożytni przemawiają do nas równie przekonująco o prawdach i problematach odwiecznych, ludzie nauki przekazują przyszłym pokoleniom swoje zdobycze, które są zdobyczami całej ludzkości, a wielcy mężowie stanu i wodzowie pracami swymi budują dzieje, nadające ludziom kierunek ich dróg i rozwoju.

Wszyscy coś budujemy, wszyscy coś tworzymy. W tej naszej pracy budowania nigdy nie zaczynamy od początku. Opieramy się na tym, co zbudowały pokolenia poprzednie, a rezultat naszej pracy przekazujemy pokoleniom następnym, które dziedziczą po nas.

Nie jest prawdziwe przysłowie, głoszące, iż „każdy sobie rzepkę skrobie“. Rzeczy dobre lub złe, które robimy, służą lub szkodzą nie tylko nam, ale i naszym bliźnim, i to zarówno tym, co dziś współcześnie żyją, jak i tym,

którzy narodzą się jutro dopiero. A więc w naszej pracy budowania ponosimy odpowiedzialność za to, co i jak budujemy. Dzieło, spełnione przez nas, może być pożyteczne i dla innych; związani jesteśmy węzłami ustawicznej pracy z naszymi przodkami, ale również i z naszym potomstwem. Wszyscy razem, ludzie dziś żyjący, stanowimy jedno ogniwo w łańcuchu pokoleń ludzkości.

To właśnie, co budujemy odwieczną pracą nieskończenie długich pokoleń, jest kulturą ludzkości. Jest ona dziełem naszej ustawicznej, wytężonej pracy. Gdy jej wysiłek upada, gdy twarda wola, wytrwałość i dyscyplina kruszeje, kultura danego narodu lub danej epoki zaczyna się obniżać, słabnąć i zamierać.

Znamy w historii takie upadki kultury. Upadły wielkie cywilizacje świata starożytnego, zostawiając nam za ledwie szczątki swej wielkości; upadły wtedy, gdy załamała się twórcza wola, rozprzęgły się więzadła społeczne, zgnuśniały charaktery. Śmierć kultury narodu jest najstraszliwszą katastrofą, jaką można sobie wyobrazić. Gorszą i tragiczniejszą, niż śmierć jednostki ludzkiej, która najczęściej drobną tylko lukę pozostawia po sobie. Gdy umrze człowiek przychodzą inni pełnić jego pracę. Gdy umrze cywilizacja, luka jest trudniejsza do wypełnienia, albowiem po zgonie cywilizacji przychodzi zdziczenie, barbarzyństwo, martwota ducha. I dlatego kultura jest najdrogocenniejszą z rzeczy, jaką ludzkość posiada.

Wielka wojna głęboko wstrząsnęła całą ludzkością. Wstrząsnęła nią tak silnie, że wielu myślicieli, uczonych i publicystów zaczęło się poważnie zastanawiać nad tym, czy aby nasza kultura nie stoi w przededniu ruiny. Pisano w tej sprawie książki, publikowano rozprawy i artykuły. Temat jest z wszelką pewnością poważny i niezwykle bolesny.

Kto chce zdać sobie sprawę, czym dziś żyjemy jako

społeczeństwo cywilizowane, niech rzuci okiem na to, co się wśród nas dzieje. Zobaczy nędzę milionów bezrobotnych, często nie mających jakiego takiego dachu nad głową, głodnych i obszarpanych, zobaczy wiszące nieustannie nad światem widmo wojny jeszcze straszniejszej, jeszcze bardziej barbarzyńskiej, niż wojna ostatnia, ukryte i jawne rywalizacje międzynarodowe powodujące coraz trudniejszą, coraz mniej obliczalną grę dyplomatyczną, zobaczy szereg eksperymentów socjalnych i socjalnych rewolucji, z których żadna nie dała narodom obiecwanego polepszenia sytuacji, wreszcie zbrodnie i mactwa polityczne, nienawiści narodowe i rasowe, rozpalane przez najbardziej nieokiełzaną demagogię i w związku z tym znaczne obniżenie poziomu moralności życia publicznego.

Jakby jakieś złe siły wytrwałe i uparte próbowały niszczyć u podstawy to wszystko, co ludzkość osiągała długą i skrzętną pracą, jakby świat cywilizowany pękał w swoich fundamentach i bliski był zawalenia się w gruzy.

Tego rodzaju obawy dają się słyszeć dosyć powszechnie wśród różnych ludzkich środowisk i wyrażane są przez bardzo wybitnych ludzi, w niepokoju stawiających sobie pytanie, czy rzeczywiście zbliża się zmierzch zachodnio-europejskiej kultury.

Nie należy się zbyt przerażać takimi ponurymi horoskopami. Niewątpliwie, obok bardzo groźnych, bardzo wstrząsających zjawisk nie brak i takich, które świadczą o poszukiwaniu dróg nowych, o próbach zwycięskiego przezwyciężenia trudności i o nowych wartościach zaczynających pomалу kiełkować w zawierusze powojennej, a stanowiących, być może, właściwy punkt wyjścia, z którego ujrzeć można perspektywę lepszej, rozumniej zbudowanej organizacji życia publicznego.

Chcę tu mówić o zagadnieniach pracy, które od lat sto-

sunkowo niewielu zaczynają inaczej wyglądać w oczach zarówno filozofów i uczonych, jak rządów, jak wreszcie coraz to szerszej opinii publicznej.

Samo bowiem pojęcie pracy przechodziło w dziejach bardzo daleko idącą ewolucję. Starożytni Grecy mieli do pracy stosunek pełen pogardy. Pracować musieli niewolnicy po to, aby ludzie wolni, obywatele, mogli rozkoszować się należycie wszelkimi dobrami życia i mądrze rozmawiać o pięknie, prawdzie i dobru. Średniowiecze zupełnie inaczej rozumiało zagadnienie pracy. W jego rozumieniu doczesność opanowana jest przez Zło. Zadaniem życia jest przezwyciężenie zła przez cierpienia, ofiary, poświęcenia, aby w rezultacie oczyścić na tej drodze duszę od nieuniknionych grzechów i zyskać wieczne zbawienie. W tym biegu myśli praca, pełniona w pokorze i posłuszeństwie, staje się jedną ze skutecznych metod walki z grzechem i w połączeniu z modlitwą oraz wyrzeczeniem się wszelkich dóbr życia praktykowanym z całą surowością w życiu zakonnym, najskuteczniej zapewnia wieczną szczęśliwość po śmierci. Stanowiąc karę za grzech pierworodny popełniony w Raju, winna być znoszona cierpliwie, jak każdy dopust Boży, w nadziei uzyskania za to korony niebieskiej.

W czasach nowszych ten pogląd na rolę pracy uległ radykalnej przemianie. Żywy bardzo postęp gospodarczy wraz z postępem techniki przemysłowej i powstaniem wielkich zakładów fabrycznych powiększył niesłychanie ilość niezbędnych w produkcji towarowej rąk roboczych. Fabrykant-kapitalista zaczął kupować pracę, tak jak kupować musiał potrzebne mu maszyny i surowiec. Praca ludzka stała się towarem, posiadającym swoją cenę kupna. Produkcja przedmiotu zapotrzebowania z punktu widzenia przedsiębiorcy zaczęła mieć na celu dostarczanie mu zysku, z punktu widzenia robotnika — sprzedaż jego siły

roboczej. Kapitalista czyni w tych warunkach wszystko, aby cenę pracy obniżyć, wyzwolony z niewolnictwa a następnie z pańszczyzny robotnik organizuje się w celu jej podniesienia. Ci zatem, którzy bezpośrednio uczestniczą w procesie produkcji: kapitalista i pracownik, mają zgoła sprzeczne na tę samą rzecz poglądy. Jeden, pragnąc wyprodukować towar możliwie jak najtaniej, aby uzyskać na nim jak największy dochód, chce tak zorganizować rynek pracy, aby miał dostateczną ilość taniej siły roboczej; — drugiego programem jest uzyskanie jak największego zarobku kosztem jak najmniejszej ilości swej pracy. Znalezienie kompromisu między tymi dwoma punktami widzenia nie jest rzeczą łatwą, przynajmniej, gdy początkowo brak było czynnika trzeciego: sprawiedliwego rozjemcy sporu, którą to rolę w czasach ostatnich zaczęło wypełniać państwo.

W ten sposób na tle walki o cenę pracy okrzepły i zorganizowały się dwie przeciwne sobie siły: przedsiębiorcy i robotnicy, kapitał i praca. Historia gospodarcza czasów najnowszych przebiega bardzo wyraźnie pod znakiem ostrej walki tych obu armii. Siłą jednej jest posiadanie w ręku środków produkcji i kapitału pieniężnego, siłą drugiej — potężna organizacja zawodowych związków robotniczych broniących wysokości zarobków przede wszystkim za pomocą strajków, które stały się klasyczną metodą walki.

Na takim tle powstał socjalizm jako nowa doktryna gospodarcza, ujęta w formę teorii naukowej, a właściwie kilku naukowych teorii, bowiem różnice w poglądach teoretyków socjalizmu są bardzo znaczne. Socjalizm szerzony jest przez szereg więcej lub mniej wpływowych partii politycznych, których celem jest zawładnięcie czy to drogą legalną, czy też rewolucyjną rządów krajem i daleko idąca przebudowa społeczna i gospodarcza świata.

Nie będziemy tu omawiali historii walki partii socjalistycznych z kapitalizmem, które to oba obozy przekroczyły swym zasięgiem granice państwowe w poszukiwaniu międzynarodowego oparcia. Jest faktem, że wpływy socjalistyczne w szeregu państw wzrosły bardzo znacznie, uzyskując jednak całkowitą dyktaturę tylko w Rosji Sowieckiej, podczas gdy w innych państwach albo upadły zupełnie, albo też, ograniczając swą rolę do legalnej pracy społecznej i politycznej, straciły charakter organizacji rewolucyjnych.

Zwróćmy natomiast na co innego uwagę. Gdy badamy istotę konfliktu między kapitałem a klasą robotniczą, powinno nas uderzyć to, że w gruncie rzeczy obie wrogie sobie siły w bardzo podobny sposób rozumieją zagadnienie ludzkiej pracy. Sprzeczność interesów, tak przynajmniej, jak ona wygląda w życiu praktycznym, jest analogiczna do sprzeczności, zachodzącej między kupującym a sprzedawcą, gdy chodzi o cenę towaru. Jeden chce drożej sprzedać, drugi taniej kupić. To, że obiektem kupna-sprzedaży jest nie dany towar w sklepie, ale siła robocza człowieka, nie stanowi tu zasadniczej różnicy. Robotnik jest zadowolony, gdy groźbą strajku lub strajkiem uzyskał lepszą zapłatę za swą pracę, względnie skrócił czas pracy dziennej, kapitalista, gdy udało mu się obniżyć zarobki robotnika lub przynajmniej nie dać mu żądanej podwyżki.

I nie jest to nic dziwnego. Rzeczą aż nadto naturalną jest, że przedsiębiorca pracując dla zysku, zysk ten pragnie posiadać, a w żadnym razie nie może ponosić strat na dłuższą metę, bo to by go doprowadziło do bankructwa, i tak samo naturalną jest rzeczą, że robotnik pragnie podwyższyć swój niesłychanie niski poziom życia, co jest zupełnie słusznym jego prawem.

Ten stan ustawicznej walki w tak ważnej dziedzinie

życia jaką jest wytwórczość towarowa, nie może jednak trwać do nieskończoności.

Możliwe są trzy wyjścia: albo definitywne zwycięstwo klasy robotniczej i wywłaszczenie całego kapitału na rzecz państwa, które stałoby się jedynym przedsiębiorcą, albo definitywne zwycięstwo kapitału, albo wreszcie znalezienie takich nowych podstaw życia gospodarczego w świetle których sprawy zarówno produkcji, jak i ludzkiej pracy byłyby oceniane z innych, niż dotychczas, punktów widzenia.

Pierwsza ewentualność została zrealizowana — nie wiadomo, na jak długo — w Rosji Sowieckiej. Zwycięstwo socjalizmu w drodze krwawego przewrotu nie tylko nie podniosło robotnika pod względem gospodarczym, ale w sposób przerażający zubożyło kraj tak materialnie jak i duchowo.

Druga ewentualność dotychczas nie zrealizowała się nigdzie. Bo nawet w tzw. faszystowskich państwach, jak Italia i Niemcy, gdzie partie socjalistyczne zostały rozwiązane z całą brutalnością, kapitał bynajmniej nie uzyskał dyktatury pracując pod bardzo daleko posuniętą kontrolą państwa w warunkach dużego skrępowania.

Trzecia — tak przynajmniej sądzić można — zaczyna świtać, jako możliwa w przyszłości. Niesposób przewidzieć, jak ułoży się w niej rzeczywistość gospodarcza, albowiem w zakresie stosunków gospodarczych i społecznych nie umiemy niestety, przesądzać przyszłości. Zadanie nauk gospodarczych zostaje całkowicie wyczerpane jeśli potrafią dobrze opisać i wytłumaczyć mechanizm funkcjonowania istniejącego ustroju gospodarczego i więcej od nich wymagać nie podobna.

Ale, nie posiadając żadnych pewnych danych o przyszłości, trzeba jednak wiedzieć, że nie jest ona wynikiem sił czysto mechanicznych, działających z nieuchronną ko-

niecznością. Wprost przeciwnie, historia realizuje się przez żywych ludzi: przez ich pracę, ich twórczość, ich uczucia, ich myśli i wreszcie przy żywym współudziale ich woli. Świat przyszłości zależy nie od ślepych sił działających równie niezawodnie, jak działają siły fizyczne lub chemiczne. Skoro historia jest dziełem człowieka, tym samym ma na nią wpływ ludzka myśl i ludzka wola.

Jest rzeczą oczywistą, że przyszłość będzie się kształtowała tak lub inaczej w zależności od dalszej ewolucji, której ulegną zagadnienia pracy. Zrobiliśmy już najbardziej schematyczny przegląd jak ta ewolucja wyglądała dotychczas.

Żeby spróbować spojrzeć choćby przez najbardziej wąską szczelinę bram przyszłości, zastanówmy się nad zjawiskiem ludzkiej pracy, tak, jak wygląda ona nie z punktu widzenia zysku lub zarobku kapitalisty lub robotnika, tych czy innych zapatrywań religijnych, czy społecznych, ale z punktu widzenia roli jaką spełnia w dorobku cywilizacyjnym ludzkości, roli niezastąpionej i decydującej zarówno dla całego społeczeństwa, jak i jednostki ludzkiej. Zapomnijmy, że niegdyś praca ludzka była wymuszana przez instytucję niewolnictwa, kiedy indziej uważana za trudny ciężar, który trzeba było dźwigać cierpliwie i w pokorze, aby w zamian uzyskać raj na tamtym świecie. Zapomnijmy, że dziś jest towarem, sprzedawanym i kupowanym na rynku pracy, jak sprzedawany jest i kupowany każdy inny towar. Przyjrzyjmy się jej nie przez okulary tego lub innego ustroju gospodarczego, ale po prostu po ludzku.

Miedzy przedmiotem, rzeczą, otoczeniem, światem całym a duchem ludzkim zachodzi zasadniczy związek, będący tajemnicą rąk ludzkich. Są one jakby symbolem wszelkiego wysiłku. Strugają, rąbią, ugniatają, kuja, dopasowują, wygładzają, działają przez ucisk, przez dotknięcie.

Przedmiot pracy staje się niejako soczewką, zbierającą wszystkie uciski i dotknięcia, muskania i uderzenia w jedno ognisko użyteczności. Brutalne chwyt i subtelne muśnięcia, trwały rytm uderzeń czy miękkie gładzenia, ciężkie dźwigania i ostrożne unoszenia stanowią przecież obraz pracy i warunkują wszystkie jej wyższe formy.

Płaszczyzny mięśni rąk i dłoni, te najżywsze kontury ludzkiego ciała, stanowią wspólną granicę świata rzeczy i świata ducha, wzdłuż której wielkie zagadnienie pracy rysuje się konkretnie w sposób najwyraźniejszy i najbardziej przemawiający do wyobraźni.

Pomimo całego bogactwa i różności ruchów rąk ludzkich, tak różnych i tak w możliwości bogatych, praca fizyczna jest najprostszym obrazem ludzkiej pracy. A przecież jakże wielka zachodzi różnica między wielkimi kołami, zakreślanymi przez dłonie kowala, walącego w kowadło ciężarem młota a mądrymi, nieomylnymi ruchami palców grafika, rysującego nikiel, ledwie dostrzegalne linie rylcem na płycie metalowej lub drewnianej.

Ręce są koniecznym warunkiem działania. Pomędzy najbardziej oderwaną myślą uczonego, najgórniejszym wysiłkiem artysty, najwspanialszą wizją poety i najgłębszą myślą polityka a rzeczywistością świata, budowaną przez myśli, wysiłki, wizje i koncepcje, istnieje żywa, ruchliwa masa rąk ludzkich, sprężająca się w pracy: po granicze materii i ducha, żywy znak bezpośredniości stosunków tych dwu światów.

Człowiek wchodzi w rzeczywistość w wyniku swojej w niej pracy. Bez niej z rzeczywistością nie łączyłoby go nic, co ma jakąkolwiek wartość. Byłby bez niej jedynie widzem tego, co się wokół dzieje. Ale życie widzów nie znosi, a przede wszystkim wcale się z nimi nie liczy. Każde żądanie ludzkie, zadośćuczynienie każdej jego potrzeby musi być na rzeczywistości wymuszone pracą.

W najprostszych wypadkach pracą rąk i mięśni. W innych, bardziej skomplikowanych pracą myśli, uczucia i woli.

Gdy za cenę mej pracy wkraczam w rzeczywistość, jako jej współuczestnik, ona nie pozostaje taką, jaką była przedtem, zanim w niej zacząłem działać. Wraz z moim przyjściem zmienia się ona sama, narasta o moją osobę, o mój w niej współdział, o mój trud, który w nią włożyłem. Praca ludzka zmienia rzeczywistość, zmienia więc oblicze świata. Zmieniają ją miliony rąk roboczych, pracujących niemal w każdym punkcie kuli ziemskiej w nałożeniu mięśni i woli. Zmienia ją każda myśl nowa i twórcza, każda poważna decyzja, każda nowa zdobycz nauki i sztuki.

W ten sposób człowiek staje się współtwórcą rzeczywistości, a szczytną tę rolę uzyskuje nie inaczej, jak przez wkład pracy, jakiej światu dostarcza. Może się to odbywać w pełnej ludzkiej świadomości dokonywanego dzieła albo też w mroku zupełnej niewiedzy i dezorientacji. Nie trzeba podkreślać, jak inne w każdym z tych przykładów zachodzą stosunki człowieka do tego, co się wokół niego dzieje.

Mamy tu zagadnienie zasadnicze, decydujące o całości postawy życiowej. Mieć świadomość swojej roli w tworzeniu rzeczywistości to znaczy stwierdzać w każdej pracy, w każdym zamyśle, w każdym zamierzeniu swój udział bezpośredni, stać się w swym środowisku ogniwem istotnie twórczym, istotnie odpowiedzialnym, ustalić najprostszy stosunek do jednostki, grupy, narodu, społeczeństwa, państwa — tak prosty, jak prosty jest stosunek ręki do przedmiotu jej pracy, mieć ustawicznie poczucie namacalne wysiłku, jak bezpośrednio czują to ręce człowieka pracującego. Umieć wyczuwać opór, gdy się go przezwycięża, opór, który jest nie tylko reakcją otoczenia, ale naszym

własnym czuciem. Istota pracy, istota życia polega na ciągłym formowaniu rzeczywistości; trzeba, aby — jak przy pracy rąk ludzkich — poczucie tego formowania przenikało głęboko w duszę człowieka, dając mu bezwzględną pewność współdziału i świadomość konieczności i doniosłości swej roli.

I ta właśnie prosta prawda stać się może ową szczeliną, przez którą już dziś przeziiera inna lepsza i dostojniejsza przyszłość życia społecznego.

Bo jakże w dzisiejszym świecie sprawy te wyglądają?

Stosunek pracy ludzkiej do przedmiotu pracy, wysiłku do rezultatu, jest zerwany. Linia ciągłości życiowej przecięta. Momentem rwącym jest przede wszystkim związany z ustrojem społecznym sposób zorganizowania zbiorowej pracy ludzkiej, a następnie wyrosłe na tej organizacji pracy nawyki psychiczne, które z konieczności dostosować się musiały do schematu organizacyjnego, charakteryzującego całość organizmu wytwórczości i spożycia.

Celem produkcji jest dziś dochód, a celem pracy — zarobek. Dopóki zagadnienie bytu społecznego na tych dwóch podstawach będzie się opierało, dopóty bezpośredni stosunek między pracą a jej wytworem będzie mógł istnieć tylko mocą istotnie twórczego wysiłku ducha, a na to stać nie każdego.

Dochód i zarobek wypaczają prostotę stosunku do świata. Jeżeli praca ludzka przenika w głąb rzeczywistości, to przenika przez filtr dochodu i zarobku i na tym filtrze osadzają się najcenniejsze wartości pracy: jej oblicze użyteczności, twórczej celowości. Radość pracy zostaje w ten sposób niemal całkowicie pochłonięta; dla pracownika pozostaje tylko sakramentalny kawałek chleba, wypłacony za pewną ilość wyładowanej energii fizycznej lub psychicznej.

Czy to nie za mało? Praca jest czynnikiem, którego zadaniem jest ciągle budowanie rzeczywistości. Jeżeli cel ten obiektywny i prawdziwy zastępuje się innym: zapłaty, to zrywa się w ten sposób istotny, z natury rzeczy wynikający stosunek do rzeczywistości, a więc z gruntu skazuje się moment twórczy na zagładę.

Stąd naczelnym zadaniem przyszłego ustroju jest przywrócenie pracy jej prawdziwego oblicza. Aby cel ten osiągnąć trzeba przebudować głęboko całość życia współczesnego na wszystkich jego odcinkach tak, aby w rezultacie osiągnąć istotnie świadomy współudział człowieka w codziennym kształtowaniu życia. Dzisiejszy stan rzeczy jest wypadkową sił na wpół ślepych, którym trzeba otworzyć oczy, prac bezzadaniowych i beztwórczych, którym trzeba nadać cel bezpośredni i żywy.

Drogą prowadzącą do przebudowy życia ma być uświadomienie sobie przez szerokie masy czym jest i co dać może bezpośrednio-twórczy stosunek do rzeczywistości. Droga ta łączy się w codziennym działaniu i powoduje głębokie przeobrażenia w życiu, albowiem jest drogą czynu.

Budować świadomie rzeczywistość znaczy to usunąć między pracą a jej rezultatem te wszystkie filtry, które pochłaniają świadomość twórczego aktu ludzkiej woli.

Powiedzieć ktoś może, że rozważania powyższe są utopią i nie wskazują, co trzeba konkretnie zrobić, aby przystąpić do tak daleko idącej przebudowy społecznej.

Ale spójrzmy wokół, jak wygląda dziś praca całego szeregu ludzi, którzy żyjąc jak wszyscy inni w świecie, w którym dochód i zarobek są obowiązującymi kategoriami życia gospodarczego, potrafili przecież w bardzo znacznej mierze wyzwolić się z tych kategorii i pracować w pełnej samowiedzy swej roli na płaszczyźnie wyższej niż ta, która jest wyznaczona przez zagadnienie zapłaty.

Mógłbym cytować długie szeregi nazwisk ludzi zna-

nych mi dobrze, dla których kwestia oceny pieniężnej ich pracy nie odgrywa żadnej roli. Weszłyby tu nazwiska tych, co stawiali zręby pod fundamenty niepodległego bytu państwowego Polski, i tych, co torowali i torują drogi przyszłości przez pracę artystyczną, naukową lub techniczną, i tych wreszcie, co, pracując na drobnych i pozornie mało ważnych odcinkach życia publicznego, nie zatracili świadomości doniosłości i użyteczności swego wysiłku i świadomością tą przesycili całe swoje życie.

W tej bardzo długiej liście znaleźliby się wodzowie i mężowie stanu, politycy i działacze gospodarczy, robotnicy i chłopci, bogaci i biedni, wykształceni i półinteligenci.

Okazuje się, że nawet w dzisiejszych trudnych warunkach można traktować życie i swoje w nim zadanie nieporównanie głębiej, niżby to wynikało ze ściśle gospodarczego punktu widzenia.

Ilość tych, których stać na taki stosunek do pracy ludzkiej, z dnia na dzień wzrasta. Z olbrzymiej armii zjadaczy chleba wydziela się coraz wyraźniej ekipa ludzka, posiadająca wyższe aspiracje i dalej sięgające ambicje. Ci właśnie ludzie powoli, z niezmiernym trudem, w krwawym niekiedy wysiłku otwierają ciężkie wrota historii, ucząc żywym przykładem własnej pracy i własnego życia, że najwyższa nawet zapłata za siłę roboczą nie wyczerpuje zagadnienia pracy ludzkiej, że są w niej zakłęte wartości bez porównania wyższe niż to wszystko, co na pieniądze przeliczyć się daje.

Wydaje się, że taki stosunek do pracy, o ile by się stał dorobkiem większej ilości ludzi, pozwoliłby skuteczniej niż wszelkie rewolucyjne poczynania, przekształcić obecną strukturę społeczeństwa w kierunku większej sprawiedliwości, celowości i wydajności pracy.

Są oznaki na niebie i ziemi, że pójdziemy tą właśnie

drogą. Może najbardziej widoczne jest to w roli, jaką w stosunkach pracy ludzkiej zaczyna odgrywać państwo, którego zakres działania w tej dziedzinie powiększył się niesłychanie i niewątpliwie powiększać się będzie jeszcze bardziej.

Konstytucja nasza w bardzo zwarty i lapidarny sposób mówi o tym w ustępach następujących:

Twórczość jednostki jest dźwignią życia zbiorowego. (Art. 5 ust. 1).

Praca jest podstawą rozwoju i potęgi Rzeczypospolitej. (Art. 8 ust. 1).

Państwo roztacza opiekę nad pracą i sprawuje nadzór nad jej warunkami. (Art. 8 ust. 2).

Państwo dąży do zespolenia wszystkich obywateli w harmonijnym współdziałaniu na rzecz dobra powszechnego. (Art. 9).

W świetle tych sformułowań zagadnienie pracy nabiera zupełnie innej treści niż dawniej. Konstytucja nic nie wspomina o pracy jako towarze, który za tę czy inną cenę można kupić na wolnym rynku pracy.

Państwowa ustawa zasadnicza słusznie doszukuje się w twórczości pracy i harmonijnym współdziałaniu wszystkich obywateli wartości najwyższego rzędu, od których poziom życia zbiorowego, rozwój i potęga Rzeczypospolitej i sprawy dobra powszechnego bezpośrednio są uzależnione. Widzimy tu, jak olbrzymia droga została przebyta od klasycznego poglądu kapitalizmu XIX stulecia, dla którego ludzka siła robocza była niczym innym, jak sprawą większych lub mniejszych kosztów, które trzeba było za nią zapłacić. W tekście swej konstytucji państwo bardzo jaskrawo przeciwstawiło się doktrynie kapitalistycznej.

Ale również zdecydowanie wystąpiło przeciw doktrynie socjalistycznej, która z walki klas robi ośrodek życia i na jej konieczności buduje nadzieje na swe zwycięstwo

w postaci dyktatury proletariatu. Państwo chce zespałać, nie przeciwstawiać, łączyć nie dzielić wysiłki.

Dąży do współdziałania ludzi, nie do walki między nimi. W myśl przemyślanych planów chce powoływać do twórczej pracy wszystkich bez wyjątku, aby razem, w zgodzie, porozumieniu i harmonii budować dobro powszechne, zapewniać rozwój i potęgę państwa.

Zapewne program w ten sposób przez konstytucję sformułowany, daleki jest jeszcze od realizacji. Ustrój społeczny pozostaje taki, jak poprzednio; walka klas trwa w dalszym ciągu; daleko jeszcze do tej planowej i harmonijnej pracy, która w szybszy i sprawniejszy sposób zapewni zadośćuczynienie tylu palącym potrzebom życia, ustawicznie sygnalizującym swoje niedomagania; sprawiedliwość społeczna pozostawia wciąż bardzo wiele do życzenia, chociaż w tej dziedzinie niepodległa Polska zrobiła już bardzo wiele przez ustawodawstwo pracy i codzienną ingerencją w stosunki między pracą a kapitałem; nędza jest wciąż bardzo znaczna — to wszystko nie ulega żadnej wątpliwości.

Ale jednocześnie nie można negować faktu, że w świadomości powszechnej dojrzeła zrozumienie tego, że czasy nasze są czasami przełomowymi, że zaczynamy wchodzić w nowy, zgoła inny od poprzedniego ustrój społeczny, którego mechanizmu nie umiemy wprowadzić w szczególach przewidzieć, ale którego treść istotna z dnia na dzień staje się dla nas coraz to jaśniejsza. I choćby przytoczone fragmenty tekstu konstytucji świadczą wyraźnie, że treść ta zawiera się całkowicie w należyтым zrozumieniu roli i znaczenia ludzkiej pracy w życiu zbiorowym, a w ślad za tym, że życie to winno być zorganizowane w taki sposób, aby praca stać się mogła centralnym zagadnieniem kierownictwa państwowego, gospodarczego i społecznego.

ROZDZIAŁ IX

Jest słowo, stanowiące o rzeczy, może najbardziej o człowieku i jego stosunku do świata decydującej i określającej ten stosunek w sposób niezmiernie głęboki i prawdziwy.

Chcę mówić tu o odpowiedzialności. Spróbujemy podzielić ludzi na dwie kategorie — tych, co odpowiedzialność ponosić umieją i tych, dla których słowo to jest puste i bez znaczenia. W pierwszej znajdują się ludzie mędrsi i mniej mądrzy, lepsi i gorsi — i tacy sami znaleźć się mogą w kategorii drugiej. A przecież linia podziału wzdłuż odpowiedzialności nakreślona niezmiernie utrudnia możliwość współporozumienia między obiema grupami.

Bo trudno o porozumienie między tym, który odpowiedzialność przyjmując, znalazł się w nurcie życia i, biorąc w nim udział, jest żywą tego nurtu częścią, uczestnicy w nim na mocy swojej własnowolnej decyzji, jako pewna suma woli i pracy, — a tym, dla którego cały obszar życia jest obszarem dowolności, pozbawionym obowiązku, wysiłku, musu, a więc wagi i powagi.

Znamy wszyscy ten typ człowieka o znikomym ciężarze właściwym, o żadnym stosunku do rzeczywistości. Taki człowiek żyje jakby na samej powierzchni życia, postawy wobec życia nie zajmuje i nie chce zajmować żadnej i niczego za teren swej odpowiedzialności uznać nie potrafi. Nie rozumie, co znaczy praca nad sobą, nie umie uczynić z siebie narzędzia dla uzyskania ustalonych przez wolę celów.

Taki człowiek może nie być pozbawiony lepszych impulsów, współczucia dla innych, żywych acz chwilowych i nieskoordynowanych zainteresowań intelektual-

nych, a niekiedy zdobyć się może na znaczne wysiłki na bardzo krótką zakrojone metę. Ale nawet te dobre strony jego usposobienia, charakteru czy umysłowości, niezwiązane mocnymi nićmi z poczuciem odpowiedzialności za bieg życia, błakają się w sposób przypadkowy, nieobliczalny i zawodny, i bardzo z nich niewiele wynika rzeczy wartościowych, stanowiących dorobek państwa, narodu, grupy czy chociażby jego samego. Gdy o kimś mówimy: człowiek pusty — nie chcemy zazwyczaj powiedzieć, że to człowiek zły, głupi, niemiły, przykry, szkodliwy lub niezdolny.

Mówiąc o kimś, że jest człowiekiem pustym, stwierdzamy po prostu i przede wszystkim, że nie zachodzi żaden stosunek odpowiedzialności między nim a światem, i że przez to nie możemy go brać poważnie. Stwierdzamy, że taki człowiek dla życia nie znaczy nic lub bardzo mało, że jest życiu obojętny razem z wszystkimi jego walorami. Nie możemy na niego liczyć w powodzeniu lub nieszczęściu, i wzajemnie nie mamy żadnego obowiązku liczenia się z nim.

Żyjąc wśród ludzi człowiek pusty ludziom jest zbędny. Jego współudział w tworzącej się rzeczywistości jest iluzoryczny.

Na czym więc polega poczucie odpowiedzialności, tak przecie istotne zarówno dla oceny wartości moralnej człowieka jak i dla oceny jego prawdziwego w życiu dorobku? Oto jedno pytanie, na które warto dać sobie odpowiedź. A drugie pytanie: jak się to dzieje, że niektórzy ludzie samorzutnie chcą przyjmować za coś odpowiedzialność, gdy „życie puste“, życie bez odpowiedzialności wydaje się łatwiejsze, prostsze, przyjemniejsze.

Zapewne, można odpowiedzieć, że, ściśle biorąc, ludzi żyjących poza jakąś odpowiedzialnością, jest niewielu, albowiem warunki, zmuszające olbrzymią większość lu-

dzi do pracy zarobkowej pod groźbą skrajnego niedostatku, tym samym wymuszają na nich pewną odpowiedzialność, choćby za bezpośrednią ich pracę zawodową. Mówimy tu jednak nie o tej odpowiedzialności narzuconej często wbrew woli człowieka przez siłę tych czy innych nakazów zewnętrznych, ale o odpowiedzialności samoistnej i samorzutnej, wynikającej z decyzji własnej woli, działającej bez presji jakiegokolwiek przymusu z czyjejkolwiek strony. Dlaczego, pod wpływem jakich czynników — następuje tego rodzaju decyzja, często życia osobistego bynajmniej nie ułatwiająca, powodująca dużo kłopotów i trudności, a niekiedy prowadząca do ciężkich ofiar?

Do tych dwu pytań należy dołączyć trzecie, związane z granicami odpowiedzialności. W jakim zakresie poczucie odpowiedzialności jest usprawiedliwione poczuciem zdrowego sensu, albo inaczej — czy można brać w rozumny sposób odpowiedzialność za wszystko? czy też człowiek o rozbudowanej prawdzie wewnętrznej musi ograniczyć zakres swej odpowiedzialności do pewnych ściśle określonych dziedzin, poza którymi jego rzetelność byłaby na szwank narażona?

Oto pytania na pewno ważne, na które odpowiedzieć sobie musi każdy, kto w uczciwy sposób próbuje zdać sobie sprawę zarówno z tego, jaki jest jego stosunek do życia, jak i z tego, jakim chce ten stosunek widzieć.

Przecie odpowiedzialność wcale nie jest cechą wrodzoną. Dzieci małe posiadają ją w bardzo niewielkim zakresie. Ich odpowiedzialność jest prawie zawsze wymuszona przez system wychowawczy, oparty najczęściej na karze i nagrodzie.

Dopiero w wieku dojrzewania daje się zauważyć samorzutność odpowiedzialności. W tym bogatym i bujnym okresie życia zaczynają się zarysowywać dziedziny wy-

rażnych zainteresowań i wówczas dopiero zaczyna narastać twórcza wola, a w ślad za nią pojawia się poczucie odpowiedzialności za celowe, rozumne, uparte realizowanie tej woli.

Niezwykłe ciekawy zarówno dla obserwatora, jak i dla samego zainteresowanego jest okres rozbudzania się poczucia odpowiedzialności i związane z nim zjawiska duchowe: umiejętność planowania na dłuższą metę, uporczywość i wytrwałość wysiłku, zastosowanie właściwej metody pracy, jej ład i porządek, dokładność i precyzyjność, jednym słowem wszystko to, co cechuje poważny, celowy i świadomy stosunek do zagadnień, jakie człowiek wobec siebie i świata stawia, pragnąc w pewien określony sposób zmienić rzeczywistość zastaną.

Przejście od dzieciństwa do młodości, a tym bardziej do dojrzałości nie jest — być może — niczym innym, jak właśnie rozbudzeniem się a następnie utrwaleniem poczucia odpowiedzialności.

A z chwilą, gdy człowiek zaczyna się poczuwać do odpowiedzialności, zmienia się w sposób zasadniczy jego stosunek do świata i do siebie samego. Rewolucja wewnętrzna, jaka się w tej chwili rozwoju ludzkiego dokonuje, jest sprawą wielkiego znaczenia, i dziwną jest rzeczą, że tak stosunkowo niewiele się o niej mówi, tak niewiele wychowawczo się ją wykorzystuje.

Każdy na sobie samym może tę rzecz badać, przypominając sobie własne przeżycia, związane z rozbudzaniem się jego poczucia odpowiedzialności.

Świat ulega wówczas wielkiej, radykalnej przemianie. Żadna rzecz nie pozostaje tą samą, co przedtem.

Pozornie jest jak dawniej: te same przyjemności, ten sam rozkład czasu, te same kłopoty i zmartwienia. A przecież wszystko nabrało innego znaczenia: rzeczy dawniej ważne przestały być takimi, te, nad którymi przechodziło

się do porządku dziennego stały się ciekawe, rzeczy rozproszone zaczynają się skupiać, inne przestają nas bawić. Świat się przeorganizował na nowo, przestał być do siebie podobny. Przedmioty, ludzie, zagadnienia, myśli i uczucia koncentrują się około pewnych osi, gdy dawniej własna osoba była środkiem koncentracji; narasta nowy, nieznany uprzednio sens życia, przedtem nieprzeczuwany, jednocześnie zaś w nieograniczonej przestrzeni możliwych działań i reakcji zaczynają się zarysowywać wyraźnie drogi działania, drogi woli i drogi czynu. W chaosie doznań, w nieskoordynowaniu wrażeń, skojarzeń, fragmentów postrzeżeń, strzępów uczuć i wiru myśli zaczyna pracować planowość rzeczy zamierzonych, przemyślanych, wykonywanych pod ustawiczną kontrolą celu, któremu służą.

Z chwilą dokonania się tej wielkiej rewolucji, człowiek wkracza — raz na zawsze — w świat, w którym decydującą rolę odgrywa poczucie odpowiedzialności. Poczuciu temu nic się wyłamać nie zdoła. Człowiek staje się własnym sędzią, który ustawicznie, surowo kwalifikuje siebie, kontroluje swoje myśli, ocenia swoje czyny z punktu widzenia roli, którą w życiu odegrać postanowił.

Zmieniają się też jego radości i jego smutki. Wzrasta jego odporność na rzeczy zewnętrzne, skoro on sam staje się czynnikiem, życie regulującym. Nabiera pionu. Wie, czego chce i umie egzekwować to, czego chce od siebie i otoczenia. W swoim sumieniu uzyskał prawo takiej postawy wobec rzeczywistości. Świadomość, że za wynik walki bierze odpowiedzialność, zmusza go do opracowania ścisłych jej metod, a to każe mu z kolei skrupulatnie liczyć się z realnością życia, uniemożliwia wszelkie bujanie w obłokach, a przez to robi z niego człowieka, związanego z prawdą życia, człowieka trzeźwej myśli i konkretnego działania.

Ażeby dać prawdziwy obraz tego stanu rzeczy, należy

podkreślić, że tak opisany świat odpowiedzialności jest nie tylko światem wagi i powagi, jak to powyżej było powiedziane. Jest także światem obfitującym w perspektywę duchowego piękna, o którym pojęcia mieć nie mogą ci, którzy poczucia odpowiedzialności w tym rozumieniu, o jakim tu mówimy, nie znają.

Każdy zrozumie, o co tu chodzi, gdy uprzytomni sobie niezwykle, może najwyższe dostępne dla człowieka poczucie zachwytu, jakiego się doznaje przy studiowaniu biografii wielkich ludzi: wielkich artystów, wielkich uczonych, wielkich działaczy społecznych, mężów stanu i wodzów. Przecież w tych to właśnie ludziach poczucie odpowiedzialności za swe dzieło dosięgało niewątpliwie maximum napięcia, historia ich pracy i życia — czy to będzie Sokrates, Cezar, Michał Anioł, Galileusz, Księżę Józef, Kościuszko czy Piłsudski — stanowi wiecznie żywe źródło najsilniejszych, najpotężniejszych doznań, niezapomnianych dreszczów. Dlatego właśnie tak wielkim powodzeniem cieszy się dziś literatura biograficzna, dlatego — w przeczuciu nieświadomym piękna wielkości — młodzież tak chętnie słucha opowieści o wielkich ludziach i intuicyjnie obiera je sobie za wzory wychowawcze, które pragnęłyby w dojrzałym życiu naśladować.

Chcę przez to powiedzieć, że świat odpowiedzialności opromienia życie blaskiem najwyższej poezji, więcej, że tylko w tym świecie da się pomyśleć życie prawdziwie piękne. Zapewne — wrażliwość na piękno zewnętrzne dostępna jest niemal dla każdego; cóż z tego, gdy piękno zewnętrzne nie znajduje odpowiednika w pięknie wewnętrznym człowieka, który jest człowiekiem pustym. Wówczas świat piękna zewnętrznego staje się zaledwie chaosem estetycznych doznań bez żadnego znaczenia, ułatwiającym się jak dym w bezpowrotną, niezorganizowaną przeszłość, wędnie jak kwiat nie pozostawiając śladu po sobie.

Jeżeli czytelnik życiorysu prawdziwie wielkiego człowieka, jeśli dziecko słuchające opowieści o bohaterze, tak żywo odczuwa piękno życia ludzkiego, cóż dopiero mówić o tych potężnych, wspaniałych poczuciach wewnętrznego piękna, jakie przeżywa sam bohater? Toteż jeśli wszyscy zazdrościmy ludziom ich wielkości, to nie tylko dla posiadania ich uzdolnień lub potęgi — ale może przede wszystkim z powodu wrodzonej każdej szlachetniejszej duszy instynktownej tęsknoty do piękna życia, które — czujemy to wszyscy — realizuje się w ludziach o wielkim poczuciu odpowiedzialności, nakazującym im wielką w dziejach odgrywać rolę.

Wspomniałem nazwiska największych — ale to samo stosuje się do tych, którzy, nie dorównując tamtym w dziejowym znaczeniu ich roli, w mniejszym zakresie dokonań żyli i pracowali w atmosferze pełnej odpowiedzialności za swoje dzieło. Często bezimienni — przeżywali ci ludzie swoje wielkie porywy, przewyciężali wielkie trudności, zwyciężali w walce przez siebie prowadzonej — i w żadnym razie nie mogli uważać życia za zmarnowane. Żar entuzjazmu, moc wysiłku, napięcie woli — to wszystko nadaje życiu wartości stanowiące zawsze o wadze i pięknie człowieka, a bez tego trudno sobie wyobrazić szczęścia.

Tak to narasta poczucie odpowiedzialności w człowieku. Ale w imię czego narasta? Dlaczego są ludzie, którzy w ogóle chcą podjąć trud ponoszenia odpowiedzialności, którym nie wystarcza łatwe życie, zamknięte w granicach czysto prywatnych spraw i interesów, skąd się bierze dziwaczne poczucie *obowiązku* w stosunku do zagadnień, które nie są własnymi, jednostkowymi zagadnieniami? Skąd rodzą się siły, odrywające człowieka od jego najbardziej naturalnych, czysto osobistych zainteresowań, a skierowujące go na wielkie wody nieobliczalnych wyda-

rzeń, na których żyć, walczyć, zwyciężać jest trudno? Co sprawia, że w pewnym momencie życia człowiek decyduje się na otwarcie wrót do Krainy Wielkiej Przygody, w której to krainie jej piękno okupuje się wieloma wysiłkami a często bolesnymi ofiarami?

Raz jeszcze spłynęły mi spod pióra te słowa: *Wielka Przygoda*. Odpowiadają one prawdzie. Nie wielka przygoda z bajki, gdzie w fantastyczny, przypadkowy sposób zjawiają się królewicze i królowny, smoki i potwory — ale prawdziwa Wielka Przygoda życia, w której trzeba ponosić wysiłki, ciężko się trudzić, przyjmować odpowiedzialność, walczyć z uporem i męstwem, w której życie nabiera głębokiego znaczenia i staje się sprawą nadającą sens wszystkiemu, z czym człowiek może mieć do czynienia. Prawdziwa Wielka Przygoda, prawdą pulsująca, często od baśni ciekawsza, bardziej nieobliczalna, bardziej fantastyczna, bardziej w niespodzianki obfita.

Przyjrzyjmy się temu na przykładach. Na przykładach żywych, znanych każdemu. Jak to się stało, że rozpieszczony, zepsuty powodzeniem i bogactwem, rzucony w puste, próżniacze i hulaszczę życie, piękny jak królewicz z bajki książę Pepi zmienia się w niezłomnego rycerza honoru narodowego, we wcielenie najwyższej cnoty żołnierskiej, której poświęca wszystko, co ma, z swym życiem włącznie?

Zaustriaczony na obcym dworze, przesiąknięty francuzczyzną epoki, wychowany poza wpływami polskimi, Książę Józef Poniatowski całe życie walczy o Polskę, jej służy i dla niej umiera?

Jak się to stało, że młody chłopiec, dziecko prawie, ledwie wyszedł z ławy szkoły średniej, poczuł się odpowiedzialny za niepodległość swojej ojczyzny, którą zdecydował wskrzесиć ze stuletniej niewoli? A przecież to była zasadnicza decyzja Józefa Piłsudskiego od jego lat naj-

młodszych, niemal dziecinnych, decyzja, powzięta w momencie dziejowym, w którym dusza narodowa uległa głębokiemu beznadziejnemu, zda się, załamaniu, a prześladowania zaborców osiągnęły swój punkt kulminacyjny. I wierny tej młodzieńczej decyzji całe życie pod jej znakiem pracuje, znosząc biedę, zesłania i więzienia, narażając się ustawicznie na śmierć, podejmując się imprez najryzykowniejszych i dźwigając coraz cięższe brzemie odpowiedzialności, aby wreszcie nie ugiąć się pod olbrzymim brzemieniem odpowiedzialności za cały naród, za państwo. I to wszystko bez słowa zachęty, bez zrozumienia ze strony własnego społeczeństwa, w hałasie oszczerstw i niecných plotek, w atmosferze niechęci i wrogości ze strony większości własnych rodaków, samotny w klęskach i zwycięstwach, nieugięty w najcięższych okolicznościach.

Czyż świat, w którym żył i pracował Józef Piłsudski nie był światem Wielkiej, Największej Przygody, nie był baśnią z tysiąca i jednej nocy, nie był światem przedziwnej piękności wraz z tym wszystkim, co w nim było trudem, i znojem, i męką, i ofiarą?

Te same siły, które każą wielkim ludziom porywać się na dzieła olbrzymie, na trudy niezwykle, żyją i działają w ludziach zwyczajnych, a niekiedy z niemniejszym napięciem dają się zaobserwować wśród dzieci. Przypomnieć tu można prześliczną książkę węgierskiego autora Molnara pt. „Chłopcy z placu broni“.

Bohater tej książki, mały chłopiec, służy sprawie na pewno zupełnie błażej, dziecinnej: sprawie zabawy w wojnę młodzieży szkolnej, podzielonej na dwie wrogie armie. W ich bojach i utarczkach, w zdobywaniu twierdz dziecinnych, w ich wywiadach, w rozkosznych przygodach wojny o plac broni, mały żołnierz daje z siebie wszystko, na co go stać, i więcej jeszcze: daje swoje życie. I nie sądzę, żeby czytelnik po przeczytaniu tragicznych stron

ostatnich o jego śmierci mógł odnieść wrażenie, że zgon chłopca był zbyt wielką ofiarą w stosunku do nikłości sprawy.

Gdyż bohaterstwo, które jest najwyższą postacią poczucia odpowiedzialności, opromienia blaskiem swej aureoli rzecz, w imię której było pełnione, ucząc nas raz jeszcze prawdy, której zrozumienie nie jest tak łatwe, jakby to się wydawać mogło: że nie ma małych rzeczy, są tylko mali ludzie.

U Sokratesa — umiłowanie prawdy, u Księcia Józefa — honoru, u Mickiewicza miłość ojczyzny — u innych inne motywy, a może te same dają się odszukać, gdy badamy przyczyny, dla których ci wielcy, i inni wielcy, i inni mniej znani, zapoznani lub w ogóle nieznani przyjmowali odpowiedzialność za sprawy, którym się poświęcili.

Gdzieś na dnie duszy każdego, kto odpowiedzialność przyjmuje i ponieść potrafi, odnajdziemy zawsze jakiś żar uczucia, jakieś czegoś umiłowanie, jakąś do czegoś tęsknotę.

Każdemu z takich ludzi świat wydaje się szerszy, bogatszy, więcej mogący pomieścić ponad to wszystko, co się naokoło dzieje. Widzi pustkę, spostrzega brak na tym czy innym odcinku życia. Pustkę tę pragnie zapełnić żywą treścią, którą oczyma wyobraźni zobaczył, wysiłkiem myśli skonstruował, napięciem woli i pracy chce zrealizować. W ten sposób powstaje zamiar, precyzuje się plan działania, wreszcie powstaje ostateczna decyzja. Następuje próba sił. Gdyż wypełnianie luk i braków życia napotyka zawsze, w sposób nieunikniony na opory zewnętrzne i wewnętrzne. Zewnętrzne — to opory materiału, w którym się pracuje. Materiał może być bardzo różny: dla rzeźbiarza kamień, dla myśliciela — sztywny świat zastanych pojęć, dla wodza — siła fizyczna przeciwnika, którą trzeba

skruszyć, dla męża stanu — dusza społeczeństwa, w którym żyje. Każdy z tych materiałów daje sobie właściwe opory, a najcięższymi, najtrudniejszymi do przewyciężenia są opory dusz ludzkich, z których i dla których działacz pragnie ukształtować nową rzeczywistość. Wewnętrzne — bo trzeba przewyciężyć własną bierność, własne lenistwo, trzeba się umieć narażać, trzeba umieć ryzykować — trzeba się zdobyć na trud niejednokrotnie bardzo ciężki. Przewyciężenie tych oporów wewnętrznych pochłania na pewno olbrzymie zasoby ludzkiej energii.

Owa próba sił jest rzeczą decydującą. Albo napotkane na wstępie pracy opory załamią wolę, nadwątlą decyzję i wykażą niezbieżność niewspółmierność sił w stosunku do zamiarów — i wtedy mamy do czynienia z klęską; — albo też w tym pierwszym momencie walki przychodzi walczącemu z pomocą właśnie nie co innego, jak poczucie odpowiedzialności za rozpoczęte dzieło, wynikające z tęsknoty do dobra, z jego istotnego, na głębokich przeżyciach opartego mniemania.

A to wszystko, o czym wyżej mowa, cechuje ludzi o twórczych zadatkach. Bo wszelka twórczość oparta jest na miłości i tęsknocie, kierowana przez poczucie odpowiedzialności za rozpoczęte dzieło, realizowana wysiłkiem rąk lub mózgu, a więc pracą.

Gdy więc szukamy źródeł, z których płynie poczucie odpowiedzialności, rzucające człowieka w Krainę Wielkiej Przygody, którą jest życie każdego pełnowartościowego człowieka, gdy stawiamy sobie pytanie, dlaczego niektórzy ludzie poczuwają się do jakiejś niewymuszonej, z własnych impulsów pochodzącej odpowiedzialności, inni zaś nie mają żadnego jej poczucia, to w takim poszukiwaniu natrafiamy zawsze na zagadnienia ludzkiej twórczości, zagadnienia najgłębsze, najbardziej tajemnicze, najtrud-

niejsze. Nie rozwikłamy tu na pewno jej tajemnicy, nie będziemy się nawet próbowali o to kusić. Konstatujemy jedynie, że wszędzie tam, gdzie widzimy rzetelny wysiłek twórczy spotykamy się zawsze z głębokim poczuciem odpowiedzialności — i odwrotnie, że każdy człowiek, z własnej inicjatywy, w niewymuszony przez sytuację zewnętrzną sposób za coś odpowiedzialność przyjmujący, jest człowiekiem twórczym, niezależnie od zakresu w jakim jego twórczość się realizuje.

Samorzutna, niewymuszona odpowiedzialność jest tedy niejako drugim obliczem samorzutnej, niewymuszonej twórczości ludzkiej. Nie w tym znaczeniu, aby oba te pojęcia pokrywały się wzajemnie. Tak nie jest. Odpowiedzialność jest sprawą sumienia, twórczość przede wszystkim sprawą woli.

Ale wola bez sumienia prowadzić musi na bezdroża, sumienie zaś, na woli i czynie nie oparte zawisa w próżni i traci wszelkie znaczenie, produkując godny istotnej pogardy typ pięknoducha, typ tak niestety często u nas spotykany.

Było postawione wyżej trzecie zasadnicze pytanie, dotyczące granic odpowiedzialności. Nie sposób być odpowiedzialnym za wszystko. Świat, życie, historia przekracza odpowiedzialność jednego człowieka. Jeżeli odpowiedzialność nie ma być pustym dźwiękiem, trzeba wybrać jakąś dziedzinę życia, na której realizuje się swą twórczość, trzeba ustalić swój własny odcinek odpowiedzialności. Im bardziej określona, im bardziej sprecyzowana jest odpowiedzialność, tym ściślej i dokładniej może ją człowiek na sobie egzekwować. Niebezpieczeństwo jakie stoi przed każdym, kto posiada twórcze impulsy, polega przede wszystkim na rozplynięciu się granic odpowiedzialności. Znamy wszyscy nierzadko spotykany typ człowieka, przerzucającego się ustawicznie w swych zainteresowa-

niach i pracach. Wszystkim się zajmuje, wszystko go obchodzi, wszędzie coś znajduje do roboty, aby za chwilę zająć się czym innym a niczego do końca nie doprowadzić. Nie jest to człowiek pusty, o jakim wspomniałem wyżej — ale wartość jego nie wiele jest od tamtej większa. Wszędobylski, wszechdotykalski ma w każdej sprawie swoje trzy grosze do wtrącenia, wszystkiego się podejmuje, aby niczego porządnie nie wykonać, będąc jednocześnie jak najlepszego o sobie mniemania.

Takiego w mowie potocznej nazywamy rozproszencem, a w istocie jest to po prostu człowiek niejednokrotnie o najlepszych impulsach, nie umiejący jednak wybrać terenu swej odpowiedzialności.

Jest jeszcze inny typ człowieka, który tu warto pokrótce omówić, gdyż jest on niebezpieczniejszy zarówno od człowieka pustego jak i od człowieka o rozproszonej odpowiedzialności. Chcę tu mówić o straszliwej pladze polskiego życia — o doktrynerze.

Kto w swej lekkomyślnej zarożumiałości sądzi, że znalazł rozwiązanie wszelkich zagadnień, kto sądzi, że ma receptę na niedomagania życia, by je natychmiast uleczyć, kto ze zdziwieniem konstatuje, że oto w tej czy innej dziedzinie jeszcze wszystkich bolączek nie załatwiono — i podejmuje się je załatwić zaraz i natychmiast — ten na pewno stoi najdalej od prawdy życia, natomiast bliski jest tej czy innej doktrynie, za którą kryje swoją prawdziwą, swoją ludzką odpowiedzialność.

Czym jest doktryna i w jaki sposób się do niej dochodzi?

Rzeczywistość jest trudna i skomplikowana. Każdy, kto posiada choćby niewielkie wykształcenie i orientuje się w historii zdobyczy naukowych, wie doskonale, ile żmudnej pracy, ile studiów, prób, doświadczeń i obserwacji przeprowadzić musi matematyk, przyrodnik czy

humanista, aby po latach trudów móc sformułować w sposób jasny i prawdziwy rezultat swych poszukiwań: czy to będzie klasyfikacja, czy zależność między zjawiskami w formułę matematyczną ubrana, czy dokładny opis, czy rekonstrukcja minionych wydarzeń, czy prawo rozwojowe. Ale uczony operuje zawsze w jakiejś określonej dziedzinie swego przedmiotu; bada ograniczone zagadnienie i często temu jedynemu zagadnieniu poświęca pracę całego życia. W nauce obowiązuje skrupulatność metody, precyzja wykonania, ścisła kontrola każdego etapu badania — jednym słowem jak najsurowsza odpowiedzialność pracy.

W samej metodzie pracy badacza leży daleko idąca skromność, więcej, pokora, będąca wynikiem świadomości ograniczoności sił ludzkich i trudności zagadnienia. Ta skromność powoduje skrupulatne liczenie się z rzeczywistością, wyklucza łatwe i szybkie uogólniania, nakazuje sprawdzanie swych pomysłów z doświadczeniem.

Jak w świetle tej rzetelnej, uczciwej metody poszukiwania prawdy wygląda człowiek, który, często nie rozporządzając odpowiednim przygotowaniem, zasugerowany tym czy innym palącym zagadnieniem lub bolączką życia społecznego, niekiedy zresztą powodowany jak najlepszą wolą, w sposób niedostatecznie przemyślany pragnie narzucić rzeczywistości swoje rozwiązanie oparte na jakiejś z góry powziętej teorii nie skontrolowanej z doświadczeniem?

Nie trzeba kwestionować jego dobrej woli. Nie trzeba również niedoceniać jego pracy, ofiarności i poświęcenia. Cóż jednak z tego, gdy wszystko to skazane jest z góry na niepowodzenie dzięki błędom, tkwiącym w samych założeniach jego rozumowej i życiowej postawy, która uwikłana w sieci doktryny, daje mu fałszywe widze-

nie rzeczy, ludzi, dziejów minionych, chwili obecnej i prawdopodobnej przyszłości.

Nieuchronną koleją losu zgubi się prędzej czy później w jakiejś sytuacji bez wyjścia. Prędzej czy później okaże się, że jego wysiłek daje odwrotne do zamierzonych rezultaty, a przewidywania dalekie są od realizacji.

Wspomnieliśmy o takich ludziach w rozdziale o wiedzy. Tu dotykamy tego zagadnienia powtórnie z innego punktu widzenia: odpowiedzialności.

Doktryner poczucia prawdziwej odpowiedzialności nie zna. Operuje myślowym schematem sądząc, że w tym schemacie zmieści się cała żywa, bogata, bujna rzeczywistość. W prostocie swego ducha myśli, że jest w posiadaniu magicznej recepty na wszystko złe, że rzeczywistość nie ma nic innego do roboty — dziś i w najdalszej przyszłości — jak tylko nagiąć się do tych recept, zmieścić się w ramach jego pomysłów, dostosować się zarówno do jego woli jak i do jego teorii. Wyobraźcie sobie, że taki człowiek doszedł do władzy. Cóż będzie robił? Będzie zacieśniał życie do granic doktryny. Wszystko, co się w ramach doktryny nie zmieści, będzie się starał zniszczyć, usunąć, skrócić. I będzie to robił z całą zawziętością, z niesłyszana determinacją, choćby mu przyszło skracać ludzi o głowy.

Historie niektórych rewolucji dają nam mnóstwo tego przykładów. Człowiek doktryny, którego chwila dziejowa podniosła do roli dyktatora przenosi swą odpowiedzialność ze swojej osoby na swoją doktrynę. A gdy rozdźwięk między nią a życiem i jego wymaganiami staje się zbyt rażący, gdy dyktator nadmiernie już zaciążył nad rzeczywistością i pociągnięty w dół ciężarem nieprawdy swej doktryny, stacza się w przepaść dziejową, by krwawo najczęściej zapłacić za krew przez siebie przelaną — doktryner do końca nie zrozumie, dlaczego i za co upadł,

tak będzie zaślepiony w swej doktrynie i z niej wynikającym nieodpowiedzialnym działaniem.

Odpowiedzialność nie da się pomyśleć bez ustawicznego, baczego kontrolowania swych czynów z rzeczywistością, pilnego obserwowania ich skutków, ciągłego wyrównywania i poprawiania kierunku, krótko mówiąc bez trwałej harmonii między sobą i swoją pracą a innymi ludźmi i ich pracą, bez mocnego zazębenia się o życie.

Człowiek odpowiedzialny rozumie, że poza nim i poza jego myślą jest cały świat rzeczy i ludzi, świat prawdziwy o realnym bycie, o własnych kształtach, o obiektywnym istnieniu. Kontrola z tą rzeczywistością swojej myśli i swojej pracy jest warunkiem rzetelnej odpowiedzialności.

Dla doktrynera natomiast świat zewnętrzny jest jakby nierzeczywistym cieniem, jakby półistnieniem, które nabiera realności w jego mniemaniu dopiero wówczas, gdy potrafi się ułożyć w jego doktrynie. W tych warunkach na kontrolę, na autokrytykę nie ma miejsca, a w ślad za tym nie ma miejsca na pracę istotnie odpowiedzialną. Nieuniknionym porządkiem rzeczy doktryner musi zerwać wszelką harmonię między sobą a otoczeniem i w rezultacie zabrnąć w jakąś ślepą ulicę, z której wyjścia nie ma poza cofnięciem się. Ale zwykle właśnie wiara w doktrynę, wiara ślepa i tępą na cofanie się nie pozwala, czasem zaś na cofnięcie się jest zbyt późno — i tak lub inaczej sprawa kończy się katastrofą.

Są więc granice ludzkiej odpowiedzialności, których przekraczać nie wolno.

Po pierwsze odpowiadać można jedynie za to, co leży w granicach możliwego działania, po drugie granicą odpowiedzialności jest świat doktryny. Do tego świata odpowiedzialność nie sięga i wzajemnie. Świat doktryny nie zna poczucia odpowiedzialności.

W świetle tego wszystkiego zarówno nieodpowiedzialny jest rozproszenie, wszystkim się interesujący i na wszystko pragnący wpłynąć, jak i doktryner, nie widzący poza schematem swej teorii prawdziwego życia.

ROZDZIAŁ X

W każdym z nas żywe jest zawsze poczucie bardzo pierwotne, nie dające się w żaden sposób przytłumić lub zgasić, a związane z pojęciem słuszności, równowagi, harmonii, jaką chcemy widzieć wokół siebie, jakiej się domagamy od innych w stosunku do nas samych i jaką w naszym sumieniu stosować winniśmy do naszych bliźnich.

Sprawiedliwość rozumiemy jako jedną z naczelných cnót ludzkich. Gdy mówimy o kimś, że jest człowiekiem sprawiedliwym, wyrażamy mu tym samym nasze najwyższe uznanie. Gdy szukamy wyrazów, określających atrybuty Boga, nie możemy Go zrozumieć inaczej, jak Istotę absolutnie sprawiedliwą. Im wyżej w hierarchii ludzkich stanowisk i godności ktoś się znajduje, tym więcej wymagamy od niego sprawiedliwości.

Każde naruszenie tego naszego poczucia boli nas i upokarza. niesprawiedliwość wywołuje poczucie krzywdy. Każdy zna to poczucie. Jedno z najbardziej przykrych do zniesienia, zarazem jedno z najniebezpieczniejszych moralnie, powoduje bowiem prawie nieuchronnie złe uczucie zemsty, zawiści i nienawiści. I dlatego tam, gdzie niesprawiedliwości jest zbyt wiele, powstaje bunt, który, choćby w imię jak najbardziej słusznych haseł rozpoczęty, prowadzi nieuchronnie do rozpętania uczuć złych i czynów ohydnych.

Trzeba bardzo wysoko pod względem moralnym stojącego człowieka, aby nie uległ pokusom popełnionej względem niego niesprawiedliwości, aby zdusił w sobie odruchy złe, nie pozwolił zawiści i nienawiści rozpętać w sobie sił nieobliczalnych, mogących doprowadzić do czy-

nów ponurych i reakcji zupełnie nieopanowanych. Gdy Chrystus uczył: „A ja wam powiadam, żebyście się nie sprzeciwiali złemu, ale jeśli cię kto uderzy w prawy policzek twój, nadstaw mu i drugiego“ oraz „módlcie się za prześladowającymi i potwarzającymi was“, miał na myśli niewątpliwie głęboką mądrość i wewnętrzne dostojeństwo człowieka, umiejącego opanować poczucie doznanej krzywdy i niedopuszczyć do złych uczuć, złych myśli i złych czynów, które krzywda tak często rodzi. I jeśli na tle tych nauk Chrystusowych mogła w Rosji powstać doktryna nie sprzeciwiania się złu, to taka interpretacja na pewno jest z gruntu obca Boskiemu Nauczycielowi, który w świętym a słusznym gniewie oburzenia przepędzał kupujących ze świątyni.

Niesprawiedliwość jest złem; walka ze złem jest jednym z naczelných obowiązków człowieka; nie powinna ona jednak być następstwem złości, musi podnosić człowieka na wyższy moralnie poziom a nie obniżać skrzywdzonego do poziomu moralnego krzywdziciela. A jakże często rzecz się ma tak właśnie.

Znacie na pewno żywe przykłady, gdy skrzywdzony walczy ze swym krzywdzicielem w sposób najbardziej nieubłagany ale godny, rycerski i dostojny, i inne, w których pokrzywdzony, szukając zemsty za swą krzywdę, robi to w sposób moralnie niski, upodlający, budzący wstręt i odrazę.

I właśnie dlatego może niesprawiedliwość jest złem tak wielkim, że dotknięci nią stają się niestety bardzo często gorsi, szkodliwsi, ohydniejsi od krzywdzicieli, że zatem nie tylko oburza przeciw sobie ludzkie sumienia, ale zło pomnaża, zwielokrotnia, wyzwalając uczucia niegodne, a niekiedy straszliwe.

Gazety są przepełnione takimi sprawami. Podpalenia, zabójstwa z premedytacją z powodu drobnych niekiedy

krzywd są na porządku dziennym w kronikach wypadków, jakie co dzień w pismach czytać możemy.

A przecież nie są to rzeczy najgorsze i najstraszniejsze. Bowiem najstraszniejsze tragedie tą drogą powstałe, są tragediami ludzkich jednostek i poza wstrętem i grozą szerszych nie zataczają kręgów.

Mamy zresztą odrębną instytucję, której celem jest wkraczanie w te kategorie krzywd ludzkich. Od prawników istniejąca instytucja sądów sprawuje wymiar sprawiedliwości, tzn. karze tych, którzy przeciw zasadzie sprawiedliwości w czynie występują, oraz wpływa na nagradzanie i wyrównywanie krzywd doznanych przez tych, którzy się tych krzywd dopuścili. W normalnie rozbudowanym sądownictwie mamy sądy karne i sądy cywilne, sprawowane przez sędziów, którym winny przyświecać jedynie zasady możliwie jak najdalej idącej sprawiedliwości. Sądy stanowią instytucję tak ważną, że zazwyczaj w konstytucjach poświęcone są im odrębne rozdziały.

W naszej konstytucji z dnia 23 kwietnia 1935 r. istnieje specjalny tytuł IX: „Wymiar sprawiedliwości“ składający się z 8 artykułów (od art. 64 do art. 71). Ustęp 2 artykułu 64 wyraźnie określa zadania, jakim mają służyć sądy. Mówi on co następuje:

Przez wymiar sprawiedliwości sądy strzegą ładu prawnego w Państwie i kształtują poczucie prawne społeczeństwa.

No tak, powie niejeden z czytelników, ale ład prawny nie jest sprawiedliwością, albowiem samo prawo może nie być dostatecznie sprawiedliwe, kształtowanie zaś poczucia prawnego społeczeństwa nie daje wystarczających rękojmi, że tą drogą nastąpi również kształtowanie poczucia sprawiedliwości.

Czytelnik, który tak powie, będzie miał zupełną rację. Można by przytoczyć mnóstwo przykładów historycznych

stwierdzających głęboką niekiedy niesprawiedliwość praw stosowanych w sposób bardzo bezwzględny. Nie było rzeczą sprawiedliwą karać kogoś za popełnione przestępstwo surowiej lub łagodniej, zależnie od tego, czy przestępca był chłopem lub szlachcicem. Badanie za pomocą tortur odrzucamy dziś ze wstrętem, gdy swojego czasu sądy wymuszały na Bogu ducha winnych ludziach najstraszliwsze zeznania za pomocą wyrafinowanych męczarni. System ten, jak się zdaje, stosowany jest dotychczas w Rosji Sowieckiej w stosunku do przestępców politycznych, doprowadzając do wyników będących wyrazem nie poczucia sprawiedliwości, ale jedynie zemsty politycznej za działalność, sprzeczną z obowiązującą doktryną państwową i społeczną, a często ma na celu steroryzowanie mas ludzkich wyłamujących się ze ślepego posłuszeństwa, i stosowany bywa do zupełnie niewinnych ludzi przeznaczonych na ofiarę jedyńowładztwa.

Ale te przykłady z przeszłości lub teraźniejszości nie mogą zakrywać nam oczu na mnóstwo elementarnych niesprawiedliwości, które dzieją się codziennie w najbardziej kulturalnych społeczeństwach, a nie podlegają wpływowi najlepiej nawet funkcjonującego sądownictwa. Chcę mówić o rzeczy starej jak świat, o ranie wciąż otwartej i nigdy nie zabliźnionej — o sprawiedliwości społecznej, której świat nigdy nie przestawał się domagać i nigdy jej zrealizować nie potrafił.

Wszelkie rozważania na ten temat rozpoczynać należy właśnie od tego może najważniejszego stwierdzenia, że sprawiedliwość społeczna dotychczas przez żaden ze znanych w dziejach ustrojów gospodarczych w życie wprowadzona nie była. Gdy dziś poddajemy ostrej, niekiedy druzgocącej krytyce ustrój kapitalistyczny, który masom sprawiedliwości nie daje, tolerując skrajny niekiedy wyzysk pracy ludzkiej, nędzę milionów pracujących i głód

wśród milionów bezrobotnych, wlokących się w cieniu tego ustroju jak upiorne widmo złej organizacji życia, to nie zapominajmy, że przeszłość gospodarcza ludzkości nie była od czasów obecnych lepsza, a może z niejednego punktu widzenia wyglądała jeszcze bardziej mrocznie, jeszcze tragiczniej niż dzisiaj. I to nie tylko dlatego, że poziom życia materialnego jak również ilość i jakość potrzeb ludzkich najniewątpliwiej jest dziś przeciętnie wyższy, niż w czasach dawnych, że w społeczeństwach cywilizowanych bądź co bądź rzadko zdarzają się wypadki śmierci głodowej, które niegdyś były powszechnym, a nawet masowym zjawiskiem a i dziś zdarzają się u ludów zacofanych w rozwoju gospodarczym (głody w Rosji, Indiach, Chinach) — ale przede wszystkim ze względu na beznadziejność położenia mas ludzkich niegdyś, gdy kapitalizm wytworzył w proletariacie olbrzymi ruch, skupiający miliony robotników umięjących walczyć o swoje prawa i uzyskiwać znaczne bardzo zwycięstwa. Polepszenie się sytuacji związane jest właśnie i przede wszystkim z tym, że najsłabsze ekonomicznie warstwy ludności, do niedawna zupełnie bezbronne, skazane na bierne znoszenie bardzo ciężkiego losu, weszły na arenę dziejów jako czynnik zorganizowanej siły, skutecznie przeciwstawiając się wyzyskowi i uzyskując coraz to większe uprawnienia oraz wpływ na rozwój stosunków społecznych i gospodarczych.

Nie znaczy to bynajmniej, aby stan rzeczy obecny był zadawalający, a organizacja życia społecznego mogła pozostać na tym poziomie jaki widzimy dzisiaj. Wszelkie oznaki wskazują, że znajdujemy się na wyraźnym zakręcie dziejów gospodarczych, że kapitalizm, który w XIX wieku osiągnął swoje największe triumfy, w oczach naszych ulega bardzo daleko idącym przeobrażeniom, aby w rezultacie przekształcić się w nowy ustrój społeczny, w którym poza lepszą organizacją pracy gospodarczej,

a więc procesów wytwórczości, wymiany i podziału dóbr, zapanuje większa sprawiedliwość społeczna między ludźmi.

Nie trzeba się jednak łudzić, że stoimy pod tym względem w przededniu jakiegoś rajy na ziemi, i trudno przypuścić, żeby wielkie zagadnienie sprawiedliwości społecznej, dotychczas w ciągu dziejów niezrealizowane, zostało rozwiązane całkowicie właśnie przez nasze pokolenie.

A to tym bardziej, że zagadnienie, teoretycznie jasne i wyraźne, w praktyce jest do rozwiązania niezmiernie trudne i to z dwóch zasadniczych powodów. Pierwszy dotyczy samej istoty zagadnienia, drugi — roli, jaką jednostka ludzka w życiu zbiorowości odgrywa.

Jak ma być traktowany pracownik aby można było stwierdzić że stosunek społeczeństwa do jego osoby i jego pracy jest sprawiedliwy? Innymi słowy jakie wynagrodzenie za jego pracę ma mu być zapewnione? Na to proste pytanie dawano bardzo rozmaite odpowiedzi. Wszystkie one redukują się jednak do dwóch zasadniczych stanowisk. Jedni twierdzą, że każdemu należy dawać według jego potrzeb, inni, że według jego pracy. Nie potrzeba podkreślać, że dwa te stanowiska są sobie biegunowo przeciwne.

Pierwsze wprowadza w sposób zasadniczy równość warunków życia materialnego niezależnie od społecznej produktywności pracy ludzkiej jednostki. Czy to będzie zamiatacz ulic, czy wykwalifikowany robotnik przy warsztacie o znacznej umiejętności i dużej odpowiedzialności, czy administrator wielkiego przedsiębiorstwa, czy genialny wynalazca odkrywający nowe drogi przed ludzkością, czy szef rządu, ponoszący bezmiar odpowiedzialności za losy swojego narodu — wszyscy ci ludzie winni być traktowani jednakowo według ich potrzeb życiowych, które, rzecz prosta, będą u każdego wzrastały w przybliżeniu w jednakowy sposób.

Inni sprzeciwiają się tak zrozumianej idei sprawiedliwości. Ich punktem wyjścia jest społeczna użyteczność wypełnianej pracy. Ten kto z siebie więcej daje, ten, czyjej pracy społeczeństwo więcej zawdzięcza, winien mieć zapewnione lepsze warunki życia. Byłoby niesłuszne, aby wyjątkowa wiedza, wyjątkowy talent lub wyjątkowo ofiarna praca była traktowana tak samo, jak bezimienna praca mechaniczna, ograniczona do ruchów mięśni z minimalnym wkładem sił duchowych wyższego rodzaju. Z tej koncepcji wynika zasada szczeblowania i wartościowania pracy ludzkiej i wynagrodzenia za tę pracę.

Skoro zwrócimy uwagę, że dobra materialne, jakimi ludzkość rozporządza, aczkolwiek stale wzrastają, nie są jednak nieograniczone, że zatem nie wszystkie potrzeby masy ludzkiej mogą być zaspokojone dla wszystkich, spostrzeżemy łatwo, że hasło „każdemu według jego potrzeb“ nie może być w obecnych warunkach zrealizowane a próby, jakie by w tym kierunku były czynione, prowadziłyby z konieczności do „równania w dół“, to znaczy do takiego zaopatrzenia człowieka, które by wprowadzając przeciętną, jako normę powszechnie obowiązującą, zepchnęło poziom życia materialnego ludzkiego na bardzo niską płaszczyznę. Jest prawdą, że wówczas nikt nikomu nie miałby czego zazdrościć. Ale skutecznłoby się to za cenę ogólnej niwelacji i w imię teoretycznej sprawiedliwości zrównało najdzielniejszych, najpracowitszych z gorszym materiałem ludzkim, przeciętnym lub nawet poniżej przeciętnego. Jednocześnie przekreśliłoby się tak ważny czynnik życia zbiorowego, jakim jest współzawodnictwo, pobudzające znaczną większość ludzi do wzmożonych wysiłków.

Dlatego też zwolennicy wartościowania pracy pragną „zrównać w górę“ otwierając każdemu drogę do najdalej idących możliwości życiowych pod warunkiem stwier-

dzenia wyższej, niż przeciętna użyteczności pełnionej przezeń pracy.

Ta druga zasada wydaje się być w większej zgodzie z praktycznym poczuciem sprawiedliwości, nie wymaga gwałtownej zmiany stosunków, może być bowiem stopniowo realizowana i we współczesnych nam warunkach, a nawet jest już stosowana, chociaż w sposób bardzo daleki od doskonałości.

Dotknęliśmy tu ważnego zagadnienia przystosowania teoretycznie niewątpliwej zasady do rzeczywistości, która jest jakby lustrem odbijającym nasze myśli, uczucia, wyobrażenia. Rzecz najślusniejsza, najbardziej, zdawałoby się niewątpliwa, odbita w zwierciadle konkretnych warunków życiowych może się okazać wynaturzoną, błędną, niesłuszną lub krzywdzącą.

Nie inaczej jest z poczuciem sprawiedliwości, na którym tak łatwo budować bardzo efektowne doktryny, nie wytrzymujące próby życia.

I dlatego, gdy słusznie poddajemy krytyce nasz obecny ustrój społeczny, baczyć jednocześnie musimy, aby krytyka ta wynikała nie z punktu widzenia tych czy innych niesprawdzonych w praktyce życia doktryn, nie z punktu widzenia obrażonego, choćby w zasadzie najślusniejszego, poczucia sprawiedliwości, ale z głębokiego wniknięcia w treść życia gospodarczego i społecznego, gruntownego poznania jego mechanizmu i skrupulatnego porównania z ustrojami przeszłości.

Jesteśmy wszakże świadkami niezmiernie ciekawego eksperymentu w Rosji, która przystąpiła do rozwiązania kwestii społecznej w myśl doktryny socjalistycznej, spowodowała przy tym jedną z najkrwawszych, najbardziej barbarzyńskich rewolucji świata, a dotychczas, po tylu latach od osiągnięcia zwycięstwa, nie potrafiła swej olbrzymiej ludności zapewnić choćby takich warunków

życia, na jakie od dawna zdobyły się cywilizowane społeczeństwa świata bez żadnych wstrząsów, bez morza krwi przelanej, bez czerezwyczajek, szpiegostwa i terroru.

Drugim powodem, dla którego doktryna sprawiedliwej równości gospodarczej z trudem daje się wcielić w życie, jest zasadnicza nierówność intelektualna, moralna i ideowa człowieka. Zawsze, dopóki rodzaj ludzki będzie istniał na ziemi, będą jednostki zdolne i tępe, uczciwe i zbrodnicze, dobre i złe — i nikt nic na to nie poradzi. W zakresie walorów duchowych równość wśród ludzi nie istnieje; jest to fakt niezaprzeczalny, fakt przyrodniczy. Zawsze na czoło postępu będą się wysuwali urodzeni przywódcy i zawsze będą szły za nimi mniej lub więcej bierne masy, kierowane jednostkową wolą. Można nad tym ubolewać, że człowiek nie jest równy człowiekowi, ale nie można się z tym nie liczyć. A skoro tak, to stosowanie jednakich mierników wartości w stosunku do wszystkich jednakowych nie wytrzyma nigdy próba życia — i abstrakcyjna sprawiedliwość, stosowana mechanicznie zawsze będzie się musiała załamać, tak jak załamać się musi każda doktryna nie biorąca pod uwagę konkretnej rzeczywistości, do której winno się stosować wszystko, co pragnie żyć i rozwijać się pewnie i trwale.

Nie trzeba rozumieć tego, co powiedziałem, jako rezygnacji z realizacji sprawiedliwości w stosunkach ludzkich. Wprost przeciwnie, musimy jej w życiu poszukiwać, musimy o nią walczyć, a walka pod jej sztandarem jest obowiązkiem każdego, dla kogo sprawa moralności życia publicznego jest podstawowym postulatem organizacji społeczeństwa. Musimy zdawać sobie dokładnie sprawę z tego, że społeczeństwo, w którym jest zbyt wiele niesprawiedliwości, nie może rozwijać się normalnie, że niesprawiedliwość wywołuje siły burzycielskie, rozsadzające więzi łączące naród i podminowujące fundamenty państwa.

Ale w tym słusznym dążeniu do sprawiedliwości wystrzegać się trzeba doktryny, a doktryna jest rzeczą kuszącą i niejednokrotnie trzeba dużo autokrytycyzmu i męskiej odwagi, aby jej nie ulec. Doktryna, chwytając tylko najbardziej powierzchowne momenty życia, upraszcza je i spłyca; daje łatwe i gotowe rozwiązania na wszelkie dolegliwości świata, czyni swoich wyznawców ślepyi na wszystko, co się w jej ramach nie mieści i gruntownie fałszuje prawdziwe widzenie rzeczywistości.

Aż nazbyt często spotykam się z młodymi ludźmi, którzy stanęli już oko w oko z niesprawiedliwościami świata. Na sobie samych, na rodzinie i znajomych sprawdzili bezmiar krzywd, jakie w naszym ustroju gospodarczym spadają na głowy najniewinniejszych ludzi. Nie jest rzeczą niezrozumiałą, że wrażliwe sumienie burzy się na to, że ręce się zaciskają a myśl szuka wyjścia w świat inny, inaczej zorganizowany, lepszy.

Byłoby bardzo źle, gdyby młodość nie reagowała gwałtownie na zło, które się co dzień wokół nas dzieje. I nie tylko młodość. Na zło reagować musi każdy człowiek, który nie skostniał w cynizmie i sobkostwie.

I dlatego, gdy jestem świadkiem buntu przeciw krzywdzie ludzkiej, gdy widzę, jak myśl pracuje i wola się pręży ku lepszemu jutru, nie jestem w stanie obojętnie przechodzić mimo takiego bezpośredniego porywu serca; przeciwnie, mam radosne uczucie głębokiej więzi, jaka mnie łączy z wszystkim, co protestuje przeciw niepotrzebnemu cierpieniu, sprawianemu człowiekowi przez człowieka.

Nieporozumienie zaczyna się dopiero wówczas, gdy wchodzi w grę środki, za pomocą których można by rzekomo zło naprawić, krzywd unikać, zaprowadzić w umęczonym świecie sprawiedliwość.

Bo właśnie wówczas wypełza skądś zjawia doktryny: cień pusty, martwy schemat, widmo ślepe, usiłujące wi-

dzących prowadzić przez labirynty życia. I jest rzeczą głęboko tragiczną obserwować, jak żywy człowiek, owładnięty przez doktrynę, sam powoli ślepnie, przestaje widzieć prawdę życia i, jak mówi Wyspiański, „niewolnik jednej myśli biednej“, gubi się w rzeczywistości faktów, zjawisk i stosunków.

Gdy taki człowiek dochodzi do bardziej wpływowego stanowiska, staje się niebezpieczny, bowiem z absolutnym przeświadczeniem o słuszności swych myśli, gotów w najbardziej ryzykowny sposób eksperymentować żywymi ludźmi; gdy dochodzi do władzy, staje się straszny, albowiem nie licząc się z niczym, będzie w fanatyczny sposób myśli swoje wcielał w życie, nie znosząc żadnego oporu, a przeciwdziałanie każde topiąc w morzu krwi. Takim był niegdyś Robespierre, takim był prawdopodobnie Lenin.

A na nieszczęście doktryn jest bardzo wiele; poprostu czyhają na swych wyznawców. Są stare i są nowe; jedne giną bez śladu, inne zostają wydobyte z popiołów, dopasowane do potrzeb chwili i obnoszone w triumfie wśród tłumów zasugestionowanych nimi ludzi. Im która z nich jest bardziej radykalna, im mniej się liczy z rzeczywistością, im więcej zawiera pierwiastków emocjonalnych a mniej myślowych, im więc jest łatwiejsza, tym więcej zyskuje zwolenników; najczęściej to, co z nich dochodzi do mas, mało jest podobne do swych pierwowzorów, jak to się stało z wieloma doktrynami społecznymi, których twórcami byli niejednokrotnie ludzie genialni, a które, przerebione na użytek tłumów, sprowadzone zostały do hasła nienawiści i walki, zatracając całkowicie swój charakter konstruktywny i niwecząc te ziarna prawdy, które mogły być w nich zawarte.

Warto zwrócić uwagę, jak powstają doktryny społeczne. Wszystkie bez wyjątku są wynikiem krytyki istniejącego stanu rzeczy. Myśl ludzka poddaje badaniu aktualną rze-

czywistość, wykrywa jej niedomagania, usterki, wady i na tym gruncie konstruuje obraz innej, wymarzonej rzeczywistości, w której niedomagania są wyleczone, usterki wyrównane, wady poprawione. Taki obraz, w którym wszystko złe zostało starannie wyeliminowane, w którym są już same tylko dobre rzeczy, staje się celem, do którego ma zdążać życie faktyczne. Z kolei tak utworzony obraz poddaje się opracowaniu myślowemu, rozkłada się go na jego zasadnicze elementy, metodycznie się je szereguje i konstatuje z zachwytem, że wszystko jest w najzupełniejszym porządku i nie ma żadnych przeszkód, prócz ludzkiej złej woli oczywiście, aby go zaraz, natychmiast, na wszelki sposób, choćby drogą krwi i ofiar w życie wprowadzić.

Ale skąd się bierze to, że tak zmontowany obraz szczęśliwości ludzkiej przy jak najskrupulatniejszej analizie wykazuje samą harmonię, samo dobro? Stąd poprostu, że metoda jego formowania polega na odrzuceniu z współcześnie istniejących stosunków wszystkiego, co się autorowi nie podobało. Nic dziwnego, że obraz wymarzony zadawałnia go w zupełności, skoro obraz ten utworzony został taką metodą.

Oczywiście, można i tak postępować. Ale nie należy się łudzić, aby przyszłość była nadmiernie posłuszna naszej wyobraźni i trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że według wszelkiego prawdopodobieństwa jutro może odbiec bardzo daleko od tego obrazu, jaki my sobie o nim w naszej niezrozumiałości wytworzymy.

Najlepszym dowodem jest fakt, że dotychczas stosunki ludzkie rozwijały się zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażali nawet bardzo wybitni ideolodzy, społecznicy i ekonomiści. Wielki Marx, twórca tzw. naukowego socjalizmu ustalał nieodwołalne, żelazne prawa rozwojowe kapitalizmu, a przyszłość zaprzeczyła jego najbardziej umotywowanym, świetnie udowodnionym twierdzeniom.

A przecież Marx był niewątpliwie jednym z najgenialniejszych ekonomistów świata. Cóż dopiero mówić o innych ideologach, znacznie mniejszej klasy.

Rzeczywistość narasta z dnia na dzień dzięki ludzkim wysiłkom. Nowe odkrycia i wynalazki zmieniają sposoby produkcji, wywołują nowe potrzeby, inaczej formują stosunki między ludźmi. Przewidywana przez Marxa koncentracja kapitału w rękach niewielkiej ilości kapitalistów zawiodła w zupełności z chwilą, gdy Państwo musiało wkroczyć na teren gospodarczy w charakterze wielkiego kapitalisty.

Ale — spyta uważny czytelnik — jakąż ma być postawa człowieka, który na niesprawiedliwość społeczną się nie zgadza, pragnie przeciw niej protestować, chce ją zwalczać i w miarę swych sił i możliwości przyczynić się do zmniejszenia tego najistotniejszego zła na świecie? Cóż pozostaje, skoro się odrzuca hasła doktrynalne, które tak często prowadząc na manowce, mają przecież to wielkie znaczenie, że pod swymi sztandarami skupiają wielkie masy ludzkie i tym samym organizują siły do walki o lepsze jutro? Czy w rezultacie człowiek nie stanie wobec zła w życiu bezradny i samotny; — czy nie lepiej iść w szeregach we wspólnym froncie z wielką masą ludzką, choćby zaślepioną, choćby ulegającą pustym frazesom, ale przecież niewątpliwie walczącą o prawa pracy przeciw wyzyskowi i krzywdzie?

Pytanie takie jest usprawiedliwione i odpowiedź na nie musi być udzielona uczciwa i poważna.

Z zagadnieniem sprawiedliwości i krzywdy spotyka się praktycznie niemal każdy, a w szczególności wszelkiego rodzaju pracownicy umysłowi. Czytelnicy tej książki w olbrzymiej swej większości będą właśnie pracownikami umysłowymi. Otóż przedsiębiorca przemysłowy, handlowiec, urzędnik, inżynier, lekarz, nauczyciel, adwo-

kat, publicysta, działacz społeczny czy samorządowy, sędownik — wszyscy ci ludzie na każdym kroku mają do czynienia z zupełnie konkretnymi przypadkami ludzkiej niezawinionej nędzy, wyzysku słabych przez silnych, awansu społecznego gorszych a pozostawaniu w cieniu lepszych, niesprawiedliwości indywidualnych i zbiorowych, jakimi przepełnione jest życie.

Nieźmiernie często mogą te sprawy wywierać wpływ bardzo poważny. Czy trzeba mówić o tym, jak ogromne znaczenie dla zakładu przemysłowego, rękodzielniczego lub przedsiębiorstwa handlowego ma osoba jego kierownika i jak bardzo rozmaicie układa się życie tych placówek życia gospodarczego w zależności od tego, czy kierownik uważa prowadzony przez siebie zakład jako placówkę użyteczności publicznej, czy też jego zainteresowanie ogranicza się do wyciągnięcia z niej maksymalnych dochodów dla siebie czy też swoich mocodawców?

Czy trzeba podkreślać wagę pracy ideowego adwokata, sędziego, lekarza w przyczynianiu się do zmniejszania ilości zła na świecie? Czy dobry urzędnik, którego zasadniczym zadaniem jest regulowanie zagadnień pracy zbiorowości z punktu widzenia potrzeb i interesów państwa, nie przyczynia się w olbrzymim stopniu do podniesienia etyki życia narodu na wyższy poziom, tak jak urzędnik zły, ośchły, zbiurokratyzowany, tolerując nieprawości i nadużycia, ponosi ciężką odpowiedzialność za zło, które się w kraju dzieje?

Pierwszym obowiązkiem każdego, kto pragnie zwalczać niesprawiedliwość jest robić to na bezpośrednim odcinku swojej pracy zawodowej. Gdyby nie robił nic więcej w tym zakresie, gdyby tylko wykorzystał wszystkie swoje wpływy i możliwości w tym kierunku, nie szukając żadnych innych prac poza tymi, z którymi z tytułu swego zawodu ma do czynienia, ilość zła na świecie zmalałaby

w niezmiernym stopniu. Oto wskazanie niezmiernie proste, zrozumiałe dla każdego, zupełnie konkretne a bardziej skuteczne, niżby to się niejednemu wydawało.

Czy łatwe? — to inna kwestia. Na pewno łatwiej jest zgłosić swą przynależność do tej czy innej doktrynalnej grupy, opłacać tam niewielkie składki miesięczne, bywać od czasu do czasu na wiecach i zebraniach publicznych, na których „żąda się“ wszystkiego najlepszego i „protestuje się“ przeciw wszystkiemu złemu, wreszcie raz do roku iść w masowym pochodzie z tak czy inaczej wyciągniętą ręką i zaciśniętą lub otwartą dłońią. Być takim „bojownikiem“ o sprawiedliwość społeczną jest dużo łatwiej, niż na swoim prawdziwym odcinku pracy i odpowiedzialności zwalczać niesprawiedliwość tam wszędzie, gdzie się jej ofiary dostrzega.

Ale, jeśli kto boleje nad nadmiarem niesprawiedliwości na świecie, jeżeli pragnie jej ilość zmniejszyć i walczyć o lepsze jutro narodu i ludzkości, to przede wszystkim sam musi być sprawiedliwym człowiekiem. To jest podstawowy warunek dający człowiekowi prawo do zabierania głosu w sprawach społecznych stosunków między ludźmi.

Jest rzeczą aż nadto niekiedy częstą, że ci, którzy sprawiedliwości społecznej najgłośniejsze się domagają, a nawet z tego domagania się czynią swój zawód trybuna ludu, obrońcy proletariatu itd. — ci sami w swym życiu osobistym, a często i publicznym nie krępują się względami nakazów etycznych będących podstawą wszelkiej sprawiedliwości. Dotyczy to zwłaszcza wszelkiego rodzaju agitatorów partyjnych, których źródłem utrzymania jest praca agitacyjna i propagandowa, praca w podstawach swych oparta na kłamstwie, zwodzeniu ludzi obietnicami do zrealizowania niemożliwymi, a przez to demora-

lizująca w pierwszym rzędzie tych, którzy się jej podejmuja.

Im mniej się mówi o sprawiedliwości, im bardziej się sprawiedliwość czyni, tym postępuje się słuszniej, rozumniej i uczciwiej.

ROZDZIAŁ XI

Ojczyzna: słowo żywe, trzy sylaby krótkie, a pełne głębokiego znaczenia. Gdy się w nie wmyśleć, okazuje się, że jest jak miąższ ziemi, jak przekrój geologiczny, wypełniony szeregiem mnogich pokładów, utworzonych przez wiekową pracę przyrody. Gdzieś w najniższych warstwach, pod olbrzymim ciśnieniem tysięcy lat, tam się jego sens pierwotny: *patria*, *ojcowizna*. Tu mówi głosem minionych epok i praodległych kultur wiekuiste prawo rozmnażania się wszelkiej istoty żywej, niezaprzeczone prawo rodzicielskie, tu odzywa się pierwotny, najbardziej elementarny związek biologiczny między przodkiem a potomkiem przekazujący w dziedzictwo nie tylko załazek ciała i krwi ale oddający we władanie dobroć pracy tych, co odeszli, w ręce tych, co stanowią nowe pokolenie w ustawicznym stawaniu się rodzaju ludzkiego.

Na tym szczyblu najgłębszym panuje jeszcze *ród*, twór społecznie najbardziej archaiczny, najpierwotniejsza forma struktury zbiorowości, a dotychczas, mimo tylu przeobrażeń życia, żywy i niezastąpiony, aczkolwiek inaczej zbudowany i nie tak szeroki zasięg ludzki obejmujący.

Ten związek krwi w postaci współczesnej *rodziny* stanowi nadal zasadniczą komórkę społeczną i trzeba sądzić, że będzie ją stanowił zawsze wraz z wszystkimi swoimi obyczajowymi i prawnymi normami, ulegającymi niewątpliwie zmianom dziejowym, ale w istocie swojej wieczystymi, tak jak wieczyste są prawa biologii człowieka.

W miarę narastania czasu i narastania kultury, w miarę łączenia się rodów we wspólnoty większe, w wyniku tworzenia się szczepów, ludów, narodów — słowo

ojczyzna wzbogaca się o treść coraz to nową, pokłady jej dziejowe nawarstwiają się coraz bardziej i coraz to nowe uzyskują znaczenia, stopniowo rozszerzając swój zasięg na rzeczy przekraczające sprawę pokrewieństwa w ścisłym znaczeniu tego wyrazu.

A przecież treść słowa tego, mimo coraz szerszy zakres jakościowo nie ulega zmianie. Pierwotne jego znaczenie jest wciąż obecne i wciąż żywe. Obejmując olbrzymie przestrzenie ziemi tak wielkie, jak wielkie są państwa współczesne, obejmując miliony ludzi, niezłączonych żadnym związkiem krwi, ojczyzna nie przestaje być dla nas ojcowizną w prastarym ujęciu słowa: to jakby nasza własność, odziedziczona po ojcach, dziadach i pradziadach, to nasze pola, góry i wody, naszym niebem przykryte, to bezmiar twardej pracy leżących już w grobach pokoleń, to wreszcie sprawa, za którą trzeba było przez stulecia walczyć, bronić ją i zdobywać, za którą stoi ofiara krwi szczerze przelewanej i życia bez wahania oddawanego.

Ogarniając olbrzymie tereny i miliony ludzi żyjących, ojczyzna sięga w niezmierne odległości czasu i istnieje zarówno w aktualnej teraźniejszości, jak w przeszłości, z której się wywodzą odwieczne tradycje i szanowne dzieje, jak również w przyszłości piastującej w swym łonie losy nienarodzonych jeszcze pokoleń, co przyjdą po nas dziedziczyć dzieło naszego życia i naszej pracy.

Ojczyzna jest nie tylko tworem długich stuleci i dziejowych prac ludzkich, jest ona również dziełem miłości. Jest najgłębszą potrzebą ludzkiego serca.

Kocha się swój dom rodzinny, swoje podwórko i ogródek, stanowiący miejsce wczesnych dzieciennych zabaw, kocha się swą najbliższą okolicę, jakąś łąkę, czy parów, czy drzewo, swój widnokrąg, znaczony tą a nie inną linią lasu, pagórkiem czy domem na horyzoncie, kominem fabrycznym lub wzniesieniem terenu.

Kocha się, bo się to zna i rozumie, bo się wszystko rozpoznaje, jako coś najbardziej własnego, bo nie ma tam tajemnic i niebezpieczeństw, jest natomiast swojskość i przytulność i głębokie porozumienie z rzeczami i ludźmi. Znane są kształty, sylwety, usposobienia, charaktery i zamyka się je w perspektywie zjawisk, w której nic nie jest obce, wszystko jest na swoim miejscu, zharmonizowane w całości jedynej i koniecznej.

W tej perspektywie jest jeszcze coś innego. Jest ona nie tylko najbliższym i najbardziej zrozumiałym światem; ponadto człowiek w jej ramach jest w własnych swoich oczach wyrazistszy, zupełniejszy i jak gdyby bardziej prawdziwy.

Tkwiąc w niej głęboko, powiązany mnóstwem wieloletnich i niewidzialnych nici z rzeczami, wydarzeniami, ludźmi tymi, co żyją i tymi, co już odeszli, pozostawiając po sobie wszystko to, co jest zastanym przez nas otoczeniem, środowiskiem, wartością, stanowi człowiek część najbliższej rzeczywistości, nie czując nigdzie zerwania łączności i ciągłości między sobą a światem, bez poczucia przeciwstawiań się, w zupełnej z nim zgodzie i harmonii, w braku poczucia osamotnienia dającego się tak boleśnie i tak często odczuwać później, gdy się już wyszło na szerokie szlaki Wielkiej Przygody.

Czymże bowiem jest uczucie miłości, jeśli nie świadomością łączności, bliskości, nierozzerwalności więzów, raz zadzierzgniętych, harmonią i powiązaniem między sobą a tym, co się kocha?

Ojczyzna jest takim miejscem na ziemi, w którym społeczna samotność nie istnieje. W ojczyźnie nawet rzeczy pozornie od nas odległe obchodzą nas żywo. Jest rzeczą niezmiernie trudną, niemal niemożliwą wyzwolić się spod czaru, jaki wspólność języka, ziemi, dziejów, kultury i pracy wokół nas roztoczyły. Czar jakże potężny

i jak błogosławiony! W jego zasięgu znajdujemy się wszyscy od chwili narodzin po kres życia. W nim jest zrozumienie życia, jego sens, w nim mieści się wszelkie poczucie bliskości, w nim żarzy się wielka miłość, przewyciężająca tyle oporów i trudności, bez której samotność ludzka stałaby się rzeczą straszliwą, rzeczą nie do wytrzymania.

A gdyby z zaklęcia takiego czaru móc się wyzwolić, gdyby pewnego dnia człowiek obudził się, zatraciwszy pamięć o swej ojczyźnie, a więc pamięć o wszelkiej bliskości, w poczuciu oderwania się od tego, co było dotychczas znane i kochane — los takiego człowieka nie byłby do pozazdroszczenia. Musiałby się czuć jak w atmosferze biegunowego mrozu; dusiłby się w próżni uczuciowej: oddzielony od wszystkich i wszystkiego, zawisłby w tej próżni całą swą społeczną istotą bez możliwości znalezienia oddźwięku w otoczeniu.

Utraciłby swoje miejsce pod słońcem i żył życiem pozornym i nieprawdziwym w świecie pozbawionym realnej treści.

Zapewne, można swej ojczyźnie zaprzeczyć: wyrzec się jej lub ją zdradzić. Można również przeciwstawić jej coś innego o pozorach wyższości: jakiś ideał powszechnego humanitaryzmu, jakąś międzynarodowość osiągnąć kulturalnych lub klasowych. — Rezultaty tego są jednak żałosne i bezwartościowe.

Droga ta bowiem prowadzi albo do pustego werbalizmu o pozorach szlachetnego gestu, charakterystycznego dla inteligentnych a pustych pięknoduchów, albo marnego snobizmu cechującego globtroterów kultury, albo wręcz do ponurych absurdów, jak to się dzieje w Rosji, która zaczęła od międzynarodowej rewolucji społecznej, przełała w imię jej hasła morze krwi ludzkiej, aby skończyć

na iście rosyjskim nacjonalizmie państwowym, nie różnym od carskiego nacjonalizmu dawnych czasów.

Ucieczka od ojczyzny musi się skończyć katastrofą i tragedią. Człowiek o tyle wnosi do życia jakąś wartość, o ile potrafi się z nim związać uczuciem i współczuciem, zrozumieniem i porozumieniem, pracą i współpracą. A że więzy łączące jednostkę ludzką z ojczyzną na pewno należą do najsilniejszych i najistotniejszych, nic dziwnego, że zerwanie ich w bardzo znacznym stopniu musi oderwać człowieka od głębokiej prawdy życia, poza którą nie ma wagi, znaczenia i sensu.

Dla nas, Polaków, ojczyzna jest czymś bardziej jeszcze ważniejszym, jeszcze droższym niż dla innych ludów, które niepodległości politycznej nigdy nie traciły. Po prostu mocniej ją czuć możemy, skoro od tak stosunkowo niedawna widzimy ją rozkutą z kajdan wiekowej niewoli. Przytomny jest nam w świeżej jeszcze pamięci los kilku pokoleń naszych przodków pozbawionych tego, co jest elementarnym prawem każdego człowieka: swobody obywatelskiej. Było przecież wszystko: wielki, bogaty szmat ziemi, nieograniczone możliwości pracy gospodarczej i kulturalnej, liczny, uzdolniony i pracowity naród, wielkie talenty i wielkie charaktery — i brakło jedynie tego, abyśmy sami naszymi losami mogli kierować i sami naszą pracą przyszłość sobie torować.

Ciężyła nad nami obca przemoc marnując siły nasze lub wykorzystując je dla siebie, wprzegając nas w rydwan swoich własnych przeznaczeń, pasożytując na naszej pracy dla celów nam obcych i wrogich.

Cóż dziwnego, że odzyskanie niepodległości państwowej opromieniło ojczyznę polską w sercach naszych nowym blaskiem, ukazując ją naszym oczom jeszcze piękniejszą, jeszcze droższą, nareszcie już naszą własną. Wszak dopiero teraz, od lat tak niewiele, Polska stała się dla

nas nie tęsknotą, ale konkretnym terenem wspólnej pracy, nie marzeniem, ale realizacją, spełnianą codziennym wysiłkiem rąk i myśli. Dopiero teraz wszystkie jej możliwości stoją przed nami otworem.

Sięga szeroko i daleko. Tak daleko, jak daleko rozprzestrzeniają się dzisiejsze granice naszego państwa, a może jeszcze znacznie, znacznie dalej; tak szeroko, na jak szeroką skalę rozwinąć potrafi skrzydła geniusz narodu polskiego.

Czy da się określić granice naszej ojczyzny? zbadać jej zasięg dynamiczny, ustalić kres, poza którym Polak nie ma już nic do powiedzenia?

Ojczyzna jest tworem żywym. W swej drodze dziejowej niejako oddycha czy pulsuje. Może się rozszerzać i kurczyć, powiększać lub zmniejszać. W historii możemy dostrzec z łatwością te zmiany.

Pozornie najprostsza odpowiedź, że granica ojczyzny polskiej nie przekracza zasięgu terytorialnego narodu polskiego, nie jest prawdziwa. Gdy Jagiełło pod swym berłem złączył z Polską olbrzymie przestrzenie W. Księstwa Litewskiego, w którym naówczas elementu polskiego wcale nie było, ojczyzna nasza rozszerzyła się od razu na te przecież nie polskie tereny, uznane od razu za swoje.

Gdy rozbiory w końcu XVIII stulecia rozkawałkowały Polskę między trzy państwa zaborcze i państwo przestało istnieć, czy znaczy to, że pojęcie ojczyzny uległo uszczupleniu i również istnieć przestało? Tak nie było na pewno. W świadomości narodowej ojczyzna pozostała tym samym, czym była przedtem — a może nawet stała się czymś bardziej żywym, bardziej wyczuwalnym, bo bolesnym. Stało się tak, jak się dzieje z chorym organem ciała ludzkiego: normalnie nie wiele o nim myślimy, ale gdy odczuwamy w nim ból, nie przestaje absorbować naszej świadomości.

W ciągu wszystkich walk wyzwoleniczych narodu polskiego: insurekcji kościuszkowskiej, legionów polskich Dąbrowskiego, wojen z czasów Księstwa Warszawskiego, powstań lat 1830/1, i 1863/4, to wszystko co w duszy polskiej składa się na pojęcie ojczyzny w żadnej mierze nie ulegało pomniejszeniu. Dopiero czasy po powstaniu styczniowym, tzw. okres pozytywizmu dał olbrzymi uszczerbek ojczyźnie. Zmęczenie niewolą, ucisk prześladowań nadłamały hart narodowy. Szereg przodujących jednostek zrezygnował, dał się wprzęgnąć w orbitę przemocy, zamarł w woli, ostygł w sumieniu. Zdawało się, że pogodził się z tym, iż został wywłaszczony z najbardziej elementarnego prawa ludzkiego, jakim jest posiadanie własnej ojczyzny i że uznał ten fakt za nieodwołalną konieczność dziejową. Urodziła się polityczna doktryna trójlojalizmu.

Zapoczątkowana przez zachowawców, podjęta została przez środowiska inteligenckie i mieszczańskie i doprowadziła do niemal zupełnego zaprzepaszczenia idei niepodległości politycznej, co jest najniewątpliwiej związane z pomniejszeniem idei ojczyzny, zubożeniem jej treści, zaniemieniem jej dynamicznej siły.

Dopiero w ostatnich latach przed wielką wojną rzeczy zaczynają się zmieniać dzięki niepodległościowo-wojskowej pracy Józefa Piłsudskiego. W jego wielkiej duszy rozpręga się dopiero ojczyzna, wbrew strasznej naówczas rzeczywistości narasta i jawi się w czynie orężnym, który wówczas i zawsze jest najwyższym, najpełniejszym wyrazem sił zbiorowych narodu.

Strzelcy Piłsudskiego, Legiony Polskie, Polska Organizacja Wojskowa, armia niepodległej już Polski i jej zwycięstwo w 1920 roku — oto kolejne etapy rozprężenia się polotu skrzydeł ojczyzny zarówno w duszach i sercach polskich, jak i w dokonanym dziele. Historia te wspa-

niałe, najwspanialsze w dziejach naszych wysiłki połączy na zawsze z nazwiskiem Józefa Piłsudskiego, bowiem z niego biorą one ponad wszelką wątpliwość początek, są owocem jego zmagania się, walk i decyzji. Ojczyzna rozrosła, spotężniała. Przekroczyła z wszelką pewnością granice państwa, gdyż myśl federacji z Litwą — do dziś nie zrealizowana, wyprawa kijowska i bratnie przymierze z wojskami niepodległej Ukrainy wyznaczają osiągnięcia nie dokonane wprawdzie, ale ofiarą krwi żołnierzy i męką duchowego Wodza przekazane potomności, jak ziarno przekazuje się ziemi, by w odpowiedniej wiosennej chwili wzeszło i przyniosło plony.

Tam wszędzie, gdzie praca społeczna Polaka jest w stanie formować i urabiać rzeczywistość polską na dziś lub choćby na dalekie jutro — znajdujemy się w granicach naszej ojczyzny.

Jakże olbrzymie są te granice! Pomieści się w nich cała przestrzeń Państwa Polskiego — i jeszcze dużo miejsca pozostanie na dalekie możliwości polskiej myśli politycznej; zmieszczą się w nich całe tysiącletnie dzieje narodu państwa polskiego i miejsca nie zabraknie dla całej przyszłości; zmieszczą się w nich najwspanialsze wzloty geniuszu narodowego, jego nauka i sztuka, całość jego kultury, wszystko co jest wzniesieniem się ku wielkim przeznaczeniom.

Bo własnością narodu jest ojczyzna i wszystko, co jest dobytkiem narodu, jest jego ojczyzną.

Z tego punktu widzenia elementów ojczyzny doszukiwać się słusznie możemy nie tylko w Polsce, tak jak dzieje ją w chwili dzisiejszej na mapie Europy wykreśliły. Elementy te znajdziemy rozsiiane po całym świecie, wszędzie tam, gdzie są skupienia Polaków, ożywione świadomością narodową, wolą trwania i wolą pracy. Na Litwie i na Łotwie, w Sowieckiej Ukrainie i Białorusi,

w Czechach, Niemczech, Francji, Belgii, w obu Amerykach, na Dalekim Wschodzie, w cudzych krajach i wśród obcych społeczeństw znajdują się składowe naszej polskiej ojczyzny, składowe cenne, których zaprzepaścić nie chcemy, nie pozwolimy.

Ojczyzna jest wszędzie tam, gdzie istnieje możliwość polskiego czynu. Gdy tę możliwość realizujemy, o tyle wzbogacamy i rozszerzamy ojczyznę. Gdy ją marnujemy, winni jesteśmy jej zubożenia i pomniejszenia. Na tym polega odpowiedzialność historyczna każdego pokolenia.

Te rzeczy dzieją się w oczach naszych. Bo w naszych oczach, za naszej pamięci pojęcie ojczyzny zostało wzbogacone o rzecz, której znaczenia Polacy tak długo, nawet za czasów największej świetności państwa nie rozumieli: o polskie morze. Dziś wody mórz i oceanów na całym globie ziemskim stały się częścią ojczyzny i nie potrafilibyśmy jej sobie wyobrazić zamkniętej w ciasnych ramach granicy lądowej.

I chociaż długość linii naszego wybrzeża w żadnej mierze nie odpowiada ani naszej wielkości, ani naszym potrzebom, przecież faktem jest, że Polska jest, istnieje fizycznie wszędzie, gdzie polski statek pod polską banderą pruje wody oceanów rozwołując ludzi i towary do wszystkich świata kontynentów.

Czy dzisiejsza treść słowa: ojczyzna odpowiada roli, jaką w świecie odgrywa Polska, jaką odgrywać może? Czy w wyniku dziejów odzyskania niepodległości państwowej działają w duszach ludzkich wszystkie potrzebne siły, aby teren polskiej pracy publicznej powiększyć, stanowisko jej umocnić, wzmóc jej siłę i jeszcze szerzej bramy przyszłości przed nią otworzyć? Powiedzmy sobie szczerze, że tak jeszcze nie jest.

Dość spojrzeć po ludziach, aby się przekonać, ile pozostało w nas śladów niewoli, ile sobkostwa i egoizmu,

jak dużo brakuje bezinteresowności, a nade wszystko uświadomienia obywatelskiego. Każdy, kto umie patrzeć rzetelnie w życie, wie bardzo dobrze, jak mało jeszcze ludzi świadomie uczestniczy w pracy przy warsztacie ojczyzny.

Garść polityków, ciągle zbyt mała ilość działaczy społecznych, publicyści i literaci, trochę artystów i uczonych, szczupła ilość organizatorów życia gospodarczego; nasza świetna kadra wojskowa — oto bez mała wszystko, co poczuwa się do obowiązku twórczej pracy publicznej. Są to w najlepszym wypadku setki tysięcy ludzi. A reszta? Reszta pełni swoją pracę zawodową, i dobrze, że ją pełni, przyczyniając się niewątpliwie do wzrostu zasobów materialnych społeczeństwa. Ale szczególnie trudne życie czasów obecnych stawia narodowi polskiemu większe wymagania.

Zasięg ojczyzny naszej mógłby być znacznie rozszerzony, gdyby myśl o niej towarzyszyła każdemu poczynaniu ludzkiemu, a świadomość własnej roli w zbiorowym wysiłku wpływała na większą celowość i bliższe skoordynowanie pracy, a przede wszystkim na podniesienie tego, co można by nazwać atmosferą moralną zbiorowości, a co na pewno nie stoi jeszcze w Polsce na najwyższym poziomie. Powszechna oświata i wychowanie obywatelskie będą tu miały jeszcze dużo do roboty i stąd wyjątkowa waga dobrze zorganizowanego i należytych duchem przepojonego szkolnictwa.

Stoimy dopiero na progu wskrzeszonej państwowości. Razem z nią rozbudowujemy naszą ojczyznę. Ta rzecz wymaga czasu i pracy i nie może być inaczej. Trzeba tylko, abyśmy nie sądzili, że wszystko już jest zrobione, że nie pozostaje nam nic innego, jak w odzyskaną Polskę urządzić sobie jak najwygodniej życie. Ci, co tak myślą, są pomniejszych dziełami ojczyzny. Nie hasła wygodnego

życia, ale ciężkiej pracy, niejednokrotnie wyrzeczeń się, być może krwawych ofiar może od nas ojczyzna wymagać. I wszystko to trzeba jej będzie dać, bowiem ma do tego najśluszniesze prawo.

Powiedzieliśmy, że ojczyzna jest własnością narodu. Ale czym jest naród? Jaką spełnia rolę w stosunku do poszczególnych ludzi, jak powstaje, jak niekiedy umiera, jakie formy życia tworzy, jakim prawom rozwojowym ulega?

O tym wszystkim pisano stopy rozpraw, całe tomy książek, tysiące i tysiące artykułów we wszelkiego rodzaju periodykach, o narodzie mówią codziennie politycy i publicyści, mowi również szersza publiczność odmieniając to słowo we wszystkich przypadkach, mówiąc często tym więcej, im bardziej ma o nim mętne wyobrażenie. Ale choćby fakt, że słowo to jest ciągle na tylu ustach świadczy, iż mamy tu do czynienia z prawdziwą realnością życia, z czymś w życiu zbiorowości niezmiernie istotnym. Pod znakiem narodu powstają ugrupowania i stronnictwa polityczne, pod jego wpływem rodzą się wielkie uczucia zarówno miłości, jak nienawiści, w jego imieniu pełnione są najwyższe ofiary i poświęcenia, ale również najstraszliwsze zbrodnie, o sprawy narodu toczą się wojny, powodujące mękę i śmierć wielu milionów ludzi. Jednym słowem rola, spełniana w życiu zbiorowym przez naród jest ogromna. Ale gdy chodzi o wyraźne sprecyzowanie pojęcia narodu, o jego ścisłą definicję, to okazuje się, że sprawa nie jest łatwa i bodaj że należy stwierdzić, iż takiej ścisłej definicji nikt jeszcze podać nie potrafił.

Biorę do ręki jedno z klasycznych wydawnictw, a mianowicie „Słownik techniczny i krytyczny filozofii“ (*Vocabulaire technique et critique de la philosophie*), wydany przez francuskie towarzystwo filozoficzne

w opracowaniu A. Lalande'a przy współpracy najwybitniejszych filozofów współczesnych. Pod wyrazem *Naród* (*nation*) znajduję tekst następujący: „A. Zespół wszystkich obywateli stanowiących Państwo, uważanych jako ciało społeczne i w przeciwstawieniu do rządu. B. Synonim narodowości“.

Rzecz oczywista, że definicja A. zupełnie nie odpowiada pojęciu narodu. Pochodzi to stąd, że język francuski pod słowem *nation* rozumie zarówno to, co w języku polskim nazywamy „narodem“ i „ludem“. Cytata powyższa dotyczy jedynie treści słowa „lud“.

Szukajmy więc, co nasz słownik mówi o *narodowości* (*nationalité*). Tu również znajdujemy dwie definicje: „A. Charakter prawny posiadany przez wszystkich jako obywateli lub poddanych Państwa. B. Grupa społeczna związana przez wspólność rasy lub conajmniej cywilizacji, tradycję historyczną, wspólne aspiracje (nawet wówczas, gdy grupa ta nie tworzy Państwa).“

Ciekawe jest znaczenie ściśle prawniczej formułki A.

Z tego punktu widzenia autor słów niniejszych podczas swoich paryskich studiów uniwersyteckich sprzed wojny był stale meldowany przez policję francuską jako „*un russe*“, Rosjanin, pochodził bowiem z byłego zaboru rosyjskiego i nie było sposobu wytłumaczenia władzom francuskim, że przynależność państwowa nie stanowi o narodowości.

Przejdźmy jednak do definicji B., która pragnie w niewielu słowach podać ścisłe określenie narodu. Uderza nas odrazu, że definicja jest zbyt szeroka. Weźmy dla przykładu niewątpliwą grupę społeczną, jaką stanowi np. rodowa arystokracja polska. Cechuje ją wspólność rasy i cywilizacji, tradycja historyczna, bardzo mocno uwiódczniona, na pewno wspólne aspiracje — a przecież nie

stanowi ona narodu. Te zbyt szerokie ramy definicji stanowią jej błąd poważny.

Wspólność rasy? Ale znamy narody rasowo niejednolite. Istnieje na pewno współcześnie naród egipski, a przecież skład jego rasowy jednolity nie jest, zawiera bowiem elementy semickie i chamickie. Poco zresztą szukać tak daleko, gdy w sąsiadującej z nami Rosji znajdziemy przemieszanie rasy indoeuropejskiej z mongolską. I z tradycją historyczną nie jest lepiej. Wszakże zarówno Prusacy jak i Austriacy stanowią zarówno naród niemiecki, choć dziejowe ich tradycje są zgoła odmienne, a żadnego narodu austriackiego nigdy nie było i dziś nie ma. Po prostu jeden i ten sam naród zbudował sobie dwa państwa, które ostatnio scałkowały się w jedno. Definicja „Słownika“ słusznie nie wspomina o wspólnym języku, albowiem znamy narody o wspólnej świadomości narodowej, posługujące się różnymi językami. Klasycznym przykładem takiego narodu są Szwajcarzy, jak wiadomo trójjęzyczni (niemiecki, francuski, włoski), posiadający bardzo mocne poczucie przynależności do tego samego narodu. Przykładów takich dałoby się znaleźć więcej (np. Baskowie, Gaskończycy i Normandczycy we Francji).

Słuszne jest zastrzeżenie, że naród może nie tworzyć państwa. Tu przykład stanowią Żydzi, będący niewątpliwie narodem, a nie posiadający od wieków własnego państwa, ani nawet własnego terytorium i wspólnego języka, część z nich bowiem za język narodowy uważa żargon, część hebrajski, zaś Żydzi zachodnio-europejscy używają potocznie języków tych państw, w których zamieszkują.

Wydaje się, że wspólne aspiracje, o których definicja wspomina, stanowią może najistotniejszą cechę narodu. Trudno bowiem mówić o wspólnym poczuciu narodowym tam, gdzie uświadomienie tych aspiracji nie objęło szerokiej mas ludzkich.

Wobec wszystkiego powyższego najlepiej będzie nie definiować pojęcia narodu. Załóżmy raczej, że słowo *naród* mówi samo za siebie, że posiada treść określoną, acz z powodu jej niezwykłego bogactwa trudną do oddania w niewielu słowach.

I wróćmy do stwierdzenia, któreśmy niedawno zrobili, że ojczyzna jest własnością narodu.

Ktokolwiek posiada jakąś własność, musi ustalić do niej swój stosunek. Można ją zmarnować i roztrwonić, można, jak skąpiec, zamknąć ją w lochach i pilnować jej bezpieczeństwa; można wreszcie starać się ją powiększyć, wzbogacić, uczynić z niej warsztat twórczej pracy, rozszerzyć jej zasięg na nowe dziedziny.

Z historii znamy przykłady stosunku narodów do swych ojczyzn. Znamy narody, które ojczyznę swą przemarnowały i z jej utratą same przestały istnieć; znamy takie, które wegetując na niej przez długie stulecia utraciły wszelką zdolność czynu i, pozornie za wszelką cenę broniąc dorobku przodków, odgradzając się od wszystkiego co stanowi otaczającą rzeczywistość, zmartwiały w ustalonym obyczaju i zatraciły wszelką siłę ekspansji; znamy wreszcie takie, które umiały czynnie ustosunkować się do wciąż nowego życia i, żywe i zdobywcze, rozszerzać jej fizyczne i duchowe granice.

Pomińmy pierwszą postawę — jest ona równoznaczna z zamieraniem narodu. Biorąc z grubsza może nie bardzo ściśle, ale w swej istocie prawdziwie, stwierdzić możemy, że postawa druga prowadzi niemal w sposób nieunikniony do szowinizmu, który z kolei stanowi postawę politycznej doktryny nacjonalizmu, postawa zaś trzecia wyładowuje się na płaszczyźnie życia politycznego w postaci sił i tendencji o charakterze zdobywczym.

W pierwszej chwili przeciwstawienie postawy nacjonalistycznej i zdobywczej może się wydawać rzeczą nie-

śluszną. Sądzę, że wielu czytelników wyobraża sobie raczej, że zdobywcze, ekspansywne a nawet zaborcze momenty cechują przede wszystkim nacjonalizm. Kto tak sądzi tkwi w bardzo głębokim błędzie. Nacjonalizm, na szowinizmie oparty, nie otwiera dróg czynowi ludzkiemu; wprost przeciwnie, istota jego polega na tym, iż stawia nieprzebyte bariery narodowi, że odrzucając wszystko, co nie jest już osiągniętym stanem posiadania, co w chwili aktualnej leży na peryferiach ojczyzny i na peryferiach narodu, zamyka ojczyznę ściśle w granicach dnia dzisiejszego, nie widząc i nie chcąc widzieć jej możliwości jutrzejszych.

Z szowinizmu pochodzący nacjonalizm polski będzie się przeciwstawiał wszystkiemu, co uważa za niepolskie, dopatrując się ustawicznie niebezpieczeństw wszędzie tam, gdzie coś niepolskiego ujrzy.

Jest w tym stanowisku coś z wiecznego niepokoju o posiadane skarby; jest ustawiczna obawa, że oto ktoś może te skarby ukraść, jest lęk obcych zakusów i z tego lęku wynikające odcięcie się nieprzebytymi zaporami od wszystkiego, co się za obce uważa. Nacjonalizm jak skąpiec, rozgląda się z przerażeniem naokoło, że oto chcą go okraść i zrabować — i wysila swą energię na budowanie chińskich murów izolujących polskość od całej niepolskiej rzeczywistości. Sądzi, że polskość dopiero tak sztucznie izolowana będzie mogła rozwijać się, wzrastać i potęgnić.

Myli się głęboko i tragicznie. Naród nie znosi zamkniętych przestrzeni, nie wytrzymuje cieplarnianej atmosfery sztucznej izolacji. Naród albo rozszerza swoją ojczyznę, wnosząc w życie pierwiastki bohaterskie i zdobywcze, albo sądząc, że jest zamknięty w bezpiecznych granicach swojszczyzny, kurczy swoje możliwości, traci na sile i zamiast wzbogacać, zuboża żywą treść swej ojczyzny.

Nasza własna historia, niezawodna mistrzyni życia, daje nam żywe przykłady czym jest prawdziwa zdobywczość. Polacy czasów Jagiellonów nie obawiali się dać wszystkich przywilejów swoich obcym językowo i kulturalnie Litwinom, Rusinom, czy Prusakom; nie obawiali się, że polskość poniesie w związku z tym jakikolwiek uszczerbek, wierzyli bowiem w atrakcyjną siłę duszy polskiej i mieli po stokroć rację. Unia rozszerzyła nie tylko fizyczne granice polskiej ojczyzny, ale również treść polskiej duszy, wzbogacając ją o nowe pierwiastki duchowe, które, stopione z rdzeniem polskimi, dały nam wielki szereg statystów, poetów i wodzów.

Dzisiejszy ciasny nacjonalizm, będący w naszych warunkach smutnym owocem niewoli, która zawsze dać może jedynie postawę obronną, lęka się Żydów, Ukraińców, Białorusinów, Niemców, żyjących w granicach państwa polskiego, truchleje przed własnymi obywatelami niepolskiej narodowości, i w drodze odseparowania się od ich wpływów, jakieś specjalnej opieki dla ludności polskiej, odrębnego nawet ustawodawstwa dla mniejszości, próbuje „uratować” polskość przed ekspansją żydowską czy ukraińską. Czyż w takim stanowisku nie widać wyraźnie słabości, obawy, lęku? Czy czuć w nim coś innego, niż niewiarę w siłę, rozmach, twórczą inwencję elementu polskiego? Czyż wszelkie ekscesy antysemickie, sprzeczne z prawem, kulturą i dobrymi obyczajami nie są po prostu wyrazem strachu, nie są wyrazem braku wiary we własną siłę?

Trzeba odróżniać silne, uświadomione, ofiarne poczucie swej przynależności narodowej od nacjonalizmu, jako doktryny politycznej, albowiem dwie te rzeczy znaczą bynajmniej nie to samo. Między patriotyzmem a nacjonalizmem zachodzi zasadnicza różnica, o której w naszych czasach zbyt łatwo się zapomina. Posłuchajmy co o tym

mówi znakomity publicysta i polityk, niedawno zmarły Wojciech Stpiczyński. Oto jego słowa:

„Patriotyzm wzrasta wraz z pogłębieniem się uczuciowych związków obywatela z duchową treścią i dziejami jego własnego narodu oraz budzeniem się poprzez miłość pragnienia ofiarnej dlań służby. Nacjonalizm krzepnie w ogniu wzmagającej się nienawiści do świata zewnętrznego względem danego narodu i może się doskonale obywać bez rzeczywistego patriotyzmu. Stąd pierwszy jest z natury swojej uczuciem przyciągającym i jednoczącym odmienne elementy rasowe i kulturalne, drugi niszczącym więź wspólnoty między nimi. Patriotyzm jest właściwy narodom mającym wysokie poczucie wartości własnej, nacjonalizm rozwija się w narodach o utajonym kompleksie niższości względem innych, osłanianych tumanem nienawiści. Patriotyzm poszukuje sposobów powiększenia duchowego i materialnego bogactwa własnego narodu, nacjonalizm zaś coraz nowych wrogów. Może się oczywiście zdarzyć, że w walkach z tymi „wrogami“ wyczerpie on siły własnego narodu i narazi go na sprowokowane przez siebie niebezpieczeństwa“ („Świat i Życie“, tom III).

Ten końcowy akcent przetrogi w słowach Stpiczyńskiego nie jest pustym frazesem, jakby się to niejednemu mogło zdawać.

Niebezpieczeństwa nacjonalizmu są liczne i groźne. Nacjonalizm obniża poczucie własnej wartości narodu, w zarodku niszczy wszelką dalej sięgającą myśl polityczną, stwarza nieprzebyte bariery między własnymi obywatelami, usposabiając ich wrogo nie tylko w stosunku do narodu polskiego, ale i do polskiego państwa. Mobilizuje siły narodu w kierunku fałszywym i z interesem państwa sprzecznym, tworząc w sposób nieunikniony i fatalny zorganizowany opór innych niż polska

narodowości, który siłą rzeczy zwrócić się musi przeciw państwu.

Nacjonalizm w zaślepieniu, spowodowanym nienawiścią, nie widzi, że oprócz narodu istnieje państwo, najwyższe wspólne dobro wszystkich obywateli, jak to czytamy w tekście obowiązującej dziś konstytucji.

ROZDZIAŁ XII

Naród może pracować, żyć, tworzyć jedynie wówczas, gdy posiada własne państwo. W przeciwnym razie możliwości jego są w niesłychanym stopniu skurczone a nadto grożą mu rozliczne niebezpieczeństwa, którym przeciwstawiać się skutecznie jest niezmiernie trudno, a niekiedy niepodobna. Znamy wszyscy straszne przykłady tego, czym stać się może dla narodu utrata niepodległości państwowej. Gdy państwo upada, naród albo idzie w rozsypkę, albo zatracą swoją indywidualność narodową i asymiluje się z najeźdźcą, albo wreszcie — i to w najlepszym wypadku — pędzi życie w ucisku i niewoli, bez możności rozwojowych, w warunkach demoralizujących i upadających.

Naród polski może być dumny, że w ciągu długoletniej niewoli nie zatracił swojej narodowej duszy, ale niemniej spustoszenia duchowe, jakim w ciągu z górą stulecia uległ, były straszliwe, możliwości zaś kulturalne, polityczne i gospodarcze zahamowane lub uniemożliwione.

Jeśli konstatujemy jeszcze u nas niski poziom oświaty, biedę, brak dostatecznej kultury pracy zbiorowej, wciąż niedostateczną tradycję życia państwowego — to wszystko to jest dla tego, że do niedawna o naszych losach decydowaliśmy nie my, ale decydowali obcy. Zaległości w stosunku do wolnych narodów mamy ogromne i najbardziej wytężona nasza praca nie potrafi ich w krótkim czasie odrobić.

Na dobro narodu polskiego w czasie lat niewoli trzeba zapisać ustawiczną walkę o wyzwolenie. Nie zawsze i nie wszędzie intensywność jej była dostateczna; wiele było bierności, tchórzostwa i beznadziejnych z założenia prób

pogodzenia się z zaborcami za cenę tych czy innych ulg w prześladowaniach, jakich nam nie szczędzono; ale przecież mamy za sobą powstanie Kościuszkowskie i legiony Dąbrowskiego, udział w wojnach Napoleona aż po 1814 rok, powstanie 31 roku, próby roku 46-go i 48-go, rok 1863-ci, lata walki rewolucyjnej początku XX-ego wieku, wreszcie ruch niepodległościowy i Legiony Piłsudskiego, stanowiące załazek armii narodowej, której zwycięstwa lat 1919 i 1920 przywróciły nam niepodległość polityczną.

Słyszysz się niekiedy, że nasze powstania narodowe były zgoła bezcelowe, albowiem kończyły się jeszcze większym, niż dawniej, uciskiem i prześladowaniami wszystkiego, co polskie; są tacy, co idą jeszcze dalej, przypisując tym, co powstania wywoływali, zgoła zbrodnicze zamiary. Jest rzeczą niepojętą, w jaki sposób można dojść do równie potwornych konkluzji. Nie co innego, jak właśnie powstania narodowe utrzymywały na poziomie życia to, bez czego żaden naród trwać i rozwijać się nie może: ducha bohaterstwa, ofiary i poświęcenia, budującego tradycję niezastąpioną żołnierskiej pracy i żołnierskiego wysiłku.

Najmniejszej wątpliwości nie ulega, że gdyby nie te wspańskie choć nieudane porywy, nie tylko bylibyśmy ubożsi w naszych dziejach o znamię wielkości, ale samo odzyskanie niepodległości jak również sprawa naszych granic państwowych mogłyby się dziś przedstawiać znacznie gorzej, niż to za naszej pamięci miało miejsce. Wielka wojna, która stworzyła dla nas warunki pozwalające na odzyskanie bytu państwowego siłą orężną, otworzyła wrota dziejów dla żołnierza polskiego; ale sam byt państwowy wywalczony został krwawą pracą tego żołnierza, który w właściwym momencie zjawiał się na polu walki i sprawę na rzecz Polski definitywnie przesądził. Można słusznie myśleć, że właśnie powstania narodowe zachowały w sumieniu narodu ciągłość tradycji

żołnierskiej i że bez tej tradycji zmęczony, wyniszczony czteroletnią wojną światową naród nie zdobyłby się na jeszcze dwa lata krwawych rozpraw z trzema wrogami.

W innych, szczęśliwszych społeczeństwach, cieszących się nieprzerwanym przez długi ciąg stuleci niezależnym bytem politycznym, praktycznie biorąc nie istnieje żadna rozbieżność między narodem a państwem. Naród nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić, w jaki sposób można by nie mieć własnego państwa — i tam nie ma miejsca na przeciwstawienie jednego pojęcia drugiemu.

U nas jest nieco inaczej, i tłumaczy się to właśnie skutkami niewoli. W ciągu z górą stulecia, w ciągu którego nie figurowaliśmy na mapie świata, pojęcie narodu nie zdążyło zatracić w psychice zbiorowej społeczeństwa swoich cech istotnych; natomiast tradycje państwowe uległy w znacznym stopniu zapomnieniu, względnie skurczyły się i osłabły, jak słabną niećwiczone mięśnie ciała.

Tak dalece przestano myśleć o własnym państwie, że z chwilą, gdy ono powstało, nie umiano się do niego ustosunkować inaczej, jak do państwa obcego. I stało się, że w dość szerokich kołach nawet naszej inteligencji, cóż dopiero warstw mniej oświeconych, stosunek do własnych organów państwowych stał się niemal nieżyczliwy, w najlepszym razie obojętny, a niekiedy wprost wrogi.

Przykładów tego smutnego stanu rzeczy można by przytoczyć mnóstwo. Weźmy tak elementarny obowiązek państwowy, jak płacenie podatków. Ci sami ludzie — a najczęściej dotyczy to ludności zamożniejszej, — którzy bez wahania, w wyznaczonych terminach płacili podatki skarbowym władzom zaborczym, w niepodległej Polsce zaczęli odczuwać ten obowiązek, jako coś zbyt ciężkiego i wszelkimi godziwymi i niegodziwymi środkami wykręcali się od uiszczania należności, przez prawo przewidzianych.

Gdy dawniej rządy zaborcze budziły respekt na strachu oparty, u nas w pierwszych zaraz latach po uzyskaniu niepodległości cały szereg nie tylko osób prywatnych, ale nawet potężnych organizacji politycznych, ustosunkował się do Rządu, jak do jakiegoś dziwnego kontrahenta, który musiał partiom i ich przywódcom czynić znaczne świadczenia w zamian za to, że partie i ich kierownicy pozwalały mu łaskawie rządzić. Nie co innego, jak ten niemoralny stosunek do Państwa, zmusił Marszałka Piłsudskiego do majowej rewolucji 1926 roku, do odebrania partiom sejmowym decydującego wpływu na aparat wykonawczy państwa i uniezależnienia rządu od ugrupowań partyjnych, żerujących na żywym ciele Polski.

I przykład najjaskrawszy. Gdy niepoczytalny szaleńiec zamordował pierwszego w majestacie prawa obcego Prezydenta Rzeczypospolitej, znalazły się już nie tylko jednostki, ale znalazł się cały obóz polityczny, który dał tej zbrodni moralną aprobatę. Był to właśnie ten sam obóz, którego przywódcy w Dumie rosyjskiej na początku wojny uchwalali adresy wiernopoddane dla cara. Taka była różnica w stosunku do głowy państwa własnego i głowy państwa zaborczego.

Trzeba o tych ciężkich rzeczach mówić i pisać, aby uczynić sumienia polskie wrażliwszymi na sprawy państwowe i ustalić do nich uczciwszy i rzetelniejszy stosunek ogółu obywateli. A przede wszystkim trzeba, aby młodzież nie tylko rozumowo pojęła, co znaczy dla narodu posiadanie własnego państwa, ale żeby zagadnienie stosunku obywatela do państwa uczyniła sprawą serca i sumienia, bo podstawy życia i pracy państwowej są podstawami przede wszystkim moralnymi i na moralności życia obywatelskiego są oparte. Gdy ta moralność się obniża — państwo słabnie; gdy przestaje istnieć, państwo musi upaść.

Przykłady historyczne w sposób najbardziej niezaprzeczalny mówią nam o tym. Tak upadły Grecja i Rzym, tak upadła swojego czasu i Polska. I jeśli cudem niemal, dzięki szczęśliwym zbiegom okoliczności i krwi, przez polskiego żołnierza przelanej, powstałiśmy znowu do życia, jako naród już niepodległy, to baczyć musimy ustawicznie i pilnie na te właśnie podstawy moralne naszego państwa.

Ile razy spotykam się z przeciwstawieniem sobie narodu i państwa — a spotykam się z tym niestety bardzo często w rozmaitych organach prasowych — tylekroć konstatuję, że mamy tu do czynienia z pozostałościami okresu niewoli tego samego rodzaju, co przytoczone wyżej przykłady niemoralnego stosunku obywatela do Państwa. Gdy swojego czasu postawione zostały z oficjalnej trybuny sejmowej wytyczne państwowego wychowania młodzieży, spotkało się ono z protestem znacznej liczby polityków, publicystów a nawet wychowawców, którzy żądali kategorycznie od ministra oświaty nie żadnego wychowania państwowego, ale po prostu wychowania narodowego.

Mniejsza o to, że ci panowie nie byli w stanie zrozumieć, na czym wychowanie państwowe polega — widocznie zagadnienie było dla nich zbyt trudne; ważniejsze jest to, że wychowanie narodowe usiłowali temu niezrozumiałemu dla nich wychowaniu państwowemu *przeciwstawić*. Jest to rzecz dla Anglika lub Francuza zupełnie niemożliwa. Tam każdy rozumie, że jednym z naczelnych zadań wychowawczych jest przysposobienie młodzieży do świadomego udziału w życiu zorganizowanego społeczeństwa; a zorganizowane społeczeństwo w całości terytorialnej i etnicznej nie ma innej formy życia, jak życie w państwie. U nas tak proste, tak elementarne rzeczy nie dla wszystkich są jeszcze jasne.

Czyż trzeba mówić, że interesy państwa i interesy narodu nie mogą być rozbieżne? Czyż trzeba udowadniać, że wszystko, co się składa na pojęcie narodu, a więc jego zwartość, solidarność, jego właściwości duchowe i fizyczne, jego kultura duchowa, jego stan moralny, jego energia, wytrwałość, pracowitość, jego uzdolnienia, tradycja — wszystko to jest materiałem, z którego nie kto inny jak właśnie państwo czerpie żywotne soki? Trzeba być głęboko zatrutym wyziewami niewoli, aby nie móc tego zrozumieć.

Wiemy wszyscy, czym jest wszelka organizacja społeczna. Powstaje zawsze dla osiągnięcia pewnych określonych celów, w imię tych celów jednoczy swoich członków w harmonijnej współpracy, nakładając na nich pewne niezbędne obowiązki oraz dając im w zamian określone uprawnienia. Aby nie było przykrych nieporozumień między członkami organizacji oraz dla ustalenia z góry przepisane go porządku, bez którego żadna organizacja istnieć nie może, konieczny jest zawsze statut, ujmujący w krótkich słowach zasadnicze podstawy, na których praca w organizacji się opiera, a więc właśnie określający cel, jaki dana instytucja pragnie uzyskać, wskazujący metody, temu celowi odpowiadające, określający ustrój władz i należytej wewnętrznej kontroli, źródła środków pieniężnych, potrzebnych dla pracy organizacyjnej, wreszcie sposób powoływania i pracy sądów, rozpatrujących nieporozumienia między członkami.

Posiadamy w Polsce niezwykle wielką ilość organizacji społecznych i każda opiera się na takim statucie, rejestrowanym u władz administracyjnych państwa.

Im organizacja jest liczniejsza, im większe i trudniejsze do osiągnięcia cele sobie wyznacza, tym staranniej zbudowany, głębiej pomyślany musi być jej statut. Wszak ma on regulować wszystkie sprawy, wynikające z przy-

należności do organizacji jej członków i ustalać wytyczne pracy stowarzyszenia.

Rzecz jasna, że statuty stowarzyszeń społecznych bardzo się od siebie różnią; inaczej wygląda statut klubu towarzyskiego, którego celem jest zapewnienie swym członkom miłego i kulturalnego spędzenia czasu, inaczej statut organizacji wychowawczej, jak np. Harcerstwa lub Straży Przedniej, inaczej wielkie stowarzyszenie o doniosłych celach ogólnopaństwowych, jak Czerwony Krzyż lub L. O. P. P. czy F. O. M., zupełnie wreszcie inaczej stowarzyszenia o celach gospodarczych, jak np. wielka spółka akcyjna, której celem jest budowa i eksploatacja zakładu przemysłowego lub handlowego.

We wszystkich tego rodzaju instytucjach współudział jest dobrowolny: dany obywatel zgłasza swój akces do organizacji, gdyż łącznie z innymi współobywatelami chce brać udział w realizacji celu, wskazanego przez statut czy to ze względu na ideowy jego charakter, czy też pragnąc uzyskać tą drogą te lub inne korzyści materialne. W ten sposób drogą współdziałania większej ilości ludzi osiąga się poważne rezultaty, których człowiek nie zrzeszony sam nie byłby w stanie uzyskać.

Istnieją jednak związki, różniące się od powyżej wzmiankowanych rzeczą bardzo istotną, nadającą zgoła inny charakter takim instytucjom, a mianowicie przymusową przynależność do nich pewnych grup obywateli. Takim związkiem jest np. przymusowe ubezpieczenie od ognia w stosunku do wszystkich właścicieli budynków, którzy z samego prawa pod grozą sankcyj karnych muszą uczestniczyć w związku, mającym na celu przeciwdziałanie jednej z zasadniczych klęsk żywiołowych. Takim związkiem zupełnie innego typu jest gromada lub gmina, do której należą przymusowo wszyscy jej stali mieszkańcy.

Nie trudno zrozumieć, dlaczego społeczeństwo uznało za słuszne tak znaczne skrępowanie swobody obywateli. Przymusowa przynależność do związków usprawiedliwiona jest bardzo poważnymi względami dobra powszechnego, co w każdej ze wspomnianych instytucji jest w oczywisty sposób widoczne. Wchodzi tu w grę wspólny interes tak żywotny i tak nie ulegający żadnej wątpliwości, że usprawiedliwia całkowicie ograniczenie w pewnym stopniu swobody ludzkiej.

Największym, najbardziej zasadniczym związkiem tego właśnie rodzaju jest organizacja państwowa. Jej statutem, jej podstawową ustawą organizacyjną jest konstytucja.

Konstytucje powstają w bardzo rozmaity sposób. Zdaje się, że narastają niejako organicznie, przez kolejne akty ustawodawcze, powoli i systematycznie, niejednokrotnie w ciągu stuleci, regulując w miarę zachodzącej potrzeby stosunki wewnętrzne kraju. Klasyczną konstytucją tego rodzaju jest konstytucja angielska, składająca się nie tylko z szeregu bardzo niekiedy starych ustaw, ale i nie ujętych w formę prawniczą zwyczajów, tradycyjnie zarówno przez ludność, jak i przez władze państwowe szanowanych. Możliwe jest to w państwach o dużej sile tradycji, u narodu konserwatywnego, szanującego obyczaje przeszłości i nie lubiącego nagłych przewrotów w życiu publicznym.

Inaczej rzecz się ma w państwach młodych, które w chwili swego powstania nie posiadając żadnych określonych i ustalonych form pracy państwowej, zmuszone są w drodze ad hoc spreparowanej ustawy ująć całość przepisów stanowiących zasadniczy zrąb struktury państwowej. W takiej sytuacji swojego czasu znalazł się szereg państw na nowo powstałych lub wskrzeszonych do ponownego życia, jak Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa, Czechosłowacja, Polska.

I wreszcie kontytucja może powstać w drodze jeszcze innej w chwilach, w których państwo przechodzi głębokie wewnętrznie wstrząsy, a więc w drodze rewolucyjnej. Takie były kolejne konstytucje francuskie końca XVIII stulecia, taką była pierwsza konstytucja sowiecka w Rosji z 1918 roku, żeby wspomnieć tylko o tych dwóch krajach.

Polska należy do drugiej wspomnianej przez nas grupy krajów. Konstytucja jej, uchwalona w dniu 17 marca 1921 roku, a więc natychmiast po zakończeniu wojny z Rosją Sowiecką, nie mogła oprzeć się na własnej tradycji życia państwowego, przerwanej przez katastrofy dziejowe końca XVIII i początków XIX wieku.

Oparła się więc na wzorach obcych, ustalonych przez obyczaj polityczny, i na doświadczeniach obcych ustalić usiłowała rzecz w każdej konstytucji najważniejszą, jaką jest stosunek obywatela do państwa.

Streśmy pokrótce, jak to zagadnienie wygląda w świetle historii ostatnich dwóch stuleci, a następnie przyjrzyjmy się temu rozwiązaniu, które znalazł dla niego w Polsce Marszałek Piłsudski. Bowiem obowiązująca obecnie konstytucja z dnia 23 kwietnia 1935 roku jest niewątpliwie testamentem ustrojowym i ideowym Wielkiego Marszałka.

Pojęcie obywatela *) we współczesnym znaczeniu tego wyrazu jest pojęciem w stosunku do całości dziejów ludzkości bardzo niedawnym. Pod koniec wieku XVIII rewolucja francuska formułuje pewien ideał obywatela — od tego czasu aż po wiek XX toczy się walka prowadzona w imię tego ideału z ówczesnym czynnikiem państwowym.

*) Cały ten ustęp do końca rozdziału był umieszczony w wydawnictwie encyklopedycznym „Świat i Życie“ pod tytułem „Obywatel“.

Punktem wyjścia mężów stanu, głoszących w imię tego ideału prawa człowieka i obywatela, były żądania wolnościowe: możliwie jak największa swoboda jednostki ludzkiej, zagwarantowanie jej niezależności od czynników przymusu, jakim w historii było państwo, względnie kościół. Po upadku Napoleona najpotężniejsze mocarstwa kontynentu Europy (Austria, Rosja, Niemcy) przeciwstawiły się ostro zdobyczom rewolucji francuskiej. Po szeregu jednak rewolucyj, kolejno po sobie następujących w różnych krajach, hasła rewolucyjne w zwycięskim pochodzie ogarniały coraz to więcej państw. Hasła wolności obywatelskiej realizowały się następnie już drogą ewolucyjną, znajdując swój najpełniejszy wyraz w demokracji parlamentarnej, który to system polityczny objął większość państw świata cywilizowanego w czasach przedwojennych.

Władzą zwierzchnią w koncepcji parlamentarnej jest lud; każdy z ludu ma równe prawa polityczne i osobiste; każdy jest równy wobec prawa, każdy ma gwarancję ochrony przed zachłannością władzy państwowej. Władza zwierzchnia powoływana jest przez obywateli na drodze aktu wyborczego. Podstawą całej tej koncepcji jest wiara w to, że oparcie naczelnej władzy na akcie swobodnego wyboru ludności da najlepiej i najsprawiedliwiej zbudowany organizm państwowy.

Tej zasadzie ultrademokratycznej przeciwstawiła się przedrewolucyjna zasada hierarchii i zwierzchnictwa, znajdująca swój pełny wyraz w monarchii absolutnej. Monarchia absolutna załamała się ostatecznie na początku XX wieku, gdy pod ciosami rewolucji rosyjskiej w 1905 roku ugiął się carat moskiewski. Czasy bezpośrednio powojenne były triumfem zasady wolnościowej; obalono wówczas najpotężniejsze monarchie (Austria, Niemcy, Rosja), a ponadto powstał szereg rzeczypospolitych (Pol-

ska, Czechy, Litwa, Łotwa, Estonia, Finlandia) o najbardziej wolnościowych konstytucjach.

Obywatel we współczesnym znaczeniu tego wyrazu jest pełnoprawnym członkiem społeczeństwa; cieszy się on gwarancjami niczym nie skrzepowanej wolności, wywiera przez swoje uprawnienia polityczne wpływ na ustroj i rządy państwa, bierze udział w samorządzie terytorialnym, gospodarczym i zawodowym, rozporządza wolnością zrzeszania się, wolnością pracy, strajku, słowa, korzysta z wolności sumienia, z równouprawnienia narodowościowego, a nadto ma prawo żądać od państwa całego szeregu uprawnień, związanych z jego bezpieczeństwem, a więc wymiaru sprawiedliwości, obrony życia i mienia, obrony przed wrogiem zewnętrznym; obywatel ma wreszcie prawo do wykształcenia w zakresie szkoły powszechnej, do ubezpieczeń społecznych itd. Obywatel przez wybranych przez siebie delegatów ustanawia w przedstawicielstwie narodowym prawa dla całego państwa, kontroluje władze urzędowe, może je obalać.

W ten sposób całość uprawnień obywatela sprawia, iż staje się on czynnikiem w państwie decydującym. W zamian obywatel winien płacić podatki, przestrzegać obowiązujących ustaw oraz w razie potrzeby z bronią w ręku bronić swego państwa przed zaborcą.

Tak szeroko pomyślane swobody obywatelskie spełniały swą rolę w czasach względnej stabilizacji gospodarczej i politycznej, aczkolwiek i wówczas odzywały się głosy podające w wątpliwość siłę struktury państwowej, opartej na tak daleko idącej swobodzie.

Natomiast lata powojenne w całym szeregu państw wykazały, że w chwilach znaczniejszych trudności siła organizmu państwowego, opartego na systemie demokracji parlamentarnej, zarówno w stosunkach wewnętrznych, jak i zewnętrznych, staje się zbyt słaba, by sprostać wzmo-

żonym obowiązkom chwili. W szczególności w krajach, które uległy znaczniejszym wstrząsom, zagadnienie innej struktury państwowej musiało wysunąć się na plan pierwszy. Stało się to w tych państwach, gdzie czysto wewnętrzne, czy zewnętrzne trudności wymagały dla sprostanania zasadniczym celom państwowym planowego, jednolitego i skoordynowanego działania. W rezultacie kraje te przekreśliły polityczne swobody obywatelskie i zdecydowały się na drogę skrajnie różną: na powrót do zasad hierarchii, bezapelacyjnego posłuszeństwa wobec władzy państwowej, połączonego z bezwzględnym terrorem wobec politycznie opornych. Najbardziej jaskrawymi przykładami są tu Związek Sowiecki, Włochy i Niemcy, aczkolwiek w szeregu innych państw następują analogiczne zjawiska (Turcja, Jugosławia). W rezultacie mamy do czynienia z systemem dyktatur w sposób bezwzględny przeprowadzających swą państwową wolę w oparciu o wszechwładzę wielkich, na autorytecie i hierarchii zbudowanych partij politycznych, które sobie wywalczyły przywilej monopolu. W tych systemach państwowych polityczne prawa obywatelskie zarezerwowane są niemal wyłącznie dla członków monopolistycznej partii rządzącej, do której zresztą dostęp nowych członków jest ograniczony. Swobody polityczne, a nawet osobiste reszty obywateli są w znacznym stopniu ograniczone; pewne środowiska, czy to ze względu na swoją przynależność klasową czy rasową, są nawet prawnie upośledzone.

Rzecz oczywista, że mamy tu do czynienia z bardzo daleko idącym zerwaniem z zasadami głoszonymi przez rewolucję francuską, Prawa obywatelskie, wywalczone na wszechpotężnym państwie w ciągu z górą stulecia zmagających się, zostały przekreślone przez wzmagającą się wszechwładzę państwa, która przy przeprowadzeniu swych celów nie liczy się z indywidualnością ludzką,

wprzegając ją w sposób bezwzględny i brutalny w orbitę swych działań.

Prawa obywatelskie są niewątpliwie wyrazem głęboko w świecie cywilizacji europejskiej zakorzenionej wiary w głębsze i istotniejsze znaczenie indywidualności ludzkiej, dla której swoboda jest zasadniczym warunkiem rozwoju. Swoboda jednostki jest jej sprawą indywidualną; władza państwowa pragnie reprezentować interes zbiorowy. Rozbieżność interesów jednostkowych, odśrodkowość ich dążeń jest czynnikiem mogącym łatwo iść wbrew interesom zbiorowym, a tym samym w chwilach trudnych uniemożliwić danie wyrazu zbiorowej woli, a nawet całkowicie ją unicestwić.

Z tego punktu widzenia system dyktatury osoby lub partii próbuje szukać racji swego istnienia w jednolitości, zwartości i sile zbiorowej woli, służącej najwyższym celom klasy (Sowiety), narodu (Włochy), rasy (Niemcy) i realizującej dziejowe przeznaczenia klasy, narodu lub rasy. Koncepcji niekrępowanej swobody indywidualnej przeciwstawia się tu ogrom dzieła historycznego; dzieło to może być zrealizowane tylko przy udziale świadomego, silnego kierownictwa opierającego się na autorytecie i posłuchu, oraz w tym celu wykorzystującego cały wpływ aparatu państwowego, co zapewnia planowość i celowość, szybkość i skuteczność działania.

Świat cywilizowany przechodzi więc obecnie głęboki kryzys ustrojowy. Szereg państw wielkich, a niekiedy nawet przodujących w kulturze świata, dąży do wszechwładzy państwa, lekceważąc w znacznym stopniu interes jednostki. Wiele innych państw pozostało natomiast przy wolnościach obywatelskich przeciwstawiając się tendencjom dążącym do przewagi czynnika państwowego nad interesem wolności jednostki.

Prawa obywatelskie w konstytucji polskiej z 17 marca

1921 r. nie odbiegały od najbardziej wolnościowych norm, mających na celu zabezpieczenie obywateli od przemocy ze strony państwa. W warunkach naszej rzeczywistości geograficznej i politycznej ten na obcych wzorach oparty ustrój nie mógł się przyczynić do siły i zwartości państwa, dając niesłychane pole do nadużyć. Nadużycia te szły w dwóch kierunkach. Po pierwsze ugrupowania partyjne, reprezentujące z natury rzeczy interes grupy, a nie całości, uzyskiwały wpływ nadmierny, stawiając interes partii ponad interesem państwowym i ustosunkowując się do rządu z punktu widzenia korzyści własnej. Było to wszystko możliwe jedynie wskutek słabości rządu, wynikającej z konstytucyjnie uwidocznionej przewagi czynnika parlamentarnego nad rządzącym.

Po drugie, ponad autorytet głowy państwa i rządu wyrastały wpływy ludzi, którzy w grze politycznej wybijali się na czoło ugrupowań partyjnych; do swoich stanowisk dochodzili ci ludzie często tylko przez nieodpowiedzialną demagogię polityczną i społeczną oraz przez korzyści materialne, udzielane swoim adherentom drogą protekcji, a często korupcji państwowej.

Państwo więc było szarpane przez nieprzebiegające w środkach partii polityczne i korumpowane przez żerujących na jego organizmie przywódców, w których rękach znajdowały się potężne wpływy, często ustawą konstytucyjną nie przewidziane, a więc nie wiążące się z żadną odpowiedzialnością.

Temu stanowi rzeczy przeciwstawił się Marszałek Piłsudski przez swoje wystąpienie w maju 1926 r. W najkrótszym czasie po tzw. „przewrocie majowym” nastąpiła częściowa na razie zmiana konstytucji, w wyniku której prezydent Rzeczypospolitej uzyskał prawo rozwiązywania sejmu i senatu, co w znacznym stopniu zmniejszyło wszechwładną dotychczas rolę sejmu, a tym samym podkopało przewagę partyj.

Dopiero po dziewięciu prawie latach ostrej walki obozu Marszałka Piłsudskiego z opozycją partyjną uchwalona została nowa konstytucja z dnia 23 kwietnia 1935 r., która zasadnicze zagadnienie stosunku obywatela do państwa rozstrzygnęła ostatecznie w oparciu o nasze własne doświadczenia historyczne. Ustawodawca polski nie mógł się oprzeć wyłącznie na hasłach wolnościowych, których przerost grozić może spoistości, a nawet istnieniu państwa, nie poszedł jednakże śladami państw, rządzonych przez dyktatury i nie liczących się ze swobodnym rozwojem jednostki ludzkiej.

Zasadnicze idee konstytucji kwietniowej zawarte są w jej pierwszych dziesięciu artykułach, w tzw. dekalogu. Artykuł pierwszy konstytucji mówi:

„Państwo polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli. Wskrzeszone walką i ofiarą najlepszych swoich synów, ma być przekazywane w spadku dziedzicznym z pokolenia na pokolenie.

Każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmocnić siłę i powagę Państwa.

Za spełnienie tego obowiązku odpowiada przed potomnością swoim honorem i swoim imieniem“.

Artykuł ten stawia całość zagadnienia obywatelskiego na nowym zupełnie gruncie, na gruncie konieczności zbiorowego, ofiarnego wysiłku na rzecz największego wspólnego dobra, jakim jest państwo, oraz na gruncie odpowiedzialności za jego losy.

Państwu należy się zatem od obywatela odpowiedzialna, uczciwa i ofiarna praca.

W ramach Państwa i w oparciu o nie kształtuje się życie społeczeństwa. Państwo zapewnia mu swobodny rozwój, a gdy tego dobro powszechne wymaga, nadaje mu kierunek lub normuje jego warunki (art. 4).

A zatem życie społeczeństwa rozwija się w niczym nie

skrępowany sposób i dopiero, gdy w grę wchodzi dobro powszechne, czynnik podstawowy zaznacza swój wpływ przez skierowywanie rozwoju życia lub też przez normowanie jego warunków.

To samo dotyczy jednostki, której rola podkreślona jest bardzo silnie w dekalogu: „*Twórczość jednostki jest dźwignią życia zbiorowego. Państwo zapewnia obywatelom możliwość rozwoju ich wartości osobistych oraz wolność sumienia, słowa i zrzeszeń. Granicą tych wolności jest dobro powszechne*“ (art. 5).

Artykuł powyższy stwierdza wyraźnie, że Polska pozostaje wierna tym wielkim wytycznym, które wypracowała w swoim trudzie dziejowym kultura Zachodu w przeciwstawieniu do Wschodu, w którym jednostka ludzka, całkowicie podporządkowana zbiorowości i jej służbie, nie odgrywa wybitniejszej roli. W granicach zatem dobra powszechnego życie społeczeństwa i jednostki kształtuje się w atmosferze zupełnej wolności pod tym jedynie warunkiem, aby wolność ta nie wchodziła w kolizję z interesem Państwa, będącym wspólnym dobrem całego społeczeństwa. Aby to należycie uwydatnić, art. 6 konstytucji mówi, iż „*obywatele winni są Państwu wierność oraz rzetelne spełnianie nakładanych przez nie obowiązków. Tą drogą chce konstytucja „zespolic wszystkich obywateli w harmonijnym współdziałaniu na rzecz dobra powszechnego*“ (art. 9).

Jest wreszcie w dekalogu konstytucyjnym art. 7, dotyczący zasadniczego pojęcia równości obywateli. Konstytucja nasza pod każdym względem gwarantuje równość w stosunku do prawa wszystkich obywateli Państwa, niezależnie od pochodzenia, płci i narodowości. Natomiast, wspomniany art. 7 w swoim ustępie pierwszym głosi, iż *wartością wysiłku i zastug obywatela na rzecz dobra powszechnego mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne.*

Ustawodawca polski nadaje więc obywatelom bardziej zasłużonym w pracy nad dobrem powszechnym większe możliwości wpływania na sprawy publiczne. W ten sposób uprzywilejowani są ci, którzy wysiłkiem swym wybijają się powyżej poziomu przeciętności, wnosząc w życie zbiorowe większe, niż inni obywatele wartości. Uprzywilejowanie to jednak nie daje żadnych osobistych korzyści; polega ono jedynie i wyłącznie na możliwości wywierania przez człowieka zasłużonego znacniejszego wpływu na bieg spraw państwowych. Ta zasada konstytucyjna znalazła swój wyraz w ordynacji wyborczej do senatu; ordynacja ta orzeka, że wyborcami do drugiej izby są ci, którzy przez swe zasługi, wykształcenie lub zaufanie obywateli, w wysiłku swej pracy społecznej wybili się wśród reszty obywateli.

Obywatel w Państwie polskim cieszy się więc wszelkimi swobodami jako niezbędnym warunkiem rozwoju ludzkiej twórczości, będącej, jak to stwierdza konstytucja, dźwignią życia zbiorowego. Swobody te ograniczone być mogą jedynie przez wymagania dobra powszechnego, przy czym Państwo rozwojowi społeczeństwa może nadawać kierunek lub normować jego warunki. Środki przymusu stosuje tylko wówczas, gdy spotka się z działaniem sprzecznym z celami Państwa, wyrażonymi w jego prawach (art. 10).

Gwarantując równość wszystkich obywateli wobec prawa, Państwo polskie wyróżnia istotną zasługę pracy i wysiłku na rzecz Państwa, dając jej większy wpływ na kształtowanie się życia publicznego w Polsce.

Otoczając nadto swą opieką wszystkich zarówno obywateli, niezależnie od różnic wyznania, pochodzenia i narodowości, stwarza Państwo warunki dla swobodnego rozwoju jednostki ludzkiej i na wysokiej wartości tej jednostki pragnie oprzeć budowę społeczeństwa.

Tym samym rozwiązuje Polska w sposób istotny i głęboki zagadnienie stosunku obywatela do Państwa. W przeciwstawieniu do rządów absolutnych lub dyktatorskich, nie traktuje Polska obywateli jako bierną masę, za pomocą której osiąga Państwo swe cele. Ceniąc nade wszystko twórczą indywidualność ludzką, chce Polska w oparciu o nią budować gmach dobra powszechnego jako świadomą i celową pracę ogółu obywateli.

W przeciwieństwie do rządów demokracji parlamentarnej, odrzuca Polska system partij politycznych, które z konieczności prowadzą do wymuszania od Państwa korzyści dla swych adherentów i kierowników, operując, celem zdobycia dla siebie mas, demagogią i fałszywymi obietnicami, a tym samym demoralizując masy wyborców oraz osłabiając w sposób nieodpowiedzialny siłę Państwa.

Zarówno rządy przemocy rządowej, jak i wszechwładzy partyjnej konstytucja nasza uznaje za nie nadające się dla polskiej rzeczywistości. Państwo nie może tyranizować obywateli, ale obywatele nie mogą również stawiać Państwu nadmiernych wymagań sprzecznych z jego możliwościami i celami. Będąc wspólnym dobrem wszystkich obywateli, może Państwo dążyć do zespolenia wszystkich obywateli w harmonijnym współdziałaniu na rzecz dobra powszechnego.

ROZDZIAŁ XIII

Prawo życia mówi, że wszystko, co żyć pragnie, musi walczyć o swe istnienie. Czy się to komu podoba czy nie podoba, czy jest to dobrze, czy źle, warunki bytu na ziemi są takie a nie inne i nie ma na to żadnej rady. Życie jest trudną, poważną sprawą, utrzymanie go napotyka na ustawiczne trudności, które trzeba przezwyciężać i przeszkody, które trzeba zwalczać.

Walkę prowadzi się w celu zwycięstwa, a zwycięstwem jest narzucenie rzeczywistości swojej woli. Warunkiem zwycięstwa jest posiadanie potrzebnych sił, większych niż siły przeciwnika, z którym się ma do czynienia.

Wszędzie tam, gdzie istnieje życie, dają się obserwować objawy walki. Zarówno w świecie roślinnym, jak i zwierzęcym, jak wreszcie w stosunkach ludzkich prawo walki występuje, jako czynnik nieunikniony, związany z samą istotą bytu. Formy walki mogą być najprzeróżniejsze; to, co stanowi jej cechę stałą polega zawsze na przezwyciężaniu oporów, które stwarzają istniejące warunki.

Na płaszczyźnie ludzkiego życia wchodzą w grę zagadnienia moralne, które gdzie indziej widzimy zaledwie w ich zaczątkach. Łagodzą one w imię ideałów religijnych lub społecznych okrucieństwo walki, ustalając normy postępowania, których bez koniecznej potrzeby przekraczać nie wolno. Tą drogą ustala się pravidła współdziałania i harmonii, bez których życie zbiorowości nie dałoby się pomyśleć. Wiekowy rozwój form życia zbiorowego prowadzi do takiej organizacji społeczeństw, w której niezaprzeczone prawo do życia jednostki nie może być na szwank narażone, jednocześnie zaś jednostka ta jest zmuszona do świadczenia szeregu usług wobec całej zbiorowości.

W tym zrozumieniu rzeczy powstaje *prawo*, którego celem jest zarówno ochrona jednostki przed samowolą i przemocą innej jednostki lub całej gromady, jak i ochrona zbiorowości przed niszczycielską akcją ze strony nadmiernych uroszczeń jednostki. Im bardziej kulturalne jest społeczeństwo, tym doskonalsze jest jego prawo i tym rzadziej bywa przekraczane.

A przecież, mimo ustawicznych prób w tym kierunku, nie udało się dotychczas ustalić równie obowiązującego prawa w stosunkach międzynarodowych. Konieczności życiowe, sprzeczności zasadniczych interesów, antagonizmy wzajemne między narodami i państwami powodują, że mimo ustawicznych wysiłków, mimo umów i układów, paktów i sojuszów międzypaństwowych, raz wraz normy prawne nie wystarczają dla rozwiązania powstających konfliktów, porozumienie staje się niemożliwe a zasada walki wchodzi w swoje prawa. Pokój na ziemi jest rzeczą niesłychanie rzadką; nie ma prawie dnia, w którym by w jakimś miejscu naszego globu nie było wojny. Wojny krwawej, pociągającej ciężkie ofiary z życia, zdrowia i mienia ludzkiego.

Wojna dzisiejsza, mimo złagodnienia ludzkich obyczajów, związanego z wyższym, niż dawniej poziomem kultury wszystkich prawie narodów, nie jest mniej brutalna, niż dawniej. Postępy techniki dokonały w tej dziedzinie rzeczy straszliwych. Sztuka wzajemnego mordowania się ludzi nigdy nie osiągnęła tak niesłychanych efektów: od broni białej, dziś jak dawniej stosowanej, poprzez wszelkiego rodzaju broń palną coraz potworniejszą w działaniu, poprzez niszczycielskie lotnictwo, gazy trujące, wojnę bakteriologiczną, którą nam w przyszłości obiecują fachowcy.

Armie wystawione przez wojujące strony wzrastają coraz bardziej. Gdy jeszcze za czasów Napoleona sięgały

co najwyżej setek tysięcy ludzi, dziś sięgają w dziesiątki milionów tak, że wojny dzisiejszej nie prowadzi jedynie mniej lub więcej silne wojsko, ale prowadzi ją cały naród za cenę nie tylko krwi ale niesłychanych ofiar i spustoszeń we wszelkich dziedzinach życia. Na śmierć i zniszczenie narażeni są nie tylko żołnierze i oblegane twierdze: zguba grozi miastom i ich mieszkańcom, na których każdej chwili z powietrza spadać mogą niszczące pociski ze statków powietrznych.

Przemysł wojenny rozbudowuje się coraz bardziej i tyśiące najzdolniejszych fachowców przygotowuje coraz to nowe narzędzia śmierci i zniszczenia w tajemnicy przed konkurentami. Nawet przemysł, pracujący w normalnych warunkach dla celów pokojowych tak jest zorganizowany, aby każdej chwili móc się przerzucić na produkcję wojenną.

Ofiary materialne społeczeństwa na cele wojenne coraz to wzrastają. Budżety wojenne wszystkich bez wyjątku państw współczesnych rosną jak na drożdżach. Powstają wskutek tego niedobory budżetowe, pokrywane wzrostem podatków i pożyczkami, z kolei obciążającymi budżety. Tempo zbrojeń narasta, narody znajdują się w stanie ustawicznego pogotowia wojennego i nikt nie wie dnia i godziny, w której nagle, zapewne w sposób zupełnie nieoczekiwany pierwsze strzały i pierwsze ofiary zasygnalizują światu, że rozpoczęła się nowa zawierucha wojenna, straszniejsza i bardziej niszczycielska, niż to miało miejsce kiedykolwiek za czasów dawniejszych.

O tym wszystkim trzeba wiedzieć, choć nie są to rzeczy wesołe, bo taka jest prawda życia, bo chwila dziejowa nie może nas zastać nieprzygotowanymi.

Wojna jednak to nie tylko śmierć i zniszczenie. To śmiertelne niebezpieczeństwo dla narodu, to może być jego klęska. Opłaci się ponieść wszelkie ofiary celem uniknięcia tego niebezpieczeństwa.

My, Polacy wiemy, czym są przegrane wojny. Nauczyły nas one jakie są koleje narodu, który w walce orężnej nie potrafił obronić swej niepodległości państwowej. Pokolenie starsze pamięta dobrze czasy niewoli, pokolenie młodsze zna je z opowiadań starych. Naród, pozbawiony niepodległości, nie jest w stanie zorganizować sobie niezbędnych warunków życia, w atmosferze niewoli degeneruje się i podleje, i jego ruina jest tylko kwestią czasu. Możemy być dumni, że nasza odporność narodowa była tak znaczna, że stokilkadziesiąt lat jarzma nie potrafiło nas załamać. Ale wątpliwości nie ulega, że w naszej wartości wewnętrznej, w naszej kulturze narodowej, w naszych możliwościach rozwojowych ponieśliśmy straty kolosalne, które dziś staramy się wyrównać w warunkach bardzo ciężkich i trudnych.

Toteż obowiązkiem każdego obywatela, obowiązkiem Rządu przede wszystkim jest przygotować kraj na ewentualność wojny, tak, aby naród z tej ciężkiej próby sił mógł wyjść zwycięsko.

Zasadniczym elementem tego przygotowania jest oczywiście wojsko.

Twór odwieczny, którego racją bytu jest prawo śmierci, jakim dysponuje. Prawo surowe i straszne, a jednocześnie wzniosłe i święte. W tym świecie moralnym, w którym obowiązuje przykazanie: nie zabijaj, prawo wojny i prawo wojska nie tylko pozwala, ale nakazuje zabijać, więcej, uważa zabójstwo za cnotę, która specjalnie jest nagradzana.

Niegdyś wojsko było głęboko odseparowane od społeczeństwa. Stanowiło zupełnie odrębny organizm zbiorowy na innych organizacyjnych podstawach oparty, innym prawem się rządzący. Było wojskiem zawodowym, wojskiem wyłącznie specjalistów, którzy z dobrej woli czy też pod przymusem temu zawodowi poświęcili życie.

Dziś prawie wszędzie jest inaczej. Pozostała co prawda kadra zawodowa, ale jest ona stosunkowo bardzo nie-liczna i w czasie pokoju spełnia jedynie rolę wychowawczą i instruktorską. Gros armii w czasie pokoju i niemal cała armia w czasie wojny utworzona jest z elementu niezawodowego, z rezerwistów, którzy w latach młodości i męskich przeszli przez przeszkolenie wojskowe, a w chwili mobilizacji zostali pod broń powołani. W ten sposób cały niemal naród może być każdej chwili zamieniony w wojsko.

W tych warunkach więź łącząca armię ze społeczeństwem, nie tylko jest wciąż żywa, ale jest rok rocznie odnawiana przez kontyngent rekruta wchodzący do szeregów armii oraz przez rocznik, kończący swą służbę wojskową. Kadra zawodowa a więc zawodowi oficerowie i podoficerowie stają się stałą ramą, przez którą przesuwana jest cała lub niemal cała męska ludność kraju.

Armia stała się w ten sposób jedną z najbardziej zasadniczych funkcji życia państwowego.

Istnieją pewne prawa, którym organizacja wojskowa czynić zadość musi, o ile ma wypełnić cele, do pełnienia których jest powołana. Cele te wyznaczają całkowicie wojna, która jest racją bytu istnienia armii.

Omówimy niektóre z nich pokrótce.

Są to: zasada dowodzenia, karność, odpowiedzialność i inicjatywy, honoru, koleżeństwa, że wspomnimy tu jedynie o rzeczach najważniejszych, bez których żadna armia nie może istnieć, a już tym bardziej nie potrafi zwyciężać. Prawa te obowiązywać muszą zawsze i wszędzie w każdym wojsku i w każdym czasie, zarówno w czasie pokoju jak wojny. Skrupulatne ich przestrzeganie stanowi o cnocie żołnierskiej i jest najlepszym sprawdzianem poziomu wojska.

Zasadą, przenikającą wszystkie komórki armii jest

zasada dowodzenia. Armia nie może istnieć bez wodza. Na czele każdej jej jednostki musi stać człowiek, którego wola normuje wszystko, co tej jednostki dotyczy: wzajemne stosunki między jej członkami, normalny bieg służby, treść współżycia i współpracy, jednym słowem całość życia zbiorowego.

Musi to być przestrzegane niezmiennie surowo już w czasie pokoju, aby w czasie wojny wojsko mogło być giętkim narzędziem woli wodza, ofiarnym i chętnym wykonawcą jego zamierzeń i planów w warunkach bardzo ciężkiej pracy wojennej, połączonej na każdym kroku z niezmiernym trudem fizycznym i ustawicznym niebezpieczeństwem śmierci.

Zrozumienie pracy dowódcy, a szczególnie dowódcy większej jednostki, nie jest rzeczą łatwą i nie sędzę, aby wielu ludzi miało o niej należyte pojęcie. Tym bardziej dotyczy to pracy Naczelnego Wodza, na którego barkach wyłącznie spoczywa przytłaczająca odpowiedzialność za losy państwa w czasie wojny. Sądzić należy, że jest to stanowisko z trudnych najtrudniejsze, z odpowiedzialnych odpowiedzialne najbardziej. Już sam zakres jego wpływów może w zwyczajnym śmiertelniku wzbudzić uczucie pełne grozy. Istotnie Wódz Naczelny w czasie wojny posiada pełnię władzy w wojsku, aż do prawa życia i śmierci włącznie; ponadto posiada szereg decydujących uprawnień w stosunku do tej części społeczeństwa, która nie jest do szeregów powołana.

Ten bezmiar władzy ściśle odpowiada bezmiarowi jego odpowiedzialności. Przychodzi bowiem chwila osobliwa. Naród, wiele milionów ludzi, rozrzuconych na olbrzymiej przestrzeni Państwa, oddaje decyzję o swych losach w ręce jednego człowieka, ulega mu całkowicie i bez zastrzeżeń, w zupełnym podporządkowaniu się jego woli, obdarza go wielkimi niezbędnymi do sprawowania władzy preroga-

tywami, słucha jego rozkazów, które są rozkazami bezapelacyjnymi, jednym słowem wkłada na niego brzemień pracy i odpowiedzialności przekraczające wszelkie rozumienie. Jedno jego słowo powoduje zgon i męki tysięcy ludzi; myśl jego wyznacza bieg krwawych rozpraw, wola wyznacza etapy walki, z których każdy stanowi o dziejach narodu; każdy błąd jego mści się na losach sprawy, powodując trudne a niekiedy niemożliwe do naprawienia następstwa.

Wola ludzka, wola jednego człowieka staje tu oko w oko ze sprawami w życiu ludzkim jedynymi, najważniejszymi: ważą się bowiem w oczach Naczelnego Wodza, w jego sercu i jego myśli sprawy życia i śmierci, wolności i niewoli, ofiary, wysiłku, pracy. Z chwilą objęcia swego urzędu wkracza w bieg dziejów, jako czynnik decydujący — i wkracza równocześnie w osąd dziejów, które jego wielkości lub małości miejsce należyte wyznaczają. Można by przytaczać niezmiernie wiele nazwisk dobrych i złych wodzów naczelnych z historii, ludzi, którzy do swych wyjątkowych zadań dorosli i takich, którzy duchem nie stanęli na wysokości zadania i odeszli w dzieje z piętnem małości nazwiska. Polska nie ma powodu wstydić się swych wodzów. Z nielicznymi wyjątkami byli to ludzie świetnych uzdolnień i wielkich charakterów, niektórzy zaś z nich osiągnęli szczyty wielkości.

Dane było pokoleniu, w którym żyjemy, mieć wśród siebie z wielkich największego zarówno ze względu na cechy Jego geniuszu wojennego, jak na osiągnięte wyniki. Nazwisko Józefa Piłsudskiego wyznacza odrębną, a najświetniejszą epokę historii narodu i oręża polskiego.

Zasada karności wiąże się najściślej z zasadą dowodzenia. Materiałem, którym operuje dowódca, jest przede wszystkim ludzka jednostka: żołnierz. W tym żywym materiale dowódca daje wyraz swojej myśli i swojej woli.

Wydawanie rozkazów jest to dysponowanie siłą fizyczną i psychiczną człowieka.

Żołnierz jednak nie jest przedmiotem, który można ustawić tam gdzie się chce i wtedy, gdy się chce, aby pełnił swoje funkcje; żołnierz jest żywym człowiekiem, posiadającym wolę, uczucie, myśli, nerwy. Wola jego, jak wola każdej żywej istoty, sprzeciwia się śmierci i cierpieniu. Siły jego są ograniczone. Poczucie strachu nie jest mu obce, wytrzymałość nerwowa ma swoje granice. A przecież żąda się od tego człowieka całkowitego podporządkowania jego woli woli cudzej, dyktującej mu rozkazy, których celowości często żołnierz nie jest w stanie sprawdzić, przecież prowadzi się go tam, gdzie każdej chwili grozi mu śmierć od kuli, bagnetu czy gazu trującego i żąda się od niego opanowania tak naturalnego w tych warunkach uczucia strachu, żąda się wytrzymałości nerwowej niemal nadludzkiej i wysiłków fizycznych przekraczających wszelkie rozsądne granice.

Dzieje się tak, jakby duchowe i fizyczne siły człowieka przestały do niego należeć, jakby przestały być jego własnością, stały się natomiast własnością tego, który wydaje rozkazy. I tak jest w istocie. Poprzez całą hierarchię kolejnych dowódców siły żołnierza stają się w czasie wojny niepodzielną własnością Wodza Naczelnego, a przez niego własnością walczącego o swe istnienie narodu.

Tej to prawdzie służy zasada karności. W służbie żołnierskiej uczy się człowiek podporządkowywać się całkowicie i bez zastrzeżeń rozkazowi, choćby to było nad wyraz ciężkie do wypełnienia, choćby nawet rozkaz taki na śmierć pewną człowieka posyłał. Rozkaz wyznacza cel do osiągnięcia i cel ten osiągnięty być musi, choćby za to trzeba było zapłacić życiem.

Dobrym żołnierzem jest żołnierz skrupulatnie wykonujący otrzymane od swego dowódcy rozkazy, wyko-

nywujący je ochoczo z zadowoleniem dobrze wypełnionego obowiązku w dokładnym zrozumieniu wielkiego celu, któremu służy i doniosłego posłannictwa, jakiego kraj od niego wymaga.

Taki stosunek do rozkazu nie jest rzeczą łatwą do osiągnięcia. A tym bardziej jest trudny dla człowieka wykształconego, przyzwyczajonego do dodatniej samooceny swej inteligencji i do znacznej niezależności życiowej. W wojsku boleśnie odczuwa taki człowiek niesłychane skrępowanie swej woli. Wydaje mu się z początku, że nie wytrzyma tego twardego życia, którego rozkład od godziny do godziny jest regulowany ogólnie obowiązującym przepisem. Konieczność ślepego posłuszeństwa wobec dotychczas nieznanych sobie ludzi wydaje mu się ciężka. Oczywiście z czasem przychodzi przyzwyczajenie, ale przychodzi również głębsze zrozumienie potrzeby karności w organizacji tak wielkiej, jak wojsko, i przeznaczonej do tak decydujących celów. I wtedy przyjsć może moment, w którym ta tak surowa, tak ciężka do zniesienia karność zostanie zrozumiana, jako sprawa nie tylko wielka, ale i wysoce podniosła.

Bo zgódźmy się, że o ile karność nakazana i egzekwowana srogimi nieraz środkami nie jest rzeczą miłą dla tego, który słuchać musi, to karność przeżyta i przemyślana, zaakceptowana i dobrowolna ma w sobie coś z wielkości i piękna. Bo wielką i piękną jest rzeczą, gdy obserwujemy zbiorowy, skoordynowany wysiłek prowadzący do doniosłego celu, gdy w wysiłku tym na wszystkich szczeblach pełnionego czynu czyta się żywą wolę jednolitości i zgody, gdy w momentach trudnych lub krytycznych widzimy ducha męstwa, ofiary, koleżeństwa, gdy nawet śmierć nie jest dla pozostałych przeszkodą w marszu naprzód w imię sprawy, o którą się walczy, gdy trudem swoim i cierpieniem buduje się dla potomości lepsze warunki życia.

A przecież na tym polega zadanie żołnierza. Wydobyc z siebie maximum siły, przeciwstawić się niszczącej woli przeciwnika, wolę tę złamać i zniszczyć, bronić tego, co jest najświętszym prawem narodu: jego ziemi, jego swobody, jego przyszłości. I jeśli dla osiągnięcia tego potrzeba choćby tak ciężkiej rzeczy, jaką jest prawo karności żołnierskiej — przyjmujemy ją, jako rzecz konieczną, jako rzecz dobrą i słuszną. A wówczas przestaniemy odczuwać jej ciężar i zrozumiemy treść tego mocnego, chciałbym powiedzieć czarującego słowa, jakim jest w pracy żołnierza słowo: *Rozkaz!*

Jeśli człowieka o prawdziwych wewnętrznych wartościach cechuje poczucie odpowiedzialności i konieczność inicjatywy, to żołnierz bez nich jest złym żołnierzem i zadań, które stają przed nim, wypełnić nie potrafi.

Jest to prawda oczywista w każdej dziedzinie pracy wojskowej, a tym bardziej obowiązuje, z im wyższą hierarchią dowodzenia mamy do czynienia.

I to jest chyba zupełnie jasne jeśli uwzględnimy, czym jest wojna.

Na wojnie wciąż zmienia się sytuacja, na placu boju coś się ustawicznie dzieje. Dowódca małego choćby odcinka musi się stale informować o wszelkich zmianach, jakie koło niego zachodzą. Wiadomości, jakie otrzymuje, nigdy nie są zupełne i nigdy nie są pewne. Ktoś gdzieś się cofnął, czy gdzieś ruszył naprzód; nieprzyjaciół otrzymał nowe posiłki, lub zrobił wypad, lub ostrzelał naszą pozycję, albo zaatakował na jakimś odcinku. Każdą taką zmianę dowódca musi najsumienniejszym przemyśleć, nie zominając ani na chwilę o celu, jaki ma przez rozkazy wyższe wyznaczony; nie wolno mu podlegać odruchom, nie wolno mu ulegać przemęczonym często nerwom. Jeżeli wydaje decyzję, muszą być one powzięte w pełnym poczuciu odpowiedzialności za zadanie, które mu zostało

powierzone, za życie i zdrowie ludzi, którymi dowodzi, za jasność i precyzję własnych poleceń, wreszcie za ich celowe, skuteczne i szybkie wykonanie.

Bierność na wojnie jest niedopuszczalna. Dowódca bez inicjatywy musi przegrać. Góruje ten, kto przeciwnika uprzedza i zaskakuje, bo przez to uzyskuje najpewniejszy sposób narzucenia mu swojej woli.

Ale jakże niełatwą rzeczą jest inicjatywa! Bo rzadko zdarza się na wojnie aby sytuacja narzucała jedno rozwiązanie, jedną decyzję.

Najczęściej dowódca widzi przed sobą kilka możliwych wyjść z sytuacji, z których każde ma swoje dobre i złe strony, każde ma ten czy inny stopień ryzyka. Wśród tych kilku możliwych decyzji dowódca musi wybrać jedną, najwłaściwszą, często najśmielszą i najbardziej ryzykowną i tę jedną konsekwentnie wykonać.

Upewniam czytelników, że ten moment decyzji do łatwych nie należy!

I wreszcie honor. Gdzie indziej szerzej mówiłem o honorze, tu podkreślić chcę tylko te momenty, które w armii tak wielką odgrywają rolę. Jest jakaś przyczyna, sprawiająca, że żołnierz jest na zagadnienia honoru bardziej wrażliwy, niż człowiek cywilny. Do jego zrozumiałego poczucia godności własnej, właściwego każdemu uczciwemu człowiekowi dołącza się coś jeszcze nowego: honor munduru, honor sztandaru, to znaczy honor służby. Mundur i sztandar odgrywają tu oczywiście rolę symbolu sprawy, w imieniu której się żyje, dla której się w razie potrzeby umiera. Jeżeli więc ta sprawa, która jest sprawą Ojczyzny, Narodu, Państwa, jest aż tak doniosłą, że ma prawo wymagać ofiary z życia, jeśli zatem tak dalece przekracza wszystkie wartości, jakimi poszczególna jednostka dysponować może — to honor jej słusznie cenniony być winien wyżej niż każde indywidualne dobro, wyżej nawet, niż poczucie swojej osobistej godności.

Stwierdza to wyraźnie człowiek, którego całe życie przeniknięte było najgłębszym, najszczytniejszym poczuciem honoru. Marszałek Piłsudski mówi, żegnając się z oficerami w Sztabie Generalnym w dniu 13 czerwca 1923 r.: „Odchodząc daję panom ostatnie swoje zlecenie. Jest nim honor służby, to najsilniejsze i często najcięższe dla żołnierza uczucie. Honor służby staje nieraz w sprzeczności z honorem osobistym. Ale, moi panowie, honor służby jest jak sztandar żołnierza, z którym żołnierz rozstaje się razem z życiem. To uczucie było zawsze moim przewodnikiem w pracy w wojsku, którego budowie poświęciłem wiele lat swego życia. Bez honoru służba wojskowa zawsze jest bez duszy i traci siły“.

A w przemówieniu swym z dnia 22 stycznia 1920 r. mówi Piłsudski co następuje: „Moi panowie! Obchodzimy dziś uroczystość wprowadzenia orderu „Virtuti Militari“. Na znaku tym, który nosimy na piersiach, wypisane jest hasło: cnocie wojskowej. Cnota, moi panowie, jest wartością moralną o charakterze zupełnie bezosobowym, o charakterze bezambicyjnym, o charakterze, który z góry przypuszcza poddanie się pokorne człowieka tej wartości, którą cnota wyobraża. Jeżeli w napisie dodany jest napis: wojskowej, to tylko dlatego, że wysokie napięcie moralne wymagane jest w czasach wyjątkowych, w czasach wojny. Jest to czas, kiedy człowiek, przyodziany w mundur żołnierza, chodzić pod rękę musi, jak z damą swego serca, ze śmiercią. Jest to czas, gdy taki człowiek ciągnąć musi gałkę czarną, co oznacza dla niego śmierć, kalectwo, chorobę, lub białą, co dla niego oznacza zdrowie i życie. Służyć tylko cnocie potrafi niewielu, dlatego na odwrotnej stronie naszej odznaki wypisane jest ułatwienie tej służby, w postaci słowa „honor“. Honor, jak ktoś się dowcipnie wyraził, jest surogatem cnoty, jest pozwoleniem na posiadanie ambicji, na wniesienie do służby całego mnóstwa

cech indywidualnych... Honor nasz powinien polegać na służbie, komu zaś służymy — to wypisane jest w ostatnim słowie naszej odznaki: służymy Ojczyźnie. A służba jest niczym innym, jak słuchaniem praw przez Ojczyznę dla Ojczyzny ustanowionych“.

Na jeszcze jedną sprawę, najściślej z wojskiem związaną, chcę zwrócić uwagę. W każdym zwartym zespole posiadającym jakieś wspólne zadania, koleżeństwo odgrywa dużą rolę. Istnieje w szkole, w zawodzie, w sporcie, w urzędzie. Jest ono po prostu poczuciem bliskich stosunków na tle czy to wspólnej pracy, czy choćby wspólnej zabawy.

Gdy stwierdzam, że jestem czyimś kolegą, chcę przez to powiedzieć, że łączy mnie z nim coś specyficznego, innego, niż to, co mnie łączy z pozostałymi ludźmi. Mogę przecież mieć przyjaciela, który nigdy nie był, nie jest i nie będzie moim kolegą — i mogę mieć kolegę, do którego nie czuję żadnej osobistej sympatii.

Co innego jest więc przyjaciel, a co innego kolega. Przyjaciela obdarzam uczuciem natury osobistej; kolega jest współuczestnikiem pewnej wspólnie z nim pełnionej sprawy.

Otóż koleżeństwo nigdzie nie odgrywa tak zasadniczej roli, jak w wojsku. Bo sprawa, której wojsko służy, jest sprawą wyjątkowej doniosłości, a wypełnia się ją za pomocą wyjątkowych środków, tak dalece wyjątkowych, że żadnych innych porównać z nimi nie można. Środkiem bowiem, stosowanym przez wojsko celem wypełnienia obronnych w stosunku do ojczyzny zadań — jest śmierć, jest zniszczenie. Wojna polega na złamaniu przeciwnika śmiercią lub groźbą śmierci; praca pokojowa żołnierza — na uczeniu się zabijania. Zgódźmy się na to, że w stosunku do wszystkich normalnych ludzkich poczynąń mamy tu do czynienia z czymś wyjątkowym. I dlatego

w armii poczucie koleżeństwa jest także wyjątkowo silne.

Praca wojska odbywa się w atmosferze ciągłego pogotowia i grozy czyhającej śmierci. Tej, którą żołnierz zadaje i tej, która każdej chwili zagraża jego życiu. Z nas dwóch — żołnierzy tego samego oddziału, nie wiadomo, czy co najmniej jeden nie padnie. Czy to jest straszne? nie, to jest zupełnie naturalne. Po to są siły, aby je zużyć na pożytek swojej Ojczyźnie. Po to są ręce, aby móc strzelać z karabinu, a krew po to, aby mogła wsiąkać w ziemię, której się broni. Ale jeśli taki może być los mój i twój, to istotnie bliskość nas musi łączyć najistotniejsza, bliskość głęboka, bo pod znakiem śmierci rozpoczęta i pod jej znakiem ustawicznie realizowana. Cóż znaczy, czy jesteś mi miły, czy nie, skoro walczymy razem pod wspólnym sztandarem za wspólną sprawę, za którą każdej chwili własnym życiem gotowi jesteśmy zapłacić.

Koleżeństwo w wojsku jest więcej niż uczuciem; jest konieczną wojska potrzebą, jest jego cnotą, a jednocześnie zaszczytem i ozdobą. Obowiązuje ono na wszystkich płaszczyznach hierarchii, niezależnie od stopnia wojskowego, rodzaju broni, zakresu władzy, stopnia odpowiedzialności, wykształcenia. Kolegami są Naczelnny Wódz i szeregowy. Ten, kto rozkazy wydaje i ten, kto je wykonuje, ten, kto na śmierć posyła i ten, kto z rozkazu umiera.

Takie to dziwne prawa obowiązują w wojsku.

Zastanawiałem się nieraz nad tym żołnierskim poczuciem koleżeństwa. Myślałem zawsze, że znajduje ono swój najsilniejszy wyraz w częstych na wojnie wypadkach, w których jeden kolega ratuje drugiego z poświęceniem życia. Ileż to razy się zdarza, że żołnierz wynosi rannego towarzysza z pola obstrzału sam narażając się na gęsto świszczące kule karabinowe lub armatnie pociski.

A jednak w innych okolicznościach doznałem pocucia tego, czym jest koleżeństwo, pocucia które było jednocześnie niezwykle intensywnym zrozumieniem istoty tego zjawiska.

Oto na wiosnę 1919 roku, gdy Wilno już było przez nas zdobyte, a walki toczyły się już poza miastem, urządzano uroczysty pogrzeb poległych w ciągu dni walk ostatnich. Pogrzeb miał wyjść z pałacu biskupiego. Poszedłem tam i ja. Zabici, jeszcze nie poukładani do trumien, leżeli na podłodze w niewielkim budynku zamykającym dziedziniec pałacu. Było ich trzydziestu kilku: jeden oficer, młodziutki podporucznik, reszta żołnierze i podoficerowie. Leżeli w kilku szeregach, w liniach wyrównanych. Każdy był starannie ubrany, ręce im zbożnie złożono na pierśsiach, pod głowy podłożono cegły. Twarze młode, jeszcze bez zarostu. Niektóre niemal uśmiechnięte, inne zadumane i poważne, jeszcze inne jakby w kamieniu wykute, majestatyczne i wszystkiemu odległe. Kilka zastygłych w skurczu męki i bólu. Na progu klęczała gromadka kobiet. Modliły się i płakały.

Stałem wśród tych poległych, żywy wśród tylu zmarłych. Mnie los oszczędził, ich dotknął palec Boży. Ale wiedziałem i czułem najmocniej, że jestem wśród kolegów. Kolegów tej samej sprawy, której zarówno służyliśmy — ja i ci zabici. Oni swą rolę już wypełnili i zameldowali się gdzie indziej. Bili się jak koledzy, a teraz, w zespole również koleżeńskim pogrzebią ich ciała na ślicznym cmentarzu Rossy, aby na wieki świadczyć każdemu, kto tę prawdę zrozumieć zechce i potrafi, że największą cnotą ludzką jest służyć do ostatniej kropli krwi Sprawie, której warto oddać życie.

Tak rzecz musiał rozumieć Wódz tych żołnierzy, skoro w szesnaście lat później z Jego polecenia serce Jego spoczęło wśród śmiertelnych szczątków tych młodych kolegów, których swym rozkazem na śmierć posyłał.

ROZDZIAŁ XIV

Gdy mówimy o narodzie, myślimy oczywiście o narodzie polskim. Bo naród polski od prawników zamieszkuje przestrzeń, wchodzące dziś w granice naszego państwa, bo on to państwo stworzył i nadał mu swoiste oblicze polityczne i kulturalne, on za to państwo walczył i krew za nie przelewał, on wreszcie wysiłkiem mózgów i serc najlepszych swych członków wytworzył potężną myśl państwowo-narodową, wielokrotnie znajdującą swój wyraz zarówno w służbie jak i czynie. Słowo Frycza-Modrzewskiego i Skargi, Mickiewicza i Słowackiego, Norwida i Wyspiańskiego, czyn Bolesławów, Jagiellonów, Batorego, Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Sobieskiego, Kościuszki i Dąbrowskiego, Traugutta i Piłsudskiego — to są dokonania szczytowe, poprzez które znaczy się, jak nić czerwona, niezmierny wysiłek zbiorowy, skierowany ku utrzymaniu, rozszerzeniu i podniesieniu sprawy Państwa polskiego jednoczącego w ramach potężnej organizacji życia swobodę twórczej roli jednostki z umiejętnością pracy w wielkim zespole narodowym dla wspólnego dobra całej zbiorowości.

Ale nasze położenie geograficzne, stosunki etniczne, całe nasze dzieje nie pozwalają nam zapomnieć, że poza narodem polskim w kraju naszym znajduje się poważna ilość ludności niepolskiej.

Nie jest rzeczą łatwą przemyśleć zagadnienia, związane z losami i zadaniami państwa o zupełnie nawet jednolitym charakterze narodowym — coś dopiero, gdy chodzi o państwo, w którym tzw. mniejszości narodowe stanowią bez mała trzecią część ludności. A przecież sprawa mniejszości narodowych w Polsce istnieje, nie-

kiedy przybiera charakter ostrego napięcia, doprowadzając nie tylko do przykrych nieporozumień ale do groźnych starć, zamachów a nawet walk z bronią w rękę.

Gdy więc mówimy o narodzie polskim, o jego pracach, zadaniach i losach, nie jesteśmy w stanie snuć naszych rozważań w ten sposób, jak gdyby w Polsce żyli sami Polacy; przeciwnie, pamiętać musimy, że z faktu współżycia na terenie naszego państwa i innych narodowości wynikają bardzo poważne dla narodu polskiego konsekwencje, że będąc kraju naszego niewątpliwymi gospodarzami, ponoszącymi odpowiedzialność za jego przeznaczenia, musimy wobec współobywateli innej niż polska narodowości zajmować określone, jednolite, rozumne stanowisko, wykazując w tej sprawie zmysł historyczny i dojrzałość umiejącą patrzeć w dalszą przyszłość i ujmować szersze perspektywy dziejowe.

Okazuje się jednak, że wypracowanie jasnego i rozumnego poglądu na tę sprawę musi nie być łatwe, skoro nie jesteśmy w stanie stwierdzić jednolitego stanowiska wszystkich Polaków w tej materii i skoro natężenie walki narodowościowej nie tylko się nie zmniejsza ale nawet może wzrasta w swym napięciu.

A przecież zagadnienie to datuje się od niezmiernie odległych czasów, ma swoje stulecia historii, przechodziło przez szereg etapów i faz i dotychczas nie tylko nie jest rozwiązane, ale powoduje daleko idące rozbieżności w polskiej opinii publicznej.

Spróbujmy przyjrzeć mu się w ogólnym zarysie, stwierdzając od razu, że nasz punkt widzenia związany jest najściślej z interesem państwa i narodu polskiego, to znaczy, że chcemy rozważać i rozwiązywać sprawy mniejszościowe jedynie z punktu widzenia dobra i korzyści polskiej, nie powodując się żadnymi innymi względami, chociażby dotyczyły one miały rzeczy tak pociągających i nie-

wolących — jak hasła sprawiedliwości, równouprawnienia obywatelskiego, samostanowienia o swym losie narodów itd., haseł, które tak jeszcze niedawno stanowiły dla nas samych podstawę i umotywowanie programu niepodległościowego.

Odrzucamy te wszystkie piękne i niewątpliwie zasadniczo słuszne względy nie dlatego, abyśmy ich wartości nie uznawali, ale dlatego, że interes państwa i narodu polskiego jest dla nas rzeczą najważniejszą, najwyższą w hierarchii zagadnień życia zbiorowego i wszystkie inne, choćby najśluszniesze względy temu interesowi ustąpić muszą pierwszeństwa.

Ustaliwszy ten punkt zasadniczy, który ma wytyczyć drogi naszych rozważań, przyjrzyjmy się, jak wygląda rzeczywistość. Mamy według statystyki językowej w Polsce na 68,9% Polaków — 10,1% Ukraińców, 3,1% Białorusinów, 8,6% Żydów, 2,3% Niemców. Inne mniejszości narodowe możemy pominąć, stanowią one bowiem bardzo nieznaczny odsetek ogółu ludności. Te cztery narodowości podzielić możemy na dwie grupy. Ukraińcy i Białorusini zamieszkują znaczne połacie kraju w mniej lub więcej zwartych skupieniach, podczas gdy Niemcy i Żydzi żyją w stanie znacznie większego rozproszenia, co szczególnie dotyczy elementu żydowskiego, stanowiącego bardzo znaczny odsetek ludności miejskiej, sięgającego zaś bardzo mało na wieś.

Z innego punktu widzenia odróżnić trzeba ludność niemiecką, ukraińską i białoruską — która, niezależnie od bardzo głębokich różnic kulturalnych i gospodarczych, formowała swoje życie pod głębokim wpływem religii chrześcijańskiej od ludności żydowskiej, wyrosłej w środowisku wyłączności wyznaniowej bardzo od chrystianizmu różnej, wybitnie w sobie zwartej i zamkniętej. Gdy u Niemców, Ukraińców i Białorusinów przynależ-

ność narodowa związana jest z mniej lub bardziej silną świadomością polityczną, o przynależności do świata żydowskiego decyduje w przeważającej większości wypadków wspólne wyznanie, głęboko obce duchowi chrystianizmu oraz obyczaj, ustalony od długich stuleci w życiu „getta“, zazdrośnie strzegącego swych odrębności, nie dopuszczającego wpływów zewnętrznych i przez to odseparowującego w sposób bardzo ostry i bardzo skuteczny ludność żydowską od ogółu pozostałych obywateli państwa. Ta więź religijno-obyczajowa jest nieporównanie silniejsza od tego, co nazywamy ich świadomością narodową. Dzięki niej żydostwo polskie utrzymało się w Polsce, jako bardzo zwarta grupa, dzięki niej również możliwość porozumienia i współżycia między Żydami a ludnością nieżydowską jest dużo mniejsza niż między pozostałymi narodowościami zamieszkującymi Polskę.

Podkreślmy wreszcie, że struktura gospodarcza Żydów nie jest normalna, brak w niej bowiem niemal całkowicie elementu rolniczo-wiejskiego, co stwarza tłoczenie się Żydów w miastach i miasteczkach i ostrą konkurencję między ludnością żydowską rzemieślniczą i handlową, a wykazującym znaczną prężność gospodarczą żywiołem polskim. W ostatnich czasach słuszne hasło spolszczenia miast realizowane przez ciemnych i nieuczciwych demagogów spowodowało pożałowania godne zajścia, jeszcze bardziej utrudniające znalezienie rozwiązania trudnego i bolesnego zagadnienia.

Kwestia żydowska od dawna już zwraca na siebie baczność uwagę opinii publicznej w Polsce, a dziś wysunięta została na plan pierwszy jako naczelne zagadnienie narodowe. Niesłusznie! Najniewątpliwiej istnieją zagadnienia pilniejsze, ważniejsze i groźniejsze.

Pilniejsza od sprawy żydowskiej jest kwestia dobrożenia naszej armii bowiem sytuacja międzynarodowa wy-

maga od nas pełnego pogotowia wojennego. Ważniejszym zagadnieniem jest kwestia należytego unormowania stosunków polsko - ukraińskich, o czym niżej pomówimy, gdyż z tą sprawą znacznie bardziej, niż ze sprawą żydowską związane są wielkie mocarstwowe możliwości Polski. Wreszcie groźniejszym niebezpieczeństwem, niż żydowskie, jest niebezpieczeństwo, wynikające z braku konsolidacji społeczeństwa polskiego, z rozproszkowania jego myśli politycznej i organizacyjnej, z podziału społeczeństwa na zwalczające się wzajemnie kramiki partyjne, co w rezultacie grozić może zanarchizowaniem naszego życia publicznego i wszystkimi nieszczęściami, jakie z tego stanu rzeczy wyniknąć mogą.

Z drugiej zaś strony sprawa żydowska nie da się w żaden sposób rozwiązać z dnia na dzień. Ma ona stulecia swej historii. Jeśli jest w interesie Polski masowa emigracja Żydów, to załatwienie jej wymagać musi dużo czasu i olbrzymich kapitałów, których przysłowiowi nędzarze - kramarze i rzemieślnicy żydowscy nie posiadają, a trudno, żeby ubogie społeczeństwo polskie te koszty, sięgające sum zawrotnych, ponosić mogło i chciało. Ponadto w chwili obecnej Żydzi nie posiadają terenów, gotowych do przyjęcia masowej emigracji. Palestyna, nawet gdy sprawa państewka żydowskiego zostanie pozytywnie przesądzona, do czego jest jeszcze dość daleko, nie będzie w stanie wchłonąć znaczniejszej ilości Żydów, a inne tereny są w tej chwili dla nich prawie zamknięte. Jest to sprawa międzynarodowa, w której jedynie inicjatywa naszego Rządu, wyrażnie na terenie Genewy już uwidoczniiona, może przynieść pozytywne rezultaty.

Krótko mówiąc zagadnienie żydowskie jest zagadnieniem historycznym, które tylko historia może załatwić przy czynnym współudziale zarówno Polski jak i samych Żydów. W żadnym razie nie może ono być rozwiązywane

przez ulicę — i nie trotuary, pełne odłamków tłuczonych szyb żydowskich, — nie bicia przez oślepionych nienawiścią bojówkarzy Bogu ducha winnych przypadkowych przechodniów o semickich rysach i nie „getto“ ławkowe na wyższych uczelniach przyczynić się mogą do skierowania sprawy na pomyślniejsze tory.

Isnieją kulturalniejsze, pozytywne sposoby podnoszenia polskiego handlu, przemysłu i rzemiosła. Dobre przygotowanie elementu polskiego do zawodu, odpowiednio skierowana akcja kredytowa, rozwój spółdzielczości, wysoka etyka zawodowa, rzetelność kalkulacji, umiejętność poprzestawania na małym — oto środki, które o wiele skuteczniej przyczynią się do spolszczenia miast i podniesienia gospodarczego ludności polskiej, niż akcja pogromowa, która nie zmniejszy, bo zmniejszyć nie może, procentu ludności żydowskiej w Polsce, wyrządza natomiast bolesne szkody nie komu innemu, jak właśnie narodowi polskiemu przez wprowadzanie elementu zdziczenia, przez obniżanie poziomu życia publicznego, wprowadzanie bezprawia oraz łamanie zasadniczych podstaw etyki chrześcijańskiej, będącej podstawą kultury naszego narodu.

Gdy niewątpliwie istnienie tak licznego „getta“ żydowskiego nie jest dla Polski okolicznością pomyślną, postawić można pytania, czy skutecznego „getta“ jeszcze silniejszą obręczą, jaką prześladowanemu daje poczucie swej krzywdy, wyda pożądane owoce dla Polski.

Czy dużo wygramy na tym, że masa żydowska zacznie reagować coraz bardziej wrogo na wszystko co związane jest z państwem i narodem polskim? Czy obywatel Polski, który jest Żydem, ma być koniecznie uważany za wroga Polaków i Polski, i dlaczego ma to być dla nas pożyteczne?

Jesteśmy krajem przeludnionym i zagadnienie emigracji części ludności naszej jest dziś zagadnieniem palącym.

Rzecz prosta, że w corocznym kontyngencie emigracyjnym Żydzi stanowić powinni znakomitą większość — i niezawodnie taki właśnie będzie bieg wydarzeń — ale będzie to skutkiem polityki naszego Rządu, odpowiednich umów międzynarodowych, wreszcie rozwiązania pomyślnego kosztów tego procesu, kosztów bardzo znacznych, a nie demagogicznych posunięć poszczególnych ugrupowań politycznych, pragnących wśród zamieszek i wstrząsów upiec swoją partyjną pieczeń.

Każda z narodowości niepolskich, zamieszkałych w naszym kraju, ma swoją własną sylwetę polityczną, kulturalną i gospodarczą. Niemcy stanowią element najbardziej kulturalny, zamożny, narodowo głęboko uświadomiony. Ukraińcy małopolscy, również o silnie rozbudowanym poczuciu narodowym i znacznej inicjatywie gospodarczej (znakomicie rozbudowana współdzielczość) przemieszani z bardzo poważnym odsetkiem ludności polskiej, która w niektórych powiatach przekracza znacznie 50% ludności, wychowani byli od paru pokoleń w nastroju wrogim dla elementu polskiego, prowadzili w okresie formowania się wskrzeszonej przez wypadki 1918 roku niepodległości polskiej formalną wojnę z nami, a dziś łatwo ulegają wpływowi nacjonalistyczno-niepodległościowym. Są ponadto grekokatolikami, a więc i inny obrządek wpływa na ich odrębność.

Ukraińcy wołyńscy, dopiero w ostatnich dziesięcioleciach poczęli przeżywać okres silniejszego budzenia się ich świadomości narodowej. Zamieszkują kraj o wspaniałej glebie, stanowiąc wszędzie przygniatającą większość (statystyka wykazuje na Wołyniu około 69% Ukraińców, gdy ludność polska nie przekracza tam 16%). Ich stan gospodarczy poprawia się bardzo szybko dzięki znacznej interwencji państwa (parcelacja i komasacja). Wszyscy są wyznania prawosławnego.

Jedni i drudzy, zarówno w Małopolsce jak i na Wołyniu, stanowią element żywy, uzdolniony, podatny na wpływy postępu gospodarczego i kulturalnego.

Białorusini różnią się bardzo głęboko od Ukraińców, mimo znaczne pokrewieństwo językowe. Zamieszkują obszary części województw wileńskiego, białostockiego i szczególnie nowogródzkiego, gdzie są w dość znacznym stopniu przemieszani z ludnością polską oraz w zwartej masie w województwie poleskim, najuboższym i najsłabiej zaludnionym terenie Polski. Poczucie odrębności narodowej dotychczas dotarło do nich w nieznacznym stopniu. Poziom kulturalny i gospodarczy jest bardzo niski. W stosunku do zachodnich dzielnic Polski rozwój ich jest bardzo cofnięty. Nie są jednolici pod względem wyznaniowym: mniejszość jest katolicka, większość wyznaje prawosławie. Cechuje ich bierność, mała inicjatywa gospodarcza i kulturalna, powolność i skrajny konserwatyzm obyczajowy. Mimo to są podatni na agitację polityczną, intensywnie przenikającą do nich z za naszej granicy wschodniej.

Stwierdziliśmy, że zagadnienia narodowościowe w Polsce istnieją i że na poszczególnych terenach przybierają ostre a nawet brutalne formy.

W wieku tak silnego budzenia się świadomości narodowych, jakim jest niewątpliwie wiek XX, rzecz ta nikogo nie może dziwić. Przeciwnie, dziwną byłoby rzeczą, gdyby milionowe masy ludności niepolskiej nie wysuwały swych postulatów narodowościowych w bardzo zdecydowany sposób. Żądania te dotyczą — i jest to najzupełniej zrozumiałe — zagadnień szkolnych i językowych, gospodarczych i politycznych. W wypadkach skrajnych, co ma miejsce jedynie na terenie Małopolski Wschodniej, wysuwane są hasła niepodległościowe, domagające się oderwania tego terenu od Polski i utworzenia w łączności z Ukra-

iną znajdującą się pod panowaniem Sowietów, niepodległej Ukrainy.

Tak w najkrótszych słowach da się przedstawić obraz stosunków narodowościowych w Polsce. Oczywiście obraz ten jest niezmiernie uproszczony; w rzeczywistości mamy tu do czynienia ze sprawami niezmiernie skomplikowanymi, tak jak skomplikowaną jest rzeczą życie grup narodowościowych, różniących się swoją historią, wiarą, obyczajem, poziomem gospodarczym i strukturą społeczną. Grupy te żyją własnym życiem, mają swoje trudności i bolączki, ulegają panującym w danej chwili prądom i kierunkom, posiadają swoje instytucje społeczne, oświatowe i gospodarcze, dzielą się na szereg ugrupowań partyjno-politycznych zwalczających się wzajemnie, jednym słowem przeżywają w większym lub mniejszym stopniu to wszystko, co cechuje inne współcześnie żyjące grupy narodowe.

Okalając Polskę etnograficzną pierścieniem mniej lub więcej przemieszanym z ludnością polską od wschodu, od zachodu tworząc poszczególne grupy mniejszościowe (Niemcy), mniejszości chrześcijańskie, przechodząc bardzo zmienne koleje historyczne i w swej przeważającej większości dochodząc bardzo późno do samookreślenia narodowego, którego to procesu do dnia dzisiejszego nie można w odniesieniu do Polesia a częściowo i Wołynia uznać za zakończony, związane zostały definitywnie z państwem polskim i w jego ramach losem dziejów mają żyć, pracować i w jakiś sposób dobry lub zły — współżyć z narodem polskim.

Rozwiązanie zagadnienia narodowościowego w Polsce równoznaczne jest z ustaleniem stosunku Polski, jako narodu i państwa do swych mniejszości. Stosunek ten decyduje o programie polityki mniejszościowej.

Rozwiązania najradzykalniejsze mogą być dwa. Pierw-

sze polega na bezwzględny programie polonizacyjnym, związanym z konieczności z nieuznawaniem uprawnień narodowościowych mniejszości. Konsekwentnie zastosowany polega on na wynarodowianiu za pomocą wszelkich środków, będących w dyspozycji państwa: szkoły, administracji politycznej, instytucji społecznych, kulturalnych, oświatowych i gospodarczych. A ponieważ jest rzeczą niemożliwą, aby taka polityka nie budziła oporu, towarzyszyć jej muszą represje, stosowane wszędzie tam, gdzie taki opór daje się odczuwać. Dochodzi się tą drogą do kagańcowych ustaw językowych, zakazów zebrania i obchodów, rozwiązywania instytucji społecznych, komisji kolonizacyjnych etc., co wszystko znamy bardzo dobrze z własnej naszej historii pod zaborami, szczególnie zaś pod zaborem pruskim. Czy tą metodą postępowania można osiągnąć pożądane rezultaty, tzn. spolonizować milionowe rzesze niepolskiej ludności? Doświadczenie historyczne daje nam na to pytanie odpowiedź odmowną.

Stwierdzić trzeba, że właśnie nad narodem polskim Prusy przeprowadziły klasyczny z tego punktu widzenia eksperyment, który się całkowicie nie udał i to mimo bardzo daleko idącą bezwzględność niemiecką i mimo olbrzymie środki materialne, na ten cel użyte. Można powątpiewać, czy Polaków byłoby stać na niemiecką brutalność przemocy, na pewno zaś stwierdzić można, że polityka taka spowodowałaby ciężary finansowe, przekraczające możliwości budżetowe państwa.

Drugim radykalnym programem będzie autonomia polityczna i gospodarcza terenów, zamieszkałych przez mniejszości. Tego domagają się dziś Ukraińcy Małopolski Wschodniej oraz niektóre lewicowe stronnictwa polskie. Taka autonomia polegałaby na zwołaniu sejmów tych ziem i przekazaniu im stanowienia praw w zakresie dostatecznie szerokim, co w bardzo znacznym stopniu unie-

zależniłoby te ziemie od rządu centralnego. Ale przeciw szybkiemu udzieleniu autonomii tego rodzaju podnoszone są bardzo poważne argumenty. Przytoczmy tu z nich najważniejsze.

W ziemiach, objętych autonomią Polacy z natury rzeczy stanowiliby mniejszość i są wszelkie dane do sądzenia, że los tej mniejszości nie byłby do pozazdroszczenia. Nie jest rzeczą możliwą, nie jest rzeczą dopuszczalną, aby Polak we własnym państwie był upośledzony w swoich uprawnieniach obywatelskich i osobistych, a przy dzisiejszym stanie wrogich częstokroć stosunków narodowościowych tego rodzaju rzeczy mogłyby się zdarzyć.

Od chwili wskrzeszenia naszej państwowości upłynęło stosunkowo niedużo czasu. Pamięć stosunków przedwojennych żyje jeszcze w ludziach, poczucie przynależności do państwa polskiego nie zakorzeniło się jeszcze dostatecznie, związek organiczny i nierozzerwalny z Polską, oparty na trwałym układzie stosunków gospodarczych, wspólnocie dziejów i wreszcie na przyzwyczajeniu nie stał się dotychczas czymś tak leżącym poza wszelką dyskusją, aby rozluźnienie węzłów państwowych, związane z szeroko pomyślaną autonomią nie mogło wywołać tendencji odśrodkowych, w obecnych pełnych napięcia czasach bardzo niebezpiecznych i niepożądanych. To wszystko przemawia za utrzymaniem przez czas dłuższy ściślej, spójnej zwartości poszczególnych dzielnic kraju rządzonych jednolicie przez rząd, będący wykładnikiem wyraźnej, głęboko przemysłanej i konsekwentnie wykonywanej polityki. Tych trudnych zagadnień nie można w chwili obecnej oddawać na flukta chwilowych nastrojów ulegającej łatwo sprzecznym wpływom politycznym ludności.

A to tym bardziej, że dzielnice wschodnie, w których niepolskie narodowości stanowią zdecydowaną większość, najmniej uległy kulturalnym wpływom Zachodu, skąd po-

chodzi ich znaczna pierwotność obywatelska i polityczna. Minąć będzie musiało niewątpliwie dość dużo lat, nim szkoła i życie społeczne wyrobią dostateczne poczucie obywatelskie i państwowe tej ludności. Mimo wszelkie wysiłki rządowe i znaczne sumy, przeznaczone na ukulturalnienie tych dzielnic zarówno pod względem oświatowym, jak społecznym i gospodarczym, poziom ich jest jeszcze o wiele niższy, niż poziom więcej na zachód położonych dzielnic Polski. Ten wzgląd również musi być brany pod uwagę, gdy chodzi o tak zasadnicze posunięcie, jak nadanie szerokiej autonomii naszym wschodnim dzielnicom.

Skoro tedy wyłączymy te dwa najskrajniej przeciwstawione sobie rozwiązania, jako albo niewykonalne, albo przedwczesne, cóż nam pozostaje?

Spróbujmy dać na to pytanie odpowiedź.

Przez fakt posiadania tytu i tak licznych mniejszości narodowych spada na Polskę tym większa odpowiedzialność dziejowa zarówno za losy polskiego narodu jak i pozostałych z nim połączonych. Zapewne, można by stać na stanowisku innym: że posiadanie znacznej ilości elementu niepolskiego nie jest rzeczą ułatwiającą kierowanie państwem, że ten obcy element, z państwowością dostatecznie nie zżyty — staje się czynnikiem osłabiającym państwo, a na codzień kłopotliwym i przykrym, że łatwiej, prościej, bezpieczniej byłoby, gdyby ludność Polski była w całości polską. Konsekwencją takiego stanowiska byłoby zrzeczenie się przez nas tych ziem, w których element polski nie reprezentuje jakiegoś określonego procentu ludności. W ten sposób mogłaby odpaść znaczna większość kresów wschodnich, a więc część Wileńszczyzny i Nowogródzczyzny, znaczna część Polesia, prawie cały Wołyń, zapewne poważne połacie Małopolski Wschodniej. Polska, skurczona z trzydziestu paru do jakichś dwudziestu milionów ludności, mogłaby się cieszyć z względnej

przynajmniej jednolitości narodowej, a zredukowawszy swoje większe ambicje i aspiracje do zacieśnionych granic etnograficznych, zażywać w spokoju rozkoszy życia.

Nie trzeba, sądzę, podkreślać małoduszności takiej koncepcji, której żaden Polak napewno przyjąć by nie mógł. Byłoby to nie tylko zmniejszenie geograficzne, zubożenie ludnościowe, utrata znacznej pozycji, jaką dziś wśród państw świata posiadamy; byłaby to ponadto rezygnacja z wielkiej spuścizny historycznej, jaką nam dzieje zostawiły, sprzeniewierzenie się wielkiej idei, reprezentowanej bez wyjątku przez wszystkich twórców naszej państwowości, poczynając od Piastów, poprzez Jagiellonów, Bato-rego i Władysława Czwartego, przez walki powstańcze z hasłem „za waszą wolność i naszą“, wreszcie przez czyn zbrojny Józefa Piłsudskiego z jego olbrzymią ideą federacyjną, sojuszem z wojskami ukraińskimi Petlury i pochodem na Kijów. W tym zakresie w ciągu długich stuleci odnosiliśmy wspaniałe, oszałamiające sukcesy, ale i niepowetowane klęski, a zagadnienie dotychczas nie zostało definitywnie rozwiązane, w dalszym ciągu czeka swojego rozstrzygnięcia i to zarówno jako nasze zagadnienie wewnętrzne związane z dobrym współżyciem w obecnych granicach Polski pokrewnych ludów, jak i w zakresie stosunków międzynarodowych na wschodzie, które na pewno nie są definitywnie uregulowane i w bliższej lub dalszej przyszłości mogą nabrać olbrzymiego znaczenia politycznego.

Trzeba skonstatować, że opinia publiczna polska niestety zbyt mało rozumie dotychczas wagę tych spraw, wagę naprawdę bardzo doniosłą a o naszej istotnej mocarstwowości wprost decydującą.

W ostatnich szczególnież czasach w związku z niewątpliwym wzrostem nastrojów nacjonalistycznych, które zawierają zawsze możliwości niebezpiecznych zasklepień się

w zbyt ciasnym programie pomniejszonej polskości, dają się zauważyć w stosunku do mniejszości słowiańskich uczucia wrogie, niekiedy eksterminacyjne, które pozostają w jaskrawej sprzeczności z ogólnie odczuwanym pragnieniem konsolidacji, ładu i harmonii w kraju. Uczucie wszelkiej nienawiści jest złym doradcą w sprawach tak wielkiej państwowej wagi, i nigdy na nim nic naprawdę wielkiego zbudować nie można. Uleganie emocjonalnym odruchom nie opłaca się zarówno w życiu prywatnym, jak i w sprawach wielkiej polityki.

Ci, co szerzą uczucie nienawiści plemiennej szkodzą sprawie, która rozwiązana być może tylko przez głęboki rozum dziejowy i dobrą obustronną wolę. Są — nieświadomie na pewno — pomniejszycielami Polski i polskości, której siła dziejowa zawsze polegała zarówno na sile oręża, jak i sile atrakcji w stosunku do ludów, z którymi łączyły nas wspólne dzieje.

Prześledzić słuszność tego łatwo na naszej historii, której rozrost mocarstwowy oparty był zawsze na hasle „wolni z wolnymi i równi z równymi“, niepowodzenia zaś nasze związane były zawsze z cofaniem się lub zanikiem tej atrakcyjnej siły oraz łamaniem zasady wolności i równości, w wyniku którego przy pomocy wrogich sił zewnętrznych odpadały od nas najdalsze na wschód a tak drogie naszemu sercu kresy.

Długie lata ucisku, którym podlegaliśmy zarówno my, jak i nasi współobywatele słowiańscy rozluźniły związek narodów, wyhodowały uczucia wrogości lub niechęci. Są to rzeczy historycznie zrozumiałe; — nie znaczy to, aby były pożądane i normalne. Za unormowaniem tych stosunków przemawia nie tylko przeszłość dziejowa, której zasadnicze elementy istnieją i dziś, jak istniały za czasów Jagiellonów, bowiem racja stanu państw i narodów może pozostawać niezmienna przez całe stulecia; przemawia

poza tym przede wszystkim wspólny interes narodów w obliczu wspólnego nieprzyjaciela, który jednak dał się nam wszystkim we znaki i jednakże zagraża nam na przyszłość.

Co trzeba robić, aby w miejsce wzajemnych niechęci zapanowała harmonijna współpraca? Trzeba przyczynić się wszelkimi siłami, aby zarówno Polacy jak i nasi niepolscy współobywatele zrozumieli kilka prawd prostych i bezspornych i potrafili swą działalność publiczną do nich zastosować.

Pierwszą z tych prawd jest nienaruszalność obecnych granic polskich. Naród polski nigdy i za żadną cenę nie pozwoli sobie odebrać najmniejszego skrawka ziemi będącej w jego władaniu a to tym bardziej, że uprawnione jego żądania mogłyby, opierając się na racji historycznej, sięgać dużo dalej poza dzisiejsze nasze granice.

Uszczuplenie granic naszych mogłoby się odbyć jedynie w wyniku przegranej rozprawy orężnej, jest jednak rzeczą oczywistą, że skorzystałyby na tym nie nasze mniejszości słowiańskie, ale jedynie odwieczny obcy i wrogi nam wspólnie imperializm.

Wiedzą o tym bardzo dobrze ci Ukraińcy, którzy umieją myśleć politycznie. Trzeba, aby cała ludność terenów mieszanych prostą tę prawdę dobrze rozumiała.

Druga prawda dotyczy wzajemnego poszanowania narodowych i kulturalnych odrębności ludów, zamieszkających w Polsce. Te odrębności istnieją, są realnym, namacalnym faktem, wytworzonym przez długie stulecia historii. Nie idą one jednak tak daleko, aby umożliwić psychiczny kontakt i możliwość bliskiego porozumienia między np. Polakiem a Ukraińcem. Wprost przeciwnie, porozumienie to okazuje się nie tylko możliwe, ale często w skutkach błogosławione. Dowodem tego jest typ Polaka kresowego, to jest człowieka, który nie zatracając w żadnej mierze swej

czysto polskiej struktury duszy, wychował się w skrzyżowaniu wpływów kulturalnych naszych wschodnich współobywateli i bogacił swoją duszę często w bardzo wysokim stopniu. Nie jest przypadkiem to, że tylu największych Polaków urodziło się i wychowało na kresach wschodnich. Kościuszko, Mickiewicz, Słowacki, Traugutt, Piłsudski stwierdzają swym istnieniem najniezawodniej, że przenikanie się wpływów kulturalnych dać może w wyniku nieporównane bogactwa ducha, często sięgające szczytów ludzkiej wielkości.

Polak, który nie rozumie, że zapalny temperament i wybitne uzdolnienie artystyczne Ukraińców, spokój i wytrwałość Białorusina, upór i żelazna, konsekwentna wola mieszkańca ziem litewsko-polskich stanowią pod niejednym względem cenne uzupełnienie właściwości duszy polskiej — jest jak ślepy, nie widzący żywych barw przed sobą. A gdy w swej ślepotie zacznie się przeciwstawiać temu, czego nie rozumie, gdy zacznie budować przegrody między Polakami i nie-Polakami zamykając polskość w granicach wąskiego i nierozumnego nacjonalizmu, staje się nieświadomym pomniejszycielem polskości a przez to winnym najbardziej śmiertelnego grzechu na narodzie polskim popełnionego. Zubożając treść polskości, zmniejszając jej możliwość ekspansji, głęboko jednocześnie obraża naród polski, który zasługuje na pełne zaufanie i obawiać się nie może zatracenia swych bogactw duchowych w kontakcie i współpracy ze zbliżonym dziejami i współżyciem elementem niepolskim. Małoduszność i tchórzliwość takiego nacjonalizmu jest rzeczą zarówno oczywistą, jak szkodliwą.

To samo trzeba zastosować i do tych czynników politycznych niepolskich, które, ożywione równie skrajnym i równie małoduszny nacjonalizmem ukraińskim, białoruskim lub litewskim, szerzą hasła nienawiści ku Polakom i ku Polsce.

Spółeczeństwo polskie na pewno jest dojrzalsze i bardziej wyrobione. Mniej ulega obcym podszeptom i obcym agenturom. Tym bardziej spada na nie obowiązek szerzenia całą swoją postawą wpływu wychowawczego na bratnie ludy, żyjące w granicach Rzeczypospolitej. Nie osiągnie się tego rezultatu przez szerzenie wrogości, przez hasła nienawiści, wreszcie przez sztuczne odseparowanie elementu polskiego od przemieszanej z nim ludności nie-polskiej.

Jest jednak jeszcze jeden moment, który trzeba podkreślić jak najmocniej, gdy mówimy o kulturalnych odrębnościach naszych słowiańskich mniejszości narodowych. Polak musi rozumieć należycie, że nic, co się dzieje w granicach jego państwa nie może mu być obce. Każdy twórczy wysiłek w jego ojczyźnie czyniony rozszerza zakres bogactw i możliwości polskich, właśnie Polskę powiększa i dźwiga. Dotyczy to tego wszystkiego, co stanowi kulturę duchową i materialną. Gdy w Janowej Dolinie tysiące rąk zarówno polskich i ukraińskich łamie w kostkę wspaniałe bazalty wołyńskie, aby nimi budować drogi w Polsce, zarówno ręce Polaka, jak Ukraińca podnoszą poziom Polski, jako państwa.

Gdy czar obrzędu ludowego, stroju, pieśni lub tańca górala z Podhala, Ślązaka znad Olzy, Księżaka spod Łowicza czy Kurpia spod Myszyńca raduje oczy nasze i wzbudza zazdrość obcych, powiększając ogólny dorobek polskiego piękna, to czy obrzęd, strój, pieśni lub taniec Łemka lub Hucuła, ludu bogatych ziem Podola, ukraińskiego chłopca znad Ikwy, mieszkańca błot nad Prypecią i Piną położonych nie jest również wyrazem piękna i bogactwa państwa polskiego? I czyż mamy w imię ciasnego nacjonalizmu zasłaniać oczy na wartości kulturalne w Polsce rozbudowane, dlatego tylko, że naród polski wypracował sobie wartości cokolwiek odmienne?

To, że wśród nas mieszkają ludy pokrewne historią, językiem i obyczajem, stanowi w bilansie naszego stanu posiadania stronę aktywną. Wprzęgnięcie ich w orbitę zbiorowego wysiłku i harmonijnej współpracy jest zadaniem do spełnienia. Zadanie może nie być łatwe, może nie da się rozwiązać w czasie najbliższym; niemniej znaczenie jego państwowe jest olbrzymie. Nie będzie wcale przesady, gdy powiemy, że od dobrego i rozumnego postawienia sprawy słowiańskich mniejszości narodowych zależeć będzie w bardzo znacznym stopniu mocarstwowe stanowisko Polski. Jeżeli nie uszanujemy ich narodowości i kulturalnych odrębności, nie da się wprowadzić w życie, nie da się w żaden sposób zrealizować trzeciej prawdy podstawowej, którą jest konieczność szczerej, planowej i harmonijnej współpracy elementu polskiego z Ukraincami i Białorusinami i odwrotnie.

Ta współpraca jest absolutną koniecznością państwową. Wynika ona z dobrze zrozumiałego interesu stron obu, wynika również z warunków ludnościowych naszych kresów wschodnich. Mamy wszak województwa o tak przemieszanej ludności, że brak tej współpracy prowadzić musi automatycznie do ustawicznego zaognienia w obrębie już nie powiatu lub gminy, ale w obrębie poszczególnych wsi, do ostrej i zaciętej walki między najbliższymi sąsiadami, których wszystkie życiowe interesy są niewątpliwie wspólne. Statystyka językowa wykazuje np., że w województwie lwowskim mieszka 57,7% Polaków i 34,1% Ukraińców (względnie Rusinów), a w województwie tarnopolskim 49,3% Polaków i 45,5% Ukraińców. Jakie rezultaty na takich terenach może dać dalszy wzrost ciasnego, krótkowzrocznego nacjonalizmu stron obu, którego zasadniczym postulatem jest jak najstaranniejsze odgródnienie się narodowościowe od wszystkiego, co nie jest polskie względnie ukraińskie i w konsekwen-

cji organizowanie życia nie w obrębie wspólnych zagadnień ekonomicznych i kulturalnych, dających pole do twórczej pracy realizacyjnej, ale w atmosferze zatrucia nienawiścią narodową najgłębiej, jak każde uczucie nienawiści, dezorganizującą i deprawującą dusze ludzkie ?

Ale gdy weźmiemy inne tereny, na których ludność polska znajduje się w zdecydowanej mniejszości, to i tam będziemy musieli dojść do analogicznych wniosków. Na Wołyniu mamy obok 345,600 Polaków aż 1,426,900 Ukraińców. Polacy stanowią tam 16,6% ludności województwa, gdy Ukraińcy 68%. Jakże wyglądałby tam program walki narodowościowej wobec przytłaczającej przewagi ludności niepolskiej? Czy nie słuszniejszą będzie zamiast walki współpraca, w której element polski jako kulturalnie niewątpliwie wyższy, w znacznym stopniu przyczyniać się może do podniesienia gospodarczego i kulturalnego kraju, nie tylko z swej polskości nic nie tracąc, ale zyskując dla niej uznanie i sympatię, w ten sposób wciągając ludność ukraińską w zakres państwowych, więc polskich potrzeb i interesów kraju, i tą drogą najskuteczniej ją wiążąc z państwowością polską? I każdy, kto zna dziś stosunki na Wołyniu, może skonstatować, że istotnie dzieło współpracy polsko-ukraińskiej rozwija się właśnie na tym terenie niezwykle pomyślnie. W organizacjach narodowościowo mieszanych, gospodarczych, kulturalnych, młodzieżowych Polacy z Ukraińcami stykają się na najbardziej realnym gruncie wspólnego wysiłku, a podnosząc poziom zarówno polskiej jak i ukraińskiej ludności uczą się szanować swą wspólną pracę a przez to szanować się wzajemnie, współżyć z sobą, jak równouprawnieni obywatele tego samego państwa, które darzy ich opieką i jednako na nich byt swój opiera.

Streśćmy się. Fakt, że w granicach Polski mieszka znaczny procent mniejszości słowiańskich nie tylko nie

stanowi dla Polski żadnego niebezpieczeństwa, którego dopatrują się ludzie tchórzliwi i w siłę Polski nie wierzący, ale przeciwnie, otwiera nieograniczone perspektywy na przyszłość, wzbogaca polską rzeczywistość o wartości psychiczne niezwykle cenne, bo pokrewny, choć różniący się od polskiego, typ obywatela.

Prawda, że ta niejednorodność narodowa struktury ludnościowej naszego państwa nakłada na nas, Polaków, poważne obowiązki, zwiększa nasze poczucie odpowiedzialności za państwo; prawda, że wymaga ona spokojnej, równej, przemyślanej polityki w stosunku do zagadnienia mniejszościowego i to nie tylko ze strony rządu, ale i ogółu Polaków, którzy i w tym zakresie, jak zresztą w każdym innym, muszą się nauczyć rozumieć polską rację stanu; prawda wreszcie, że gdyby Polskę zamieszkiwali sami Polacy, nie istniałoby zagadnienie mniejszości i o tyle życie byłoby łatwiejsze. Ale do wielkości zarówno jednostki, jak narodu i państwa droga nie jest łatwa. Bez przewycięzania rzeczy trudnych nic wielkiego nie da się osiągnąć. Jeżeli wierzymy, że przed Polską jest otwarta droga do wielkości, jeśli wielkości dla naszego narodu pragniemy, to, czerpiąc moc i wzory z najpiękniejszych tradycji naszych dziejów, właśnie poprzez zagadnienie mniejszości słowiańskich do tej wielkości możemy i powinniśmy dążyć.

ROZDZIAŁ XV

Pzesunęliśmy się koło szeregu tematów związanych z zagadnieniami, które w sposób nieuchronny stanąć przed nami muszą w naszej wędrówce po Krainie Wielkiej Przygody. A skoro stanąć muszą, rzetelność nasza wobec samych siebie wymaga, abyśmy je przemyśleli jak najgłębiej i jak najuczciwiej, o ile chcemy przepoić świadomością nasze życie i uczynić je terenem planowej, poważnej, twórczej pracy. Zapewne, można żyć bez kierunku, przelatując od kwiatu do kwiatu zygzakowatą linią, jak motyl, nęcony barwą lub zapachem, albo pędzony powiewem wiatru z żadnym lub prawie żadnym udziałem własnej woli.

O takim życiu mówi Marszałek Piłsudski z właściwą sobie plastyką wyrazu:

„Gdy się do mostu zbliżał, spostrzegłem wysokie łukowe latarnie, jak gdyby przyćmione od oparów i grupki ludzi, stłoczonych i żywo rozmawiających, tak, jakby wypadek jaki zdarzył się na ulicy. Zwolniłem kroku i nagle poczułem na sobie dotknięcie jakiegoś owadu; trwało to chwilę tylko i owad już był na murze, by zaraz potem znaleźć się na chodniku i za chwilę znowu w rynsztoku. Gdy ruszyłem dalej, znalazłem się w jakiejś gęstwie tych owadów, które czyniły ruchy, nie zatrzymując się ani na chwilę, ruchy, z tak wyraźną i tak jaskrawą bezcelowością i bezmyślnością czynione, że nie można było z niczym dotąd widzianym tego bezmyślnego stanu porównać. Koło łukowych lamp owadów było mnóstwo — jakaś gęstwa istot, które poruszały się wszędzie z tą samą bezmyślnością i jakąś tępą prawdą głupoty w różne strony — na dół, na górę, na bok, na lewo, na prawo.

Jakieś ćwierć życia, ćwierć chęci, ćwierć myśli i ćwierć istnienia...

Kiedy nazajutrz z rana wracałem ze Zwierzyńca do miasta, stróże kamieniczni zmiotali dużymi miotłami gęstwą efemeryd do kloaki“.

Marszałek Piłsudski nadał artykułowi, z którego powyższa cytata jest wyjęta, charakterystyczny podtytułik: *częste przemyślenia*.

Widocznie nie tylko tego jednego wieczora obserwował efemerydy nad brzegiem Wilii. Widocznie bezsens ludzki, bezcelowość zabiegów, nieskoordynowanie odruchów „ludzi bez wczoraj“ i „ludzi bez jutra“ niejednokrotnie zwracały na siebie uwagę Wielkiego Marszałka.

„Patrzyłem — mówi w dalszym ciągu — na tę bezmyślną zielonkawą masę i myślałem — a jednak, a jednak i to jest życie“.

Sądzę, że każdemu czytającemu te słowa nasuną się natychmiast wspomnienia spotykanych ludzi, w bardzo dokładny sposób czyniących zadość opisowi Marszałka. Ludzie zbyt leniwi, aby poważnie przemyśleć napotykaną drogę życia zagadnienia, ludzie, nie umiejący sobie postawić wyraźnych celów do osiągnięcia, albo na ślepo, nierozumnie cele te próbujący realizować, ludzie bez woli, bez charakteru, bez decyzji, ludzie niekonkretni i nie realni, nie umiejący dostosować swej myśli do rzeczywistości, nie odróżniający spraw ważnych od błahych, jednym słowem ludzie zgubieni w życiu bezsensownym, nieprawdziwym i nieodpowiedzialnym.

Każdy, kto ma za sobą szereg lat doświadczeń i przemyśleń wie aż nadto dobrze, jak wielu ludzi tego typu jest na świecie.

Nie można im odmówić prawa istnienia — najleniwszy żółw ma prawo do wygrzewania się na słońcu, nikt nie może zabronić oszalałej od blasku światła ćmie szamotać

się na wszystkie strony — ale postawa efemerydy nie przystoi godności człowieka, który swoje życiowe możliwości pragnie prawdziwie zrealizować i chce żyć w poczuciu szacunku do siebie.

W książce, do zakończenia której zbliżamy się w tej chwili, poruszyliśmy kilka tematów najważniejszych związanych z osobowością ludzką i z jej stosunkiem do społeczeństwa. Łatwo byłoby pomnożyć ich liczbę i nie jest wykluczone, że kiedyś ukazać się może w druku dalszy ciąg rozważań, związanych z Krainą Wielkiej Przygody.

Na razie ograniczymy się do tych spraw niewielu, które może w sposób najistotniejszy łączą się z zainteresowaniem młodości i raz poważnie w młodości przeżyte, dać mogą człowiekowi pion zasadniczy, punkt orientacyjny, z którego wychodząc można być pewnym, że w chaosie życia człowiek się nie zgubi, śladów właściwych i do celów wiodących dróg nie zatraci i w każdej, choćby najtrudniejszej sytuacji znajdzie wytyczne, dzięki którym potrafi zająć poważne, godne i rozumne stanowisko.

Autor książki niniejszej wystrzegał się starannie wszelkich dywagacji subiektywnych. Pragnął podawać jedynie rzeczy bezsporne, najobiektywniej prawdziwe. Nie pozwolił sobie, jak sądzi, ani razu na wyrażanie osobistych mniemań, przekonań lub przypuszczeń.

Pragnął bowiem wywołać w duszy czytelnika nie polemikę, do której młodość jest tak bardzo skłonna, uprawiając ją aż nazbyt często, ale przyczynić się do pogłębiania przemyśleń nieuniknionych dla młodości, przemyśleń pozytywnych, związanych bezpośrednio z życiem takim, jakim jest ono naprawdę.

Na tej podstawie, ugruntowanej i pewnej, można wznosić budowę własnych poglądów, przekonań, ideologii, tkwiących istotnie korzeniami w rzeczywistości, z niej wyrosłych i przez nią kontrolowanych: praca

ciężka, odpowiedzialna, nigdy w człowieku rzetelnym nie ukończona.

Praca zresztą, pełniona przez wcale nie nadmierną ilość ludzi. Olbrzymia większość zadawalnia się w tej dziedzinie rzeczami niezmiernie drobnymi, starannie unikając wszelkiego własnego wysiłku. Otrzymuje od otoczenia lub z przeczytanych artykułów i broszur — rzadziej książek — pewną ilość podstawowych twierdzeń, przyjmowanych najczęściej bardzo bezkrytycznie, uzupełnia je pewnymi własnymi spostrzeżeniami i przeżyciami, uogólnianymi zbyt szybko i niemetodycznie, podlewa to wszystko sosem nastrojów, panujących w danej chwili w społeczeństwie i w ten sposób fabrykuje dość niestrawne, „mixtum compositum“, stanowiące niewybredną namiastkę zwartego, przemyślanego, w rozsądną całość ujętego poglądu na świat.

W ten sposób powstają mody na światopoglądy, szerzące się szybko zarówno wśród dorosłych, jak i młodzieży. Tak swojego czasu, w latach młodości autora słów niniejszych, powstała moda postępowości i indyferentyzmu religijnego, tak, jak obecnie w pewnych kołach modny jest rasizm, tzw. rewolucja narodowa i gospodarka planowa.

Czyż trzeba podkreślać z jaką rozbrajającą pewnością siebie ludzie tego typu z najobiektywniej fałszywej doktryny rasistowskiej czynią zasadnicze zagadnienie narodowe, jak gdyby olbrzymia rola i znaczenie narodowości związana była w jakikolwiek sposób ze skomplikowanym zagadnieniem rasy, upijają się, jak narkotykiem, tęsknotą do rewolucji narodowej, której jedynym skutkiem jest bicie szyb żydowskich, jak wreszcie nie orientując się w najmniejszej mierze w sprawach gospodarczych, chcą świat urządzać w imię gospodarki, o której żadnego pojęcia nie mają.

Czyż nie są to efemerydy, miotane podmuchem wiatru na wszystkie strony, „jakieś ćwierć życia, ćwierć myśli i ćwierć istnienia”? Chwytają jakieś zdania z powietrza, nad ich prawdziwością nie chcą ani nie umieją się zastanowić, gotowi są ulec każdemu głupstwu, łatwo poddają się sugestii innych i bezmyślnie, głupio, bezkrytycznie próbują gdzieś iść bez ustalonej drogi, coś robić bez przemyślanego planu, dużo i głośno mówić, aby w rezultacie wielka mistrzyni życia: historia, nie wymiotła ich z widowni dziejów, jak ów stróż wymiatał do miejskiej kloaki gęstwę efemeryd na wileńskim Zwierzyńcu.

Otóż, myśląc o młodzieży polskiej, muszę myśleć o jej przyszłości. A przyszłość jej polega na tym, że siłą konieczności będzie ona musiała w stosunkowo krótkim czasie wziąć na swoje barki odpowiedzialność za losy Narodu i Państwa. Pokolenie, które wywalczyło niepodległość pod rozkazami Wielkiego Marszałka, a następnie utrwaliło zręby państwa polskiego wykrusza się i odchodzi. Jeszcze dziesięć, jeszcze piętnaście lat, a oto przyjdą nowe zastępy ludzi, obsadzą stanowiska kierownicze w rządzie i ciałach parlamentarnych, w przemyśle, handlu i rolnictwie — zaznaczą się w pracy społecznej, oświatowej, naukowej i artystycznej.

Od tego, jak zrozumieją swoje zadania, jaki wniosą do polskiej rzeczywistości kapitał pracy, energii, wiedzy, rzetelności — zależeć będzie przyszłość Polski.

Nie przesądzajmy tej przyszłości. Nie wiemy, z jakimi trudnościami trzeba będzie walczyć, jakie opory przezwyciężać, jakie zagadnienia rozwiązywać. Wiemy natomiast na pewno, że zwalczać trudności, przezwyciężać opory, stawiać i rozwiązywać zagadnienia życia zbiorowego nie potrafi efemeryda, żyjąca na powierzchni życia, bezrozumne, ulegające podmuchom każdego wiatru stworzenie bez przemyśleń, bez woli, bez mocnego zazębienia o rzeczywistość życia.

I dlatego pragnąłbym, aby młodzież polska wcześniej przygotowywała się do czekających ją wielkich i trudnych zadań. Aby zrozumiała, jak poważną rolę będzie musiała odegrać. I aby rozumem, wolą i uczuciem do tej roli dorosła. A na to trzeba się zdobyć na duży wysiłek.

Być może książka, której ostatnie słowa w tej chwili kreślę, w jakiejś mierze wysiłek ten ułatwi.

O to mi tylko chodziło.



M5126

SPIS TREŚCI

Rozdziały	Strony
Słowo wstępne	5
I Kraina wielkiej przygody	11
II O rzeczach wielkich i małych	20
III Wiara	37
IV Wiedza i nauka	55
V Sztuka	72
VI Honor	94
VII Tradycja	109
VIII Praca	126
IX Odpowiedzialność	141
X Sprawiedliwość	158
XI Ojczyzna i naród	174
XII Państwo i obywatel	192
XIII Wojsko	210
XIV Mniejszości narodowe	225
XV Zakończenie	245

Jc

115126

